№ 302.

Stare
GAWĘDY I OBRAZY.

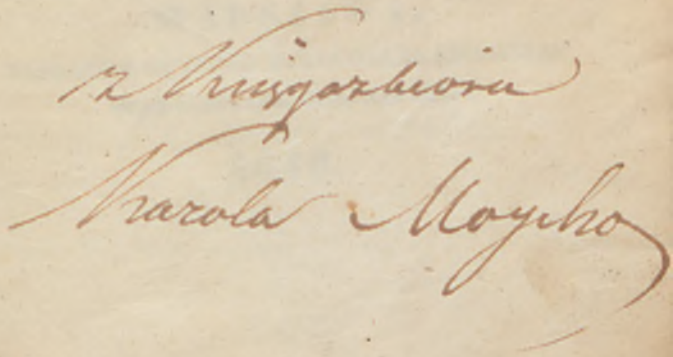

I. 484. V.

STARE GAWĘDY I OBRAZY

NAPISAŁ

KAZIMIÉRZ WŁADYSŁAW WÓJCICKI.

TOM I.

„I oni w grzechach na ziemi tu żyli,
„Po falach czasu przemknęli po cichu:
„Wrzały ich głowy chwilę; i po chwili,
„Głucho, i pusto — ni śladu, ni słychu.“

* * *

WARSZAWA,

NAKŁADEM GUSTAWA SENNEWALDA KSIĘGARZA

PRZY ULICY MIODOWÉJ NRO 481.

1840.

POLITECHNIKA WARSZAWSKA
rfD.725

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

BIBLJOTEKA-PUBL-TECHN-BOS
I. 474
25

W DRUKARNI MAXYMILIJANA CHMIELEWSKIEGO.

12.176/46
BZ08PK/030-13

I.

GAWĘDA

ZA

PRZEDMOWĘ.

„Więc gdym kresu już dogonił,
„W cichéj, miłéj, swéj ustroni;
„Ten dzwon co na chrzest mój dzwonił,
„I na pogrzeb mój zadzwoni.“

* * *

(Dwór Szlachecki XVI wieku, ganek z wystawą; w nim na lipowéj ławie, w kaftanie łosim siedzi stary Bartosz; przy nim stoi wnuk Bolesław zamyślony, oparty o słup ganku. Na środku podwórza lipa wielka, gęsta, rzucająca cieniem w okół. Studnia, a przy niéj kubeł ze sznurem do ciągnienia wody. Między lipą a dworem gołębnik, z drugiéj strony sernik, spichrz otoczyły cisy, jesiony i jodły. Dwa włoskie kasztany ganek ocieniają; na jednym wisi dzwon dający hasło do modlitwy i obiadu. Po za dworem ciągnie się sad obszerny z gajem; przy bramie wjazdowéj staw rybny idący po za stodoły. Wieczorna wiosenna doba).

BARTOSZ.

Jak piękny dzionek z łaski Boga mamy: Maj pokrył łąki, skowronek śpiéwa nad miedzą.

BOLESŁAW.

Już mój dziadku i jaskółki ulepiły gniazdo pod naszym kominem.

Bartosz.

Niech zdrowe i bezpieczne wysiadują młode! Słyszę brzęk dzwięczny — czy to z pasieki naszéj?

Bolesław.

Tak, mój dziadulu, pszczółki z ulów wyszły i w okół lipy latają! Na stawie upadło wiele łabędzi dzikich (a), a po majowych łąkach chodzą bociany i czaple; stada żórawi ciągną nad nami.

Bartosz.

Wszystko moje pacholę oznacza, że ciepło orzeźwiło ziemię, i jać starzec czuję to w sobie, gdy całą zimę musiałem wygrzéwać ciało chłodne przy ogniu komina, popijając grzane piwo, miód i wino z korzeniem. Patrz! drzewa stare rozwinęły świeży liść na nowo,

---

(a) U nas w XVI wieku polowano na stada łabędzi dzikich dla pierza i mięsa.

na nowo odżyły! przecież Bóg nie dozwolił tak odżywiać człowiekowi. Siwizna jak raz przypruszy śniegiem, już jéj niczém wiosna nie odmieni; a zmarszczki jak zorzą czoło i oblicze, pozostaną na zawsze, jak w starém polu zagony, chociaż i las młody na nich porośnie. Prawda, iż Bóg inaczéj człeka wynagrodził, dał mu dziatwę, aby się nią cieszył, ale i srogo Bóg dotyka, gdy ją odebrać raczy. Patrzałem na śmierć swoich małych dzieci i wnucząt, wszystko pomarło, o mój Boże!...

* * *

I rzewnie zapłakał starzec, były to łzy z serca rozdartego płynące; bo nie ma, jak mówi nasz wielki poeta:

»I boleśniéjszych i czystszych na ziemi,
»Jak łzy rodziców nad ich maleńkiemi.«

Bolesław.

Mój kochany dziadulu, zawsze płaczeta; a chcecie, żebym ja był wesół i was bawił: a kiedy wy płaczecie, już na cały dzień serce mi ściśnie, a wesołość jak gołąbek spłoszony przed jastrzębiem uleci.

Bartosz (ze łzami).

Chodź tu dzieciątko moje! niech spłyną te łzy gorące na twoję głowę: (ściskając wnuka) dawno już ony płyną, źródło ich przecież tak obfite, że się co dnia mnożą więcéj. Nie dziw, że stary płacze, bo blizki grobu; prócz ciebie, nie widzi nikogo więcéj, coby mu zamknął powieki, piaskiem posypał oczy dziś łzawe:—a ten stary miał rodzinę liczną, miał sześciu synów rosłych by modrzewie, zdrowych by krzemyki: dwie choże dziewki, i wszystko to pomarło, pomarniało nędznie! Jać ich przecież przeżyć musiałem, i patrzę owo na krzyże nad ich mogiłami!...

(Wnuk bacząc wielkie rozrzewnienie dziadka, namówił go, ażeby wszedł do izby, i opuścił ganek z którego widok do blizkiego smętarza sięgał. Przeprowadził więc starca do komnaty. Przy ścianach stały dwie ławy pokryte tkanką, stół suknem zielonem zasłany, na niém zegar klepsydra przesypywaniem się piasku czas znaczący: po oknach doniczki lilii, konwalii i róży; podłoga potrząśnięta tatarakiem, w koło stołu jaworowe stołki. Na ścianach trzy zbroje wisiały: obrazy Chrystusa umęczonego w cierniowéj koronie, i matki Boskiéj Częstochowskiéj, i matki Boskiéj *Bolesnéj*, w któréj sercu miecz utkwiony. Po bokach izby skrzynie na kółkach malowane. W téj saméj izbie stało łoże Bartosza z wezgłowia, przy niém rozpostarty kobierzec. Bolesław widząc zachodzące słonko, wybiegł na ganek, zadzwonił na *Anioł-Pański*, a nabrawszy brzemię jedliny i olchy, wniósł do izby i ulubiony ogień na kominku rozniecił. Poczém nastawił garnek z miodem, nasypał w niego imbiéru i pieprzu,

a zgrzawszy mocno, zamięszał, i garniec na misie cynowéj podał dziadkowi, który siedział blizko kominka na wygodnym stołku).

Bartosz.

Niech ci Bóg płaci dzieciątko moje, za twe staranie; dawniéj, te usługi, miałem z swojéj ukochanéj Małgorzaty, a twojéj babki;— potém córy usługiwały, — a dziś wnuczek jedyny.

(popijając)

Jakto miło nagrzać się przy kominku, i pogawędzić z miłym przyjacielem i sąsiadem! Ale teraz, rzadko kto i odwiedzi osieroconą chatę, bo cóż w niéj znajdą? żałobę i smutek; bo jéj pan ma serce przebite mieczem, jako u ciebie Matko Bolesna! (I skłonił głową przed świętym obrazem).

(weseléj, wypiwszy garnek miodu).

Tak! tak, — było tu ochoczo dawniéj, brzmiała tu kobza swojska, i grajkowie z miasta sprowadzeni: nie jeden *rybałt* wędrowny

zaśpiewał miłą piosnkę, a wesoła gawęda stanęła nam za wszystko. Cóż to? nie rozumiesz mię chłopię, owoż ci wytłomaczę, ażebyś znał i wiedział!

Powiada pismo »*Percuties petram, et exibit ex ea aqua ut bibat populus*« to jest: »Uderzysz w opokę, a wynidzie z niéj woda, aby pił lud.« (b) Owoż tą wodą, którą pił lud nasz szlachecki, bywała we dworze szlachcica i na zamku pana, gawęda. Byle gdzie zjechało się co przyjaciół, i miłych sąsiadów, zasiadaliśmy społy, a dobywszy z piwnicy dobrego Modzara (c) albo li i swojskiego miodu, *przyjaciela zdrowia ludzkiego* (d), daléj w gawędę. W niéj to miałeś naukę, było co posłuchać: ten swój żywot rycerski opisywał; ten jako bywał dworzaninem u pana, co widział, co przebywał, ja-

(b) Exod: 17. r. b.

(c) Tak zwano wino węgierskie w XVI wieku.

(d) Wyrażenie Marcina z Urzędowa Medyka w Zielniku 1595.

kie cuda i kraje oglądał, jeśli gdzie z panem za granicę jechał. Myśliwiec uczył sokoły ćwiczyć, chować przez zimę *rarogi* i *drzemliki*, przyuczać psy do łamania niedźwiedzi, osadzania w kniei odyńców; w reszcie szły na stół rozmowy ważniejsze o dobru *pospolitém:* a tak, młodzieniaszek niepotrzebował być i niemakiem, a wykształcił się na człowieka. Była gawęda taka akademiją i szkołą, zwłaszcza przy owém życiu przyjacielskiém ziemianów naszych.

Oho! byłać ona i straszną bronią na złe obyczaje; zły człowiek jéj się kajał, aby imie jego w gawędzie sąsiadów nie zabrzmiało niesławnie, bo w on czas przepadł na zawsze, jak znowu dobry, sławę zyskiwał.

W gawędzie miałeś dokładne dzieje każdéj rodziny, i wypadków nawet w narodzie; i gdyby kto był spisał, co się gawędziło od lat młodych, czytałbyś moje pacholę rzeczy ważniejsze i ciekawsze, niż kiedy suche przewartujesz kroniki. Może kiedyś potomkowie będą żałować, ile żywota przodków niepo-

BIBLJOTEKA PUBLICZNA BOS TECHN.

znali dobrze, bo nie słyszą naszych gawęd, onego wiernego zwierciadła swojego czasu. A toć było, jest i będzie, że gawęda u naszéj szlachty jako chléb i sól, jest i będzie potrzebą codzienną. Pisząc wprawdzie i wiersze, bardzo piękne a śliczne, a wieleż ich miły Boże nie nasłuchało się w gawędzie: bo brat szlachcic jak podlał czupryny i wenę rozbudził, i sto wierszy wygadał na prędce z głowy. Pan Jan Kochanowski, on sławny poeta, jakże rad gawędził z Panem Andrzejem Trzycieskim popijając ze dzbana, i on zawołany poprzednik jego pan Mikołaj Rey z Nagłowic, szukał gawędy w liczném sąsiedztwie, lał w nię wiersze których nie znajdziesz w pismach wydanych. Dobrze to mówi w starym dyalogu. (e)

«Zdawna to przy bankieciech zwykli dispotować,
Nie wadzi wtenczas, co kto ma w głowie, sprobować»

* * *

(e) Mięsopust albo tragicomedia na dnie mięsopustne r. 1622.

Byle święta, imieniny, a w zimie wesołe kuligi; to już śpiewek wesołych, powinszowań pełno, by kawek na słotę. Gawęda lubiła jeno kominek i śniegi: ale niech tylko szary skowronek zaśpiewał, zakukała kukułka, niech się w polu otworzą roboty; to siejby, orania, to na wołanie »pódźcie żąć« przepiórki, żniwa: uciekała ona razem z mrozami. Bo w on czas każdy szlachcic ziemianin, nie miał czasu wolnego; musiał pracować, doglądać roli, chyba w święto po kościele na proszony obiad zjechał, to przywoływano gawędę ubiegłą.

* . * . *

Słuchał z zajęciem młodzieniec co starzec prawił, który rozgrzany miodem dobywał z piersi silnego głosu, aż zmęczony odpoczął chwilę.

»Gdy zima ze świętym Marcinem na *białym koniu* przybyła, zawitała gawęda w każdym dworze szlachcica, bo już widziała spory ogień na kominie, mieściła się ona przy

nim wygodnie; brzemienna nowinami, uciechą, śmiechem i łzami: o tak!— i łzami, były gawędy kędy serce z bólu i żalu pękało, a łzy piołunowe strumieniem płynęły! Pamiętam jednę, kiedy po mych synach próżne zbroje przyniesiono! ich ciała w stepach sępy i kruki podarły!...«

* . * . *

Zakrył twarz rękoma,—na rozpalonym licu łzy jak groch się potoczyły, ale nie długo, ręce opadły: opadła na piersi siwa głowa,— bo sen miły ujął starca!

POLITECHNIKA WARSZAWSKA BIBLIOTEKA GŁÓWNA

II.

DZIEŃ ZIMOWY

W starym dworku Szlachcica.

STARA GAWĘDA.

«Teraz już następują ucieszne zabawy,
«Teraz sobie usiadłszy jak gospodarz prawy,
«Przy ciepłym piecu w izbie, albo u komina
«Z miłym sąsiadem swoim napijaj się wina,
«Albo miodu słodkiego, doma syconego,
«Albo piwa dobrego, prawie pszenicznego.
«O gospodarstwie siedząc przy stole gadają:
«Przy tym dworski, żołnierski żywot spominają.
«Jakie to teraz czasy i ludzie nastali,
«Czy też tacy przed laty, za przodków bywali?
«Tak z sobą rozmawiając, cieszą się pospołu,
«Jedzą smaczno, i piją u hojnego stołu.»

* * *

(Czasu zimy zabawy ziemiańskie. Ockomia Wład. Stan. Jeżowskiego. w Krakowie 1648).

II.

Śniég zasypał drogi, pozawiewał ścieżki na podwórzu, przed dworem starego Tadeusza.

Choć wiatr zimny poświstywał i przejmował do kości, łuna z okien domu wskazywała, że w izbach tego domostwa, nie boją się mrozu. Był to dzień drugi Lutego, dzień uroczysty Najświętszéj Panny Gromnicznéj: chociaż dopiero siódma rano uderzyła na zegarze, pozamiatano komnaty i wykadzono jałowcem. W izbie jak zwano »*gościnnéj*« gdzie na dużym kominie palił się ogień nieustanny, siedział w wielkiém krześle z poręczami stary Tadeusz: odmawiał pacierze, i w drżących rękach przesuwał różaniec. Miał

na sobie bekieszę baranami siwemi podszytą, a buty wielkie futrzane świadczyły o słabości w nogach. Jakoż bez pomocy, już ten starzec poruszyć się nie mógł: najczęściéj wnuczka i domownicy, z krzesłem które kółka miało, przesuwali go na miéjsce gdzie żądał. W lecie po ogrodzie obwozili siedzącego w tém samém krześle, które stanowiło dla niego dom i powóz.

Nagle usłyszano głośny dzwonek: stary Tadeusz obrócił do okna siwą głowę, gdy wbiegła młoda i dorodna Anna, i z radością zawołała: — »Mój dziadku! Pan Czesław jedzie.«

— A gdzie moja Jadwisia? zapytał starzec.

— »Już idę, idę, mój Tadeuszku,« odezwał się głos piskliwy, i weszła wspierając się na lasce małżonka starego Tadeusza. Okryta jupką lisią, w wielkim kornecie: z pod jupki wyglądała spódnica jedwabna, w duże kwiaty, pod nią była druga biała. I łatwo ją dojrzeć, bo ile razy zapotrzebowano klucza lub

śpilki, Jadwiga podnosiła jedwabną spodnicę, pod nią albowiem była kieszeń, i na wstążce nie mała wisiała poduszka, pełna utkanych śpilek. W kieszeni miała okulary, igielnik, klucze potrzebne codziennie, i kilka kawałków cukru, przeznaczone dla kanarków, co w zawieszonéj u okna siedziały klatce.

—Moja dziéweczko, każ dać śniadanie, bo Czesław przeziąbł, — rzekł stary Tedeusz obracając się z uśmiechem do żony.

I pokazał się gość oczekiwany: w sieni zrzucił wilczurę, a wszedł w lisiurce. Wysoki, kształtnéj postaci, bladego lica, oczy niebieskie, wypukłe, pełne ognia i życia, malowały młodzieńczą duszę, chociaż twarz starsze wskazywała lata.

Z uszanowaniem powitał starego Tadeusza i Jadwigę, skłonił się Annie. Stary wyciągnął rękę na powitanie Czesława, a młoda Anna, oddała ukłon z upieczonym rakiem.

—Jak się Waszeć miéwa? ściskając rękę Czesława zapytał stary.

—Zdrowo odrzekł,— tylko za zimno.

—Co Wasze gadasz? w twoich latach w parciankach latałem i boso po śniegu, a nie kurczyłem się wcale.

—Może dawniéj nie tak zimno bywało?

—A do djaska! zawołał z poruszeniem starzec, nie raz marzło pod nosem, aż trzeba było wąsy z zamrozu oskrobywać szablą, ale była w nas krew, a u was nibyto młodych to woda chyba, — że na byle mrozek, to zaraz w palce chuchacie.

Uśmiechnął się Czesław na zapał starego, który go unosił zawsze, gdy o młodych wspominał latach.

—Być to może, odrzekł, albo strach dodał więcéj zimna.

—Jaki strach? zapytał z podziwem.

—A bo to widzi Chorąży (tak bowiem Tadeusza zwali sąsiedzi), widziałem nie mało wilków, i ledwiem się im wymknął.

—Co Waszeć gada? a to co innego! z temi bestyjami nie ma żartu. Ja sam mało nie zginąłem: ale posil się Wasze, a po śnia-

daniu powiém o Niedźwiedniku dykteryjkę.

Czesław ciekawy usiadł na przeciw starca, a Chorąży pomuskawszy czupryny, zaczął gawędę.

NIEDŹWIEDNIK.

Żył przed pięćdziesiąt laty szlachcic zwany Niedźwiednik: był to jego przydomek dla nadzwyczajnéj siły, gdyż każdego przełamał niedźwiedzia, z którym się spotkał. Właściwie nazywał się Roch Dąbrowa. Postać nie ukazywała bynajmniéj téj olbrzymiéj siły, którą dziwił i przestraszał. Wysoki, kształtny, topolowego wzrostu, poruszenia żywe, ręka niewielka ale żylasta, twarz wesoła i ciągle w uśmiechu. Nosił zwykle szarą kapotę i czapkę na lewe ucho przekrzywioną. Mieszkał w domostwie, nie wiele ró-

żniącém się od chałupy wieśniaka: i jeden zagon 12 łokci szeroki, a 100 sążni długi, były całém dziedzictwem Niedźwiednika. Żył pracowicie, uprawiał w pocie czoła ogródek i zagon, a w wolnych chwilach zarzuciwszy strzelbę na plecy, szedł w obszerne knieje, na *grubego* zwierza, co nie były tak puste jako dzisiaj, kędy nie zobaczysz niedźwiedzia, jelenia i łosia. A przecie kaftan mam łosi i skór kilka na posłanie z łosiów, co ich sam powaliłem przed 40stą laty. Gdzież to dziś zobaczysz?

I sąsiedzi okoliczni dziwili się jego łowom. Nie strzelił on do zająca, ani lisa, — każdego ptaka omijał, — lecz za to w obszernéj puszczy, nie darował niedźwiedziom, dzikom, łosiom, jeleniom, rysiom i wilkom; ale i w tém zachowywał szczególny zwyczaj.

Żaden z myśliwych nie widział go, by użył strzelby na niedźwiedzia, chyba, że niespodzianie go spotkał, kiedy nie miał swojego, jak nazywał *Kija*. Kij ten, była to pałka jak dwie ręce gruba, u góry zaokrąglona

nakształt buławy; nagłówek ten był nasadzony trójkątnémi gwoździami grubémi, a ze środka wychodził na łokieć długi, ostry, obosieczny dziryt.

Z taką bronią przyjmował zawsze niedźwiedzia, i gdy ten rozjuszony na dwóch łapach wspięty, zbliżył się do Dąbrowy; pchnął go najprzód dirytem, a potém za jedném uderzeniem pałką, rozciągał go u nóg swoich. Wtedy z radością uśmiechał się, naciskał lepiéj czapkę na lewe ucho, dobywał myśliwskiego noża, i nie tylko że odcinał po zdjęciu skóry łapy niedźwiedziowi (ulubiony przysmak na wielkich stołach); ale nadto wykrawał pieczenie, które swemi *delicyjami* nazywał.

Sąsiedni kmiecie często rozmawiając o nim, gdy przyszło wspomnieć o nadzwyczajnéj sile, zawsze mówili:

—»Nic dziwota, musi być mocny jak niedźwiedź, kiedy się żywi pieczeniami z niedźwiedzi, i szpik z kości wypija.«

Mimo to wszakże, nie mogli pojąć, jak człowiek taki może być zdrów i silny, nie pijąc ani wódki, ani miodu, ani piwa: napojem zwyczajnym u niego była kryniczna woda.

Nie pogardzał i futrem z lisa, ale na niego umiał tak zręcznie stawiać samołówki, że w zimowéj porze, kiedy najlepsze skóry, nie tylko że bogdaj nie corocznie sam się zaopatrzył w nową lisiurkę,— ale za sprzedane futra zbierał nie mało grosiwa.

Mówiono potajemnie, że ma wiele zakopanego grosiwa, i musiał mieć wiele; bo o nic nikogo nie prosił.

Samotny, bezżenny; łowy, były dla niego rozrywką i uciechą. Pan na jednym zagonie, sam go łatwo mógł uprawić i zebrać. Ogród warzywny i sad, pełen smacznego owocu, dostarczały mu dosyć żywności przy obfitéj zwierzynie. O! pamiętam jeszcze te gruszki małgorzatki wczesne, i jak czerwień jabłka; wdzierałem się nie raz na drzewa i strząsałem owoc, a Niedźwiednik śmiał się ze swego, jak mnie nazywał, Tadeuszka.

W obszernéj izbie łoże było zasłane wilczemi i niedźwiedziémi skórami, inne rozesłane na ziemi; tu spały cztéry ogromne kundle, wyżeł, a na wysokiém berle siedział uczony jastrząb, którego używał na ptaki i zające.

Na cały nasz Powiat, Niedźwiednik był osobliwością: a trzeba Waszeci wiedzieć, że wtedy u nas nie brakło na silnych ludziach i dobrych myśliwych, wszakże wszyscy przy nim gaśli, jak klecha przed organistą. Nie dosyć, że na oszczep brał wielkie niedźwiedzie, ile razy dziedzicowi tego sioła kędy mieszkał chciał podarek zrobić: a zawsze to czynił na kolędę, i przed wielkonocą przywoził z knieci żywego dzika. Każdy się nad tém dziwił, i z dalekich okolic zbiegali się myśliwi, by zobaczyć tak osobliwego strzelca.

Był przy tém pobożny i uczciwy człowiek, chłopstwo oskarzało go o czary, że ma związki z djabłem, lecz to wszystko kłamali wierutnie.

Mój rodzic świętéj pamięci, mieszkał o sześć mil od téj wioski, gdzie Niedźwiednik przesiadywał. Po wesołym *kuligu* z dziatwą, zajechał i z matką naszą w tamte okolice. W dużych saniach siedziała pani matka, i dwie dorosłe panny siostry, rodzic przy woźnicy sam powoził.

W ostatni wtorek podochocony wracał z nami wieczorem, a jechał żwawo, żeby doma na popielec stanąć. Za dużym lasem, pamiętam jakby dzisiaj, bo miałem już lat dziesięć, iskrzyło się niebo od gwiazd mnóstwa, świeciłci i księżyc w pełni: — tak widno; że szeląg znaleźć można było. Nagle, konie poczęły parskać, a nieboszczyk mój rodzic, wiedząc co się święci, świsnął; i jak wiatr posunęły na ślizgim śniegu sanie. Wilków stado zabiegało nam z boku: skręcił końmi w inną stronę, i na nieszczęście w rowie wywrócił. Pamiętam dobrze jego słowa, kiedy wystraszony zawołał podniosłszy sanie: »Prędzéj do sani! bo jeżeli nie uciekniem; zginiem bez ratunku.«

Matka i panny siostry usiadły prędko, ruszył co koń wyskoczy, a ja zagrzebany w śniegu, zostałem zapomniany. Zerwałem się na nogi, wychyliłem głowę: widziałem jak za rodzicem pędzą wilcy, z przestrachu przysiadłem, sen mię zmorzył, i zmarzłem.

Kiedym otworzył oczy, zobaczyłem pierwszy raz w życiu Niedźwiednika, nacierał mi twarz śniegiem, cztéry ogromne kundle stały obok niego, a daléj jednokonne sanki, pełne lisów i trzy skóry wilcze. Gdy zobaczył że żyję, zaniósł do sanek i przywiózł do domu. Lecz nie zostawił mnie w ciepłéj izbie: rozebrał do naga, i na podwórzu wśród mrozu natarł mocno śniegiem, wtedy obwinął w skórę wilczą i położył na swojém łożu. W kilka dni już zdrów byłem, a Niedźwiednik dowiedziawszy się kto mój ojciec, odwiózł do domu.

Drżało mi serce z radości, kiedym ujrzał suche gałęzie lipowéj drogi, i dwór swego ojca. Zostawił mnie w saniach, a sam wszedł do komnaty.

Pan ojciec, dopiéro za powrotem do domu, zobaczył że syna stracił. Matka w saniach i panny siostry bez pamięci ze strachu nawet wysieść nie mogły: w całym dworze powstał lament i płacz wielki, porozsyłano czeladź, ale szukano na próżno.

Skłonił się rodzicowi, i żeby zbytnia radość nie zaszkodziła, prosił do osobnéj izby: tam mu powiedział, jak mnie uratował, i że przywiózł z sobą. Pan ojciec nie wiedział jak dziękować, płakał z radości, ściskał i całował mojego wybawcę.

Powrócili do komnaty, gdzie matka i panny siostry zapłakane siedziały. Rodzic, kazał jednéj pobiedz do piwnicy po węgrzyna, a sam rzekł do matki mojéj: »No! dziéweczko moja, wieści nam pewne nasz sąsiad przywozi o naszym Tadeuszku.«

—Żyje! zawołała.

—Nie tylko żyje, ale przyjechał.

I zaraz wbiegłem, upadłem do nóg panu ojcu i matce, a Niedźwiednik płakał, i wszyscy.

Kiedy go chciał rodzic węgrzynem częstować, podziękował za wino, i żadnego daru nie przyjął, wyjąwszy strzelbę jako pamiątkę.

Jeżeli Wielmożny Chorąży, powiedział ojcu, chce mi wynagrodzić, niech samotnego Niedźwiednika (bo i sam się tak z chlubą nazywał) często pan Tadeusz nawiédza. Nauczę go strzelać, a te odwiédziny rozweselą starego myśliwca.

Nie długo się bawił, bo spieszył jak mówił, ściągać lisy z samołówek.

Od tego czasu, zawsze co rok na miesiąc cały do niego wyjeżdżałem: on mnie wprawiał do strzelby, i mogę rzec bez chluby, mówił stary, że po nim w naszéj ziemi, jako myśliwy réj wodziłem, a nie miałem jak szesnasty roczek.

Często spraszał mój rodzic przyjaciół i krewnych na łowy, a miał u siebie dwie knieje: wtedy i mój wybawca zjeżdżał. Pamiętam dobrze, pokazał się raz ogromny niedźwiedź, i szkody nie mało nam robił.

Trzeba go było sprzątnąć, wiele sąsiadów myśliwych zebrało się razem, był i Niedźwiednik: stałem blizko niego i swojego ojca. Prędko psy go poruszyły, pokaleczył kilku i wypadł na drogę, kędyśmy stali. Niedźwiednik miał czerwoną czapkę, ku téj więc stronie rzucił się wściekły. Przypuścił go może na cztéry kroki, i wtedy podniósł jeszcze *dekel*, spojrzał, czy dobra podsypka, zmierzył, a z połyskiem powalił się niedźwiedź, ale tak blisko; że musiał uskoczyć, boby go był przygniótł ogromem swoim.

Wesołe okrzyki rozległy się po lesie, a zwycięzca oddawszy skórę i łapy, wykroił pieczeń, i schował do torby.

Nadchodziły imieniny mego rodzica, pojechałem do niego, żeby zwierzyny przysposobić.

Na kuropatwy poszliśmy z jastrzębiem, i bez strzału, dwadzieścia par złowili. Wtedy Niedźwiednik rzekł do mnie: »No! mój Tadeuszku, trzeba coś grubszego panu ojcu zawieźć; pojutrze imieniny, jutro ze świtem

złapiéwa dzika żywego, i tak zdrowego zawieziem, jak te kuropatwy, co je wybraliśmy po jastrzębiu z pod rozjazdu.« Serce biło mi z radości, jeszcze bowiem nie widziałem, jak to można wziąść żywego dzika w knieci. Mało co spałem, przed świtem już byłem na nogach, ubrany Niedźwiednik wziął cztéry kundle, zarzucił strzelbę i ostry przywiązał do pasa obosieczny kordelas.

Słońce jeno poczęło wschodzić, kiedy już byłem na stanowisku. Za małą chwilkę, usłyszałem szczekanie psów głośne, a prędko potém słychać jeno było ciche warczenie.

Poskoczyłem, patrzę i widzę jak na małéj łące kundle przytrzymały ogromnego dzika, dwóch trzymało za uszy, a dwóch za tylne racice. Usłyszałem trzask gałęzi, i wnet pokazał się Niedźwiednik, leciał prędko, widać że pędził za psami, w rękach mu błyszczał ostry kordelas. W pełnym biegu dosiadł na grzbiet dzika, i sznurem surowcowym, co go miał za pasem, skrępował ryj dzika, wybił kły żelazem, a przebiwszy niém przednie

pod kolanami racice, po za żyły tenże sam sznur przeciągnął i silnie związał. A on dzik ogromny, postrach psów i myśliwych, bezsilny upadł. Wtedy oparłszy zwycięzką nogę na czarno smolanym grzbiecie, rzekł, do mnie:

—Tadeuszku, przy trzech brzozach stoi fura, sprowadźcie ją tutaj: ruszymy do dworu pana ojca z podarkiem myśliwskim.

Siedząc na dziku uradowani, z pełną furą zwierzyny, żwawo popędzaliśmy konie: — stanęliśmy nad wieczorem. Ja, rodzicowi ofiarowałem kuropatwy, dropia, sarnę, i kilka zajęcy; a Niedźwiednik przywiązawszy na długim sznurze dzika u lipy, co stała na środku obszernego podwórza, wszedł do komnaty, powinszował i prosił, by wyszedł zobaczyć podarek starego łowcy.

Już wiele było gości: wszyscy zdjęci ciekawością, wybiegli. Jaki był ich podziw, gdy ujrzeli żywego dzika, co obchodził w koło lipy! Rodzic mój rozradowany, wypił zdrowie z ogromnego puhara dzielnego myśliwca, i sąsiedzi powtórzyli to wszyscy. Wnet wy-

niesiono strzelb kilka: zaczęli strzelać podochoceni goście; a gdy dzika powalili na ziemię, trąbki myśliwych ogłosiły koniec téj uciechy. W on czas, sąsiedzi porwali Niedźwiednika na ręce, i nosili po całym podwórzu, śpiewając onę sławną myśliwską piosneczkę:

»Siedzi zając pod miedzą,
A myśliwi o nim nie wiedzą.

Stary strzelec płakał z radości: przy wieczerzy posadzono go na starszém miejscu, a co nie pił nigdy, wtedy rozochocił go węgrzyn.

We dwa miesiące, już płakałem nad jego grobem!

Tu westchnął boleśnie stary Tadeusz.

Jak żył, tak i skończył; nie umarł zwyczajną śmiercią.

Polowano na niedźwiedzicę, co wiele robiła w okolicy szkody. Wybrał się téż Niedźwiednik, ze swoim jak nazywał *kijem;* kij ten czternastu zgładził niedźwiedzi. Kiedy poruszona z legowiska wypadła rozżarta, wtedy wysunął się z za drzewa, i ugodził

ostrym dzirytem; ale ten się osunął po kości: już nie miał czasu poprawić ciosu. Pochwyciła go w silne łapy. Blizko stojąc usłyszałem jęk cichy, i chrzęst gruchotanych kości. Zemściłem się, bo z mojéj strzelby poległa od razu; ale mój wybawca, leżał bez duszy cały krwią zlany. Tak skończył stary myśliwiec, jakiego już więcéj oczy moje nie zobaczą. Opłakiwałem go ciężko: a świętéj pamięci mój rodzic, wystawił piękny dla niego nagrobek z kamienia w tém miejscu, gdzie życie skończył i na nim dał wyryć, jak upada pod zajadłym niedźwiedziem!

Tak skończył! mówił daléj ze wzruszeniem stary Chorąży: winienem mu życie, był poczciwy człowiek, a jednak za życia obwiniano go o czary, nawet co gorsza; że należał do bandy zbójców, co w naszych niepokoiła okolicach, dla tego że mu nie zbywało na niczem! I żeby nie znajomość z kilką szlachty, byłby miał biédy nie mało.

—Czy podobna! zawołał Czesław z podziwieniem, ażeby o zbójectwo posądzać?—

Gdzież kto zasłyszy o tych bandach, o których tylko w bajkach nianiek prawią.

—Słuchaj Wasze! odrzekł stary Tadeusz, teraz nie tak łatwie zasłyszeć o rozbójnikach, jako za naszych bywało czasów. Każdy też miał się zawsze na ostrożności i pogotowiu. Powiem też Waści o jednym swoim znajomym: ba, nawet nieco i pokrewnym. Tu poprawił się w swojém krześle stary,— i zaczął.

RACHEL.

Jespan Janusz, o którym Waści prawić będę, był rządcą dóbr nie małych u wielkiego pana: a że te dobra rozległe i rozrzucone o mil kilkanaście jedne od drugich; częste przedsiębrał podróże. Nie utrzymując dworzan, jeździł z dwoma pachołkami, na których siłę i odwagę rachował: na swojéj polegając nie mało. Raz się przytrafiło, że nieznanym gościńcem musiał jechać. Stała tam karczemka na uboczy pod lasem, i słynęła od dawna z rozlicznych przygód podróżnych: ale pan Janusz cudzy w tych stronach, nie znał

jéj *reputacyi* i zanocował, lubo żaden kmieć ani szlachcic w okolicy, wśród największéj burzy, na toby się nie odważył.

Zaledwie z bryki wysiadł, spotkał na progu izby, żyda gospodarza z rudemi pejsami i długą brodą, z wzrokiem przenikliwym i szyderskim uśmiechem. Mieszkańcy w okolicy mówili, że Abrahama (tak go nazywano) włosy, od krwi ludzkiéj zrudziały, bo dawniéj czarno zarastał.

Pan Janusz aż się cofnął na jego widok, chociaż z nizkim ukłonem i pokornie zapraszał go do swego domu. Przeczucie jakieś tajemne radziło, by natychmiast opuścił tę karczmę: jednak noc ciemna, i strudzone konie, tamowały dalszą podróż. Ledwo stanął w izbie, zwrócił najprzód uwagę jego stół duży i wygodny, jakby umyślnie do spoczynku podróżnych przeznaczony. Spojrzy w kąt izby: przy dużym piecu ceglanym, a obok kominie; stała młoda i gładka żydówka, poprawiając żarzące węgle. Smutek i boleść malowały się na jéj świéżém obliczu;

z spuszczonemi oczyma, zdawała się zajmować nanieceniem większego ognia.

Abraham rudy kilka słów przebąknął do niéj, a młoda Rachel odeszła z izby. Ale przy wchodzie do komory przyległéj, takim wzrokiem spojrzała na Janusza, że go dreszcz przeniknął, a przy tém zrobiła znak po gardle; zapowiadając ostatnią godzinę.

Pan Janusz człek bywały, i nie z jednego chléb jadłszy pieca, zadrżał przecie: postanowił zbadać tajemnicę i ratować życie. Zaprządz i uciekać był jedyny ratunek, ale nieświadom okolicy, mógł wpaść z deszczu pod rynnę: bo chociaż drogę którą jechał nazywano gościńcem; był to wszakże gościniec taki, jak dziś są drożyny, że ledwie we trzy konie obok jechać można. Nadto, mila dobra samego lasu. Zważył przeto że ucieczka niepodobna. Woźnicy nie kazał rozbierać koni, a pachołkom miéć się w pogotowiu, i skrycie broń dobrze opatrzyć, a świeżo podsypać. Wracając ze stajni przez szczelinę bramy z desek zbitéj, ujrzał przy połysku z ko-

mina, który część wystawy oknem oświecał, swego gospodarza rozmawiającego z wysoką osobą. Rozmawiali z sobą cicho — i dosłyszał jeno słowa: »*dziś — północ — czterech tylko*:« pojął do razu że myślą o nim, pośpieszył więc do izby. Szczęśliwym trafem spotyka młodą Rachel, która w kilku słowach opowiedziała, jakim sposobem mają go zgładzić: a prosząc zarazem by i ją ratował, uciekła do komory.

Młody pan Janusz zobaczył widocznie, że to nie przelewki: oddał się opiece swego patrona. Trzeba było bojaźń z serca wyskrobać, i poostrzyć je nadzieją błogą. Powiadają słuchaj Wasze, strach ma wielkie oczy, — oj, strach ma i długie ręce ze szponami; któremi człowieka od razu w różne strony zadraśnie i zrani. Doznał tego na sobie i pan Janusz, ale po modlitwie szczerej, nabrawszy dobrej otuchy; pomyślał o ratunku, który od jego odwagi, a ręki mocnej zależał.

Pachołek posławszy mu na onym wygodnym stole, odszedł:— a pan Janusz zgasiwszy świécę, gdy już była północ, nie położył się na nim; bo tam śmierć go czekała, — ale zwinąwszy kapotę, wsunął pod kołdrę, i tak ją ułożył, że zdawało się iż żywie człek leży. Sam z bronią wlazł pod stół i z bijącém sercem, choć daleki trwogi, czekał co Bóg zdarzy.

Zaczęło coś cicho po pułapie łazić.

Pan Janusz spojrzy, aż ci tu nad samym środkiem onego stołu, tarcica się uniosła długa, wysunęła ręka uzbrojona ciężkim dzirytem, który z taką siłą przebił kołdrę i kapotę, że się stół cały zatrząsł. Cios był celnie wymierzony, bo ugodził w same piersi, Opatrznością Bożą, niecielesnego człowieka. Na to hasło roztwarły się okiennice wszystkie, i głowy z brodami i zbójeckie oblicza, nagle się ukazały.

W on czas pan Janusz nie tracił czasu, z dwóch pistoletów dał ognia, krzyk ranionych za echo posłużył. To było hasłem dla

jego ludzi: wnet konie zaprzężono, odrąbano skobel, roztwarto bramę, a gdy zawady nie było do wyjazdu; Pan Janusz z nabitym dwiema garściami siekańców szturmakiem, wybiegł z okropnéj izby.

Pod samemi drzwiami drżąca i wystraszona Rachel czekała, na znak dany wskoczyła do bryki, a rącze konie uniosły ich do najbliższego miasta. I zaraz z onego miasta wysłano towarzyszów, którzy otoczywszy karczmę; pochwytali, i łotrów nie mało, i samego Abrahama rudego: a był on pokrewnym i opiekunem młodéj Racheli.

Ludzie gadali, że w piwnicy znaleziono do dziesięciu trupów, tym sposobem zamordowanych.

—A żydzi? zapytał Czesław.

—Żydzi i łotry wprędce dyndali.

—A Rachel?

—Waść widzę w gorącéj wodzie kąpany,— zaraz ci do niéj przyjdę z porządku. Pan Janusz mając całą wdzięczność dla młodéj Racheli, która go ostrzegła; zaraz oddał ją

do klasztoru, tam rok cały uczyła się naszéj religii. W rocznicę tego wypadku, ożenił się z Rachelą i wyprawił uczciwe wesele.

Byłem i ja tam ze swoją Jadwisią, piliśmy poczciwie, aż się z czupryny kurzyło. To ładne pacholę, co go Waść widział łońskiego roku na naszych dożynkach, jest najmłodszym ich synem, a skończył ośmnaście roków. Śmiałe to i zuchwałe chłopię, jakby nie z matki żydówki,— a strzela z rusznicy tak celnie; że kulą zgasi świécę i wystrzeli bez urażenia bitego talara z palców.

Chciałbym tak strzelać — rzekł Czesław, lubo i człowiek nie spudłuje do dubelta i do słomki.

— Wasze ani możesz sobie *imaginować*, wielu to dawniéj było dobrych strzelców, — i jać nie był ostatni! świéczkę kulą zgasić i korek z butelki ustrzelić to była fraszka, — a jednak swojéj Jadwisi (tu starzec ręką siedzącéj obok małżonki, pogłaskał się po siwéj czuprynie),kwiatka przylepionego na czole nie strącałem kulą, jak to bywało dawniéj.

—Czy też to prawda? mój łaskawy Chorąży: zawszem to miał za wierutną bajkę.

—Jakem Chorąży prawda: — żebym tego dowiódł, moja Anulku, (mówił, obróciwszy się do wnuczki), z cisowéj szafki podaj mi tę komedyjkę dworską, z któréj się tak śmiałaś.

A gdy przyniosła dzieło żądane, stary włożył okulary wszyldkret oprawne, najprzód przeczytał napis: »*Komedyja dworska, od Piotra Baryki napisana, i na dworze J. M. pana A. Ł. wyprawiona. W Krakowie w drukarni Maciéja Andrzejowczyka, roku pańskiego 1637.*

Po czém wskazał miéjsce, i prosił by Czesław przeczytał głośno. Kiedy młodzian posłuszny wziął książkę do rąk, Chorąży objaśniając wiersze dodał: »W tém *intermedium* opisany jest żywot sławnych naszych Hussarzy. Otoż, jak oni ze swémi ciurami obchodzili się; czytaj Wasze.«

Czesław zaczął:

»Ale jak się popiją, o nieboże ciura!
Przybeczysz tego, kiedy będzie we łbie dziura.

Skacz mu przez gołą szablę: trzymaj szóstak
w palcach,
A on ci ich urywa kulą po kawalcach.
Więc jeszcze jako tako, kiedy trzymasz w ręce:
Ale kiedy nad głową, to się równa męce!
Bo co chybi, to cię w łeb: — a że ty o ziemię,
Miasto grosza, ali on ugodzi cię w ciemię!
Bodaj - że więcéj nie pił moczonego chmiélu,
Kto tak strzela do człeka, jakoby do célu.
Drugi, każe czuprynę podnieść w zgórę sobie,
To stanie z bandoletem prosto przeciw tobie.
I tak strzela do ciebie, właśnie, jak do żubra,
Aż czasem i łeb trzaśnie!
A jeślić tylko samę podetnie czuprynę,
Przecię-ć znaczną w górze na wierzchu łysinę,
Boć skórę ze łba zedrze, właśnie jako z węża!
Po tym oni dochodzą rycerskiego męża:
Jeśli serca dobrego, jeśli będzie śmiały,
Kiedy wytrwa takowe jakby niepostrzały.
A jeśli cię zabije przy takiém igrzysku,
(I często się to trafia, a zwłaszcza przy wińsku),
To sobie w śmiéch obraca: a ty téż pachołku,
Pod Bożą Męką kędy, zagrzebiony w dołku.

—Satis!—rzekł przerywając stary Tadéusz. A co? czy nie prawda? W reszcie patrzyłem się, żywie Bóg prawda, własnémi oczyma na to. Ten sam pan Janusz o którym prawiłem Waści, pierwszéj żonie, która bezdzietna umarła, jak podchmielił czuprynę, korki z pod trzewików ustrzeliwał. Mnie raz samemu, obcas kulą urwał bez urażenia. Miał ci i hajduka śmiałka, co mu w palcach dotrzymywał talara:—ale jak raz za nadto w czubek nalał, i miasto talara pół palca uciął, od onego czasu takich prób zaprzestał. I on Niedźwiednik, jak kto śliwkę w górę rzucił, to strzałem rozbił na miazgę. Pamiętam ostatnią razą, kiedy podochocił sobie, wtedy gdy żywego dzika z knieci przywiózł, i po kilkunastu strzałach upadł na grzbiécie, położył zabitą kuropatwę w piérzach, ustawił cztéro-złotówkę, o sto dwadzieścia kroków kulą ze strzelby strącił piéniądz, a ptak nieruszony. Tak to i człek sam dokazywał nie dawno przed trzydziestą laty.

I pokręcił z dumą siwego wąsa. Czesław uśmiechnął się, a starzec kiwając głową wyrzekł:

—Śmiéjesz się Waść, że nazywam to nie dawno, co się przed 30stu laty działo, — i masz racyją! Dla mnie to nie dawno, kto przeżył z nasypką osiém krzyżyków; to przecież wszystko od Waści starsze. Ale wierz mi, żyłem długo, i dzięki Bogu dosyć, lubo w tém święta Jego wola, przecież zdaje mi się, że to wszystko wczora było. Prawdać, i ja ci umiem rachować lata bez kalendarza, nawet po znaczniéjszych wypadkach żywota: — a jednak ci najwięcéj złéj doli rachować muszę! Syn mój! —»Tu otarł łzę, — pomruknął kilka wyrazów z cicha, że nikt dosłyszéć nie mógł.

—Nie mam go! — córka umarła! a to z moją dziéweczką skarb wszystek, — i wskazał na młodą Annę.

Pani Tadéuszowa, aby łzy ukryć, wspiérając się na lasce odeszła ku oknu, a dobywszy kawałek cukru z kiészeni, karmiła kanarki: — Anna, spuściła oczy. Czesław wzru-

szony niemą boleścią starca, nie śmiał przerwać milczenia. Nie długo twarz sędziwa rozjaśniła się napowrot, i czy to ze zwyczaju, by gościa zabawić, czy dla zatarcia zbyt smutnego wspomnienia; — po kilku ciężkich westchnieniach rzekł nagle:

—A powiem też Waści o *Mocnym Janku.*

MOCNY JANKO.

Poznałem go w sędziwym wieku, w niemłodéj życia dobie, pamiętam by dzisiaj żywie stał przed mémi oczyma. Wysoki za młodu, w późniéjszych latach nachylił się nieco ku ziémi. Szron okrył krucze włosy, spadały mu ony w gęstych zawijanych kędziorach na kark wymknięte długo, z pod czapki rogatéj. Ręce u niégo szorstkie, bo tak jako i inni trzeba Waści wiedzieć, rzadko miał do czyniénia z piórkiem, chyba list napisać do dobrego sąsiada, alboli liczbę (a) zrobić z pod-

(a) Obrachunek.

starościm i czeladzią. Sam toporem ociesywał nie raz kłody na budynek folwarczny, poprawiał na wiosnę płoty, — a nie raz Augustówką, ociesywał zuchwałego szlachcica, albo urwipołcia z sąsiedztwa, kiedy mu zaszedł drogę.—O! boć to był za prawdę prawdziwy dobry szlachcic po mieczu i po kądzieli, ani dał sobie na plwać w kaszę, ni rękawa od kapoty urwać.

Pan Wojéwoda, co z nim graniczył, chociaż wielom ciosał kołki na głowie, dla mocnego Janko był z *estymą*, nigdy nie kazał zaczépiać *dobrego* (jako mawiał) *samsiada i miłego pana brata!* — Nie raz zapraszał go do swego dworu, kiedy ucztę wyprawiał, a w on czas mocny Janko, co pił nie lada, dziwił gości Wojéwody i siłą żylastéj ręki, i siłą mocnéj głowy.

Jeszcze byłem pacholęciem, bom nie doszedł dwudziestu *roków*, gdy mój pan ojciec, chcąc łasce i wysokim względom Jaśnie Wojéwody syna swego, a krew swoję polecić a oddać; wsiadł sam do kolasy, a ja

na dobrym stępaku z pacholikiem, zajechalim do dworu Wojéwodzego. Tu uścisnąwszy kolana Pana Wojéwody, mój pan ojciec przedstawił mię jako syna i wyrostka swego. Pan Wojéwoda łaskawie powitał, o swéj łasce zapewnił. Wtedy to spojrzawszy na stół w podkowę ustawiony, ujrzałem mocnego Janka:—ocierał wąs szpakowaty z piany marcowego piwa, którego dopiéro co dzbanek wychylił.

Było to ranne śniadanie: bigos hultajski, kiełbasy i wędzonki zapełniały stół cały wraz z flaszami pełnémi wódek, ratafii i miodu; w dzbankach cynowych czerwiéniło się smakowite piwo.

Mocny Janko już połknął ze trzy łokcie kiełbasy, sprzątnął dwa półgąski, misę bigosu i obrabiał na koniec całą szynkę, z któréj już kość jeno wyziérała. Zarumiéniły się przymarszczone policzki od sytego jadła, i rozgrzewających trunków,—uśmiéch wesoły osiadł na licu,—powitał radośnie mego pana ojca, a głaszcząc mnie po ramiéniu: »Tadé-

uszku (prawił poufale), jak się posilę, tyś młode pacholę, to cię potém sztuczek różnych nauczę.«

Jakoż zaraz po śniadaniu, Pan Wojéwoda odezwał się w te słowa:

—Dobry nasz samsiad, (rzekł obracając mowę do mocnego Janka), zechce nam owę sztuczkę pokazać, o którą prosiliśmy dawniéj.

—Jasny Panie Wojéwodo, odrzekł stary, skłaniając się nizko, wola Jaśnie Pana jest dla mnie prawem.

Wtedy Pan Wojewoda klasnął w dłonie, i weszedł wysoki hajduk ogromnéj tuszy. Jak stanął przy mocnym Janku, to mu ten był jéno po biodra, i Janko musiał podnieść głowy w zgórę by mu zajrzał w oczy, a hajduk przychylił głowy i spojrzał, by bocian na żabę, chcąc zobaczyć mocnego Janka.

—To to ten Golijat, Jasny Panie, co tak silny: — a niech no sztuczkę swoję pokaże. — A po tych słowach wyprostował się, ścisnął pasa i zawinął rękawy od kapoty. Wtedy zobaczyłem rękę chudą, ale tak żylastą; że

więcéj było barwy od żył niebiéskich, a niżeli ciała.

Przyniésiono na cal grubą szynę żelaza, wysoki hajduk ujął ją w obie ręce, środkiem oparł o szyję, ścisnął mocno i zagiął w kabłąk. Janko uśmiechnął się jéno, porwał szybko tęż samę sztabę, w rękach ją wyprostował, by obręcz leszczową,— przystąpił do Pana Wojéwody, a skłoniwszy się nizko:

—Jasny Panie! hajduk ten ma trochę siły, alebym prosił, żeby ukląkł, bo taka *maryjacka wieża*, że mu do szyi nie dostanę,— a srom byłoby szlachcicowi, po stole drapać się do jego karku.

Posłuszny rozkazom Pana Wojéwody, lubo z niemałym strachem ukląkł hajduk wysoki, bo nie wiédział co z nim chce zrobić Janko. W ów czas ten przystąpił, okręcił mu w koło szyi sztabę, i pod brodą na węzeł skręcił. Zerwał się hajduk z obróżą: wszyscy z podziwu przyklasnęli za przewodem Pana Wojéwody, a Janko wychylił pu-

har srebrny starego miodu. Hajduk napróżno siłował, chcąc szyję uwolnić od niemałego ciężaru, w reszcie zaczął prosić Janka.

—Nie! poganinie! ozwał się na w pół z gniewem stary, za karę, żeś chciał się z dobrym szlachcicem probować w sile, noś do wieczora obróżę: a nie,—to ruszaj do kuźni, niech ci łeb z szyną kowal wsadzi do pieca, a jak żelazo rozgrzeje, to łatwiej rozkręci.

I chodził biédak do późnego wieczora wśród pośmiewiska dworzan i czeladzi, aż sam Pan Wojéwoda prosił za swoim hajdukiem. Wtedy Janko plunął w ręce (taki miał zwyczaj, gdy się zabiérał do roboty), i z taką łatwością jak skręcił, rozwinął i wyprostowaną sztabę złożył u nóg Pana Wojéwody, a Pan Wojéwoda za ten znak *estymy swojéj persony*, puhar mu srebrny, co pił z niégo miód stary, na pamiątkę podarował.

—Weźcie to mój miły panie bracie (a Janko głaskał czuprynę i gładził wąsa z uciechą); niech ci zawsze przypomina dobrego sąsiada. I podał mu rękę: —stary uścisnął

podaną szczerze, a drugą dotknął kolana Pana Wojéwody.

—Jasny Panie! dzięki ci za to, żeś *chudzinę* wspomógł, — ale nie cenię tego jak srebro, lecz jako dar godny i łaskawéj ręki.

Wśród wieczerzy dużo obnoszono wina. Janko siédział blizko Pana Wojéwody, i coraz dobréj miary wychylał puhary. Po uczcie już ze splątanémi nogami, chciał na szable wyzywać, lecz Pan Wojéwoda obawiając się, aby po pijanu nie odciął komu łba od karku, kazał szable i kordy pochować. Janko rozgniéwany tym rozkazem pana domu, dwa grube srebrne puhary zgniótł w ręku jak z papiéru, a Pan Wojéwoda udając że nie widzi jego złości:

—Panie bracie! rzekł z uśmiechem, nie wysilaj próżno ręki, bo jak zaczniecie na puharach siłę pokazywać, to w końcu i pić czém nie będzie.

Janko kochał tego pana, z ukłonem udobruchany przeprosił za szkodę i poszedł do ogrodu otrzeźwić się nieco.

Nagle mocną usłyszeliśmy wrzawę. Marszałek dworu doniósł Panu Wojéwodzie, że siédmioletni niedźwiedź chowany na folwarku, urwał się z łańcucha i wpadł na okólnik w oborach. Gdy Pan Wojéwoda wydał rozkaz strzelcom do zabicia rozjadłego zwiérza; Janko już tam pobiegł, wyrwał kawał drąga z płota i poszedł w zagrodę. Był to dzień majowy, deszcz mżyć począł, i ślizgota nastała; czeladź z podziwem patrzała, że tak Janko śmiało do niedźwiédzia idzie, i gdy się zbliżył, uderzył go po grzbiecie drągiem. Niedźwiedź jeszcze więcéj rozżarty, obraca się z mrukiem. Janko rzuca drąg daleko, i w poły chciał pochwycić zwiérza, ale ośliznął się i na wznak upadł. Wszyscy krzyknęli z przestrachu, patrząc z jaką zażartością rzuca się na niégo niedźwiedź. Już oddech jego Janko czuje blizko twarzy, zbiéra siłę; i rękami zrzuca z siebie rozjadłą bestyją. — W tym téż nadbiegli strzelcy, i dwoma strzałami powalili niedźwiedzia: a Janko z téj walki wyszedł cały, lubo nieco podrapany i stłuczony.

Pan Wojéwoda i goście dziwili się téj sile, że leżąc potrafił zrzucić z siebie niedźwiédzia. Janko nie chcąc pokazać się w komnatach w poszarpanéj kapocie, zaraz odszedł do domu, i cały tydzień nie chciał stanąć przed obliczem Pana Wojéwody.

* * *

Zaledwie przerwał rozmowę Tadeusz, zadzwoniło sań kilka w opłotkach, i wkrótce nowi goście ukazali się w ganku. Chorąży wsparłszy się na ramieniu Czesława i wnuczki, stanął na środku, witając uprzejmie przybyłych sąsiadów.

Wszedł najprzód pan »*Jadam Rębacz*,« wysoki, szczupły, z podgoloną czupryną i czterma na krzyż rysami na czole: — za nim z wąsem sitarskim pan »*Malcher Skorochód*« w wytartym z czerwieni żupanie, i pasem wełnianym: za tymi stary Wydżga Gerwazy z małżonką Brygidą podeszłą, i 12stu letnim wnukiem.

Pan Tadéusz powitał sąsiadów uprzéjmie, ściskając za rękę panią Brygidę ucałował w czoło, jako blizką pokrewną.

Kiedy przybyli nieco się rozgrzali, i ciepłem w izbie i nie małéj miarki kieliszkami czystéj szumówki, zasiédli do śniadania, zmiatając smaczno zastawione łokciowe kiełbasy i *bigos hultajski.*

Doniésiono sosniny na ogień, buchnął silniéjszy płomień; niewiasty wyszły do przybocznéj komnaty, a przybyli rozgościli się wesoło, zasiadłszy w około komina.

—Cóż tam słychać mój Jadamie, jakże zdrowie Waszéci? zapytał stary Tadeusz.

Kordem panie, kordem, niczego do usług Waszmości, mnie wielce miłościwego.

Pan Jadam miał takie przysłowie, że co słowo powtarzał »*kordem panie.*« — W młodości swojéj wyćwiczony w krzyżowéj sztuce, cuda zręczności i odwagi pokazywał zuchwałéj. Cztery szramy głębokie na wyniosłém czole, poświadczały pana Jadama waleczność, i godny przydomek *Rębacza*, który

zastępował jego rodzinną i herbowną nazwę.

Wiek podeszły, liczył bowiem lat 72, nie pochylił głowy, ani osoby: szedł żwawie, z podniesioném czołem, lewą rękę ciągle na boku trzymając, zapewnie z nazwyczajénia; bo tam zawsze nosił szablę i codziennie ją dobywał: to naznaczając czoła przeciwników, to karbując uszy i nosy. Kiedy wpadł w zapał opowiadając jak dokazywał dawniéj, tak zamaszyście prawicą wywijał, jakby rąbiąc kordem zajadle. Gdy go pytano, skąd doszedł wielkiéj wziętości między sąsiadami, i u znakomitych panów przy których stołach zawołanym był biésiadnikiem, zawsze odpowiadał: »kordem panie, kordem.« — I tak nawykł do tego wyrażénia, że w późniéjszym wieku zawsze go używał.

I mówił prawdę:— kord go wsławił, dokazywał też nim nie mało na sejmikach i w *zajazdach* tak częstych niegdyś.

Jeszcze nie zaczęli między sobą staruszkowie gawędzić, gdy Malcher Skorochód naj-

bliżéj siedzący okna, usłyszawszy parskające konie, spojrzał na podwórze i zawołał:

—Niech się szklanką wody upiję, na srom mojégo imiénia, dyć to nasz pradziadek przyjechał.

Na to słowo, zerwał się pan Jadam, Wydżga i sam Malcher, wybiégając wszyscy co żywo na ganek. Porwał się i Tadéusz, pochwyciwszy za ramię Czesława, i rzekł: »Trzeba wiédzieć Waszeci, że kto przyjechał, może być moim dziadem;—liczy wieku tyle, że sam porachować nie może, — ale pewnie 120 lat z górą.«

Czesław chciał wybiédz na podparcie kroków przybyłego starca, Tadéusz go zatrzymał:

—Nie opuszczaj mię Waszeć, — już tam nasi sąsiédzi wysadzą go z sanek, co za dzień radosny.

A wnet ukazał się on pradziadek, niesiony więcéj jak prowadzony przez Jadama, — i Malcher Wydżga niósł czapkę i laskę z toporkiem. Wysunięto duże z poręczami krzesło,

i posadzono starca. Z nachyloną głową, spierając brodę o piersi, zdawał się odpoczywać zmęczony, — po chwili podniósł ją, a oczy z pod siwych brwi i gęstych zajaśniały. Przeciągnął niemi po wszystkich kłaniając głową na powitanie, lecz gdy wzrok utkwił na panu Tadéuszu, dał znak aby się przybliżył: wtedy pochylonego pocałował w głowę i pobłogosławił.

I znowu zwiesił głowę na piersi jak dawniéj, ruszając ciągle ustami jakby żuł pokarm jaki. Pani Tadéuszowa co rychléj nadbiegła z wnuczką i panią Brygidą, niosąc w puharze srebrnym miód wylecony z imbiérem i muszkatołową gałką.

Młoda Anna ucałowawszy ręce *pradziadka*, podała napój, a staruszek zrobiwszy nad nim znak krzyża wychylił do kropli; i w kilka chwil zadrzymał. Tadéusz przyłożywszy do ust palec, nakazał milczénie; kobiéty zaraz wyszły najciszéj do przybocznéj komnaty, a reszta nie śmiała się ruszyć, nie mal odetchnąć, żeby nie zbudzić pradziadka.

Czesław stojąc blizko komina, choć mu dopiekało gorąco, nie posunął i kroku, pełen podziwu patrząc; jak ci ojcowie licznych rodzin, z uszanowaniem poważali starca, co mocnym oddechem zwiastował sen miły, spokojny, skrzepiający jego siły i umysł.

Przez pół godziny taka cisza trwała, żeby usłyszał latającą muchę. Malcher pochylił się wkrótce i zajrzał w oblicze starca i rzekł: »Już się pradziadek obudził.«

Pan Jadam wtedy odkaślnął silnie, Wydźga nos utarł, Czesław odsunął się od komina, a pan Tadéusz przysunął swoje krzesło z pomocą gości do pradziadka.

—Co tam na dworzu Tadéuszku, zapytał z cicha pradziadek, będzie ponowa, dobre łowy.

—Śnieg pada i mróz ognisty, odrzekł pan Jadam: — nie pamiętam takiéj zimy.

—Moje dzieci, bywały tęższe. Pamiętam jak Turcy do nas wpadli, pruli brzuchy koniom i ręce wkładali, — lecz i to nie pomogło, Bóg ich poraził; — wymarzli wszyscy! — Ta-

déuszku, wartoby starego miodku staremu podać.

Czesław podał puhar przygotowany, a starzec wychyliwszy go do dna, począł drzémać.

—No, możem głośniéj gaworzyć rzekł Malcher. — Starowina teraz twardziéj zaśnie! —

—Za prawdę, mówił Tadéusz, — będzie spał jak po łaźni. Czyż Bóg dobry, da nam takiégo wieku doczekać. Byłem małém pacholęciem, on już był wiekowy i jeździł dobrze na koniu. — »Towarzysz Ussarski, nie raz do mego pana ojca prawił, na koniu żyje i umiéra. Pan Bóg inaczéj mu przeznaczył, już od lat 20 przeszło nie może dosiąść siodła, i więcéj prześpi, niźli przeżyje.

—Panie Chorąży, wyrzekł głośniéj Jadam Rębacz, pamiętam ci, że na całą okolicę nie było lepszego rębacza, jak nasz pradziadek. U pana Podstolego, poczęło mu przymawiać że Mazur, z początku pradziadek żartował, ale jak wiéła nie wylewał za kołniérz, jak

czuprynę zagrzał, daléj do szabel. Jużem był wyrostek dobry, bo w 36 roku, krzyknął jeno: — *Jadamciu! Jadamciu!* nuż plecy! Poskoczyłem i plecyma sparliśmy się razem. Wtedy pradziadek wdziawszy czapkę, poły za pas, a wyloty za siebie: — błysnął szablą i zawołał. »A nu chłystki, chodzino który, nauczę was mazura.«

I drudzy, co nie mijali puharów, a zagniewani na pradziadka, przyskoczyli. — »Pilnuj pleców,« krzyknął na mnie, już ja ich wezmę na siebie. »Naż tego, nuż drugiego, aż z pięciu co uderzyło, dwóch na ziemi, a trzech uciekło. »Jadamciu, z wolna do drzwi, trzeba nam wyjść na ogród, już ja pan w polu: — ale tu, poganie po czeladź pobiégli, jak przycisną zdala ławą, albo stołem, to i pobiją.«

I tak ci zwolna wyszliśma na ogród, nasza czeladź prędko nadbiegła. Gospodarz domu miasto gości rozbrajać, uciekł; a nas zostało sześciu z czeladzią.

Nie długo do 30 przyleciało podpiłych: »rozsiekać! rozsiekać!« wołali. — Pradziadek zrobiwszy szablą krzyż na ziémi; plunął w garść i podniósł rękę w górę uważając, który piérwszy uderzy. Nas dwóch osobno, a czterech czeladzi razem w kółko. Oskoczyła nas ta szarańcza, byłyć to nie przelewki, — ale jak wiéta że umiémy i ciąć dobrze i brać dobrze. W pół godziny już siedzieliśmy na koniach; zostawiwszy dwóch pachołków rannych: aleć ich leżało nie mało. Od onego czasu, nikt na pradziadka, nie śmiał podnieść ręki, a człowiek miał ci także *estymę* u ludzi.

W środku téj gawędy, co raz głośniéjszéj, bo pan Jadam nie szczędził piérsi, pradziadek roztworzył oczy i z uśmiechem przysłuchiwał się o swojéj dawnéj sławie.

—Tak! tak! mój Tadéuszku, — wszystko prawda co wyrzekł Jadamek, byłoć tak byłoć; ale teraz nie podoła ręka moja. Wy dzieci, to wasze pole.

A te dzieci nachyleni laty, okryci siwizną, więcéj jak półwiekowi, z radością patrzéli po sobie, radzi wspomnieniu lat młodych.

Panie Cześniku, — rzekł Tadéusz, zbliżając się z powagą sparty na ramieniu Czesława: oto mój gość młody, co więcéj zasługuje na to miano, którém nasz Wasza miłość ozdobiła.

Pradziadek spojrzał na dorodnego młodzieńca i podał rękę. Czesław z uszanowaniem ją pocałował, starzec kiwając głową: »Dobre to pachołę widać, — zna szacunek starości, pocałował! a przecięć ja Waści nie pokrewniak.«

—Panie Cześniku! (a starzec podniósł głowę z dumą i pogłaskał wąsy), cześć jaką składam, nie powinna Was zadziwiać, bo równą wam oddają starsi ojcowie.

—Dobrze mówita Wasze, a w któréj że klassie.

—Jużem zapomniał o szkołach, sześć lat gospodarzę.

— Na mego patrona, takie pachołę za moich czasów jeszcze nie raz siedziało w *infimie*. Jakżeście starzy? —

— Dwadzieścia cztéry lat skończę nie długo.

Starzec poruszył się silnie, spojrzał na Chorążego, a gdy ten głową potwiérdził słowa Czesława:

— Miły Boże! w tym wieku miałem prawnuka: — ale ladaco jak pan Rej z Nagłowic, jéno wykręcał ptaszki, wronom z chusty przyczepiał ogony.

Weszły niéwiasty dając znać że obiad na stole, wszyscy ruszyli razem, prowadząc na czele pana Cześnika.

Po przeżégnaniu stołu, zaczęto skromną ucztę, miód stary krążył między starémi biésiadnikami, przed końcem obiadu pradziadek zwiesiwszy głowę na ramieniu, zasnął. I zaraz gwar wesoły ustał, w milczéniu dokończono, i wszyscy w cichości wyszli do bawialnéj komnaty.

Zamieć silna powstała, śnieg płatami okrywał pola i domostwa, ale przy jaśniejącym

ogniu kominka, podochoceni goście nie troszczyli się ani o śnieg gęsty, ani o zamiećie. Puhar z herbem Chorążego obchodził w koło.

Pan Jadam i Wydżga, już pieśni pomrukiwali z cicha, wstrzymując się jedynie, aby nie zbudzić drzémiącego starca przy stole, gdy gładka Anna przybiegła z doniesiéniem: »Już się pradziadek obudził.«

Skoczyli wszyscy, i z krzesłem wniósłszy, postawili zdala, ale prost komina; by łagodne ciépło rozgrzéwało staruszka.

Pan Malcher dotąd milczący, rozgrzany nie jédnym puharem; zaczął śpiewać onę piosenkę z przymówką na Muzurów:

»Mazurowie naszy,
Po jaglanéj kaszy,
Słone wąsy mają,
W piwie je maczają.«

—Szczęście Waszeci—zawołał donośnym głosem pan Adam: że Wasze sam Mazur;— dawniéj za taką piosneczkę, pozbyłbyś ucha lub przyciętoby wąsa.

—Hola! Jadamciu szabli! krzyknął pradziadek, zwołać czeladź i pachołków: daléj plecy do moich! I wyciągnął ręce w górę!

—Marzy o dawnych czasach, szepnął Tadeusz w ucho Adamowi, ale pan Malcher na wykrzyk starca, podszyty zającem, cofnął się do pieca, i przymrużone oczy wytrzészczył.

Cześnik nie opuścił ręki, podniósł w górę głowę i mocnym głosem wołał. »Jadamciu! trzéj na prawo: Nuż! górą nasi! górą!« A z tym wykrzykiem spadła mu ręka na poręcz krzesła, i zamknął usta robiąc silnie piersiami jak zmęczony biégiem.

Wydżga po kilku słowach z panem Tadeuszem i Jadamem zbliżył się do starca, i rzekł: —Pozwólcie panie Cześniku że ci zaśpiewamy pieśń łowiecką!

Starzec uśmiechnął się radośnie, a wśród śpiewu starców, wesoło potakiwał głową; była to pieśń jego ulubiona, którą od dziada swego sławnego myśliwca pojął; pieśń ta budziła w nim pamięć lat młodych, któ-

re miał zawsze świéże przed oczyma. Pan Jadam wtedy stanął na środku izby, i przez rękę zatrąbił tak czysto, że Czesław myślał, iż słyszy róg myśliwski. Wtedy zaczął śpiewać, a po każdéj zwrotce, ostatnie wiersze wszyscy chórem powtarzali.

Zając sobie siedzi pod miedzą
A myśliwi o nim nie wiedzą:
Po chróścinie zakładają,
Szczują, trąbią i wołają,
»Owo bieży!

*

Owo bieży! (mówią) po niwie,
Choć go nie widziała przy żniwie,
Śliczna Ceres,— gdy kłosami,
Bujne łany z dziedzicami
Sadziła!

*

Zając w gęstéj parowie dyszy
A myśliwcy zmokli jak myszy:

Szkapy zwlekli, posadnićli (*)
Psy co lepsze potracili
Na chrustach!

*

Tu wiatr deszczem oczy wysieka,
Tu głód przykry kiszek przypieka,
Owdzie wstyd, że nie wtroczyli
Ba zgoła że nie zoczyli
Zajączka!

*

Upatrzony siedzi pod knieją,
Łowczy bieży z dobrą nadzieją,
W gołe pole że wypadnie
Uwijać się pocznie ładnie
Między psy!

*

Wnet go łowczy zdala zajeżdża
Psy zawodzi, a pan nadjeżdża:
Harapnikiem rusza kota,
Mówiąc »wstawaj« wstał na błota
I uciekł!

*

(*) Odparzyli grzbiety koniom.

Szczwacze drudzy krzyczą weseli,
Chocia chleba w gębie nie mieli,
Pan Starosta z charty czeka
Pilno patrzy i rad słucha
Muzyki.«

Pradziadek poklaskując rękoma, z rumieńcem na zmarszczonych policzkach, nie mógł dłużéj wytrzymać, dał znak ręką i drżącym dośpiewał głosem pieśń dawną.

»Cytry, surmy i cymbały
Wydawają głos zuchwały
Taff! taff! taff!« (*)

Wszyscy powtórzyli ten głos gończych z ułudą Czesława: pan Jadam na skończeniu znowu zatrąbił przez rękę i uścisnął kolana Cześnika, który uradowany wielce pocałował go w czoło.

(*) Pieśń ta cała znajduje się w dziełku p. n. Postny obiad abo zabaweczka przez P. H. P. W. w Krakowie R. P. 1684 in 4to.

Czwartą godzinę odkukała kukułka na zegarze, a przy chmurach i gęstym śniegu, taka pomroka nastała; że pan Tadeusz kazał świéce przynieść. Weszły niewiasty i w koło pradziadka obsiadły, przyniesiono gąsior węgrzyna. Wtedy milczący Malcher co stał przy pieću wykrzyknął: »*Non est vinum, nisi hungaricum.*« Wasze *Piskorz Łęczycki* mówił do Adama, znasz to cudne przysłowie.

—Pan Jadam od karku do czoła pogłaskał czuprynę, co było znakiem gniéwu, poznał to do razu Malcher, i znowu wystraszony cofnął się do pieća.

Dostrzegł to gospodarz domu: »A wiesz Wasze, że *piskorze* przy puharze zawstydzą każdego. Pamiętam jak do Pana Wojéwody właśnie kiedy się kąpał, przyszedł *Jarzęba od Łęczycy.* — Mój Kmotrze, rzekł do niégo, za wanną stoi kosz wina, skosztujcie, jak wam będzie smakować.« — Mój Jarzęba kosztował a kosztował, a prawił dyktéryjki panu. Nim wyszedł z kąpieli Wojéwoda, cały kosz wysuszył.

—Nie nowinać to i teraz, luboć na wino nie staje. Mój sąsiad z drugim się zszedłszy, (prawi pan Jadam udobruchany), kiedy właśnie z browaru przywieźli dużą beczkę piwa; chcieli pokosztować. Postawili ją przy kominie, żeby się nieco piwo zleciło, sami usiedli i poczęli gawędzić. — Gadu — gadu — wieczór przeszedł, około północka, już nachylili nieco beczki podłożywszy polano: jeszcze świtać nie zaczęło, zbudzeni z drzymki, znowu nachylać beczki, aż nie długo same drożdże: kiwając głowami z podziwieniem, rano opowiadali żonom, jak *Boruta*, on sławny djabeł z Łęczyckiego zamku, wypił im na przekorę całą beczkę o 36 garcach piwa, którą sami zaledwie napoczęli.

—Pamiętam, rzekł Wydżga, że u Pana Kasztelana, był ten sam Jarzęba starszym dworzaninem. Jak przyjechał w gościnę, Pan Wojéwoda, Kasztelan dobył ogromny puhar, w który 6 kwart wchodziło, i chciał zakład znaczny zrobić; twierdząc, że ma na swoim dworze takiego, który od razu wypije.

Pan Wojéwoda przeczył, Kasztelan się upierał, nie chcący, spojrzał na Jarzębę, aż ten na którego tyle rachował, potrząsł głową na znak że nie da rady. Ochłonął Kasztelan. Po obiédzie Jarzęba zbliża się do Pana, i radzi zrobić zakład. Kasztelanowi w to graj. Rozpoczyna spór na nowo. Wojéwoda przeczy,— przynoszą puhar i robią zakład znaczny. Jarzęba występuje na środek, odbiera pełny węgrzyna puhar, a przeżegnawszy go, jednym duszkiem wychylił do dna, poczém odetchnął silnie piérsią i przewrócił puhar nad talarzem Wojéwody; na dowód, że i kropli nie zostało. — »To mi gracz! zawołał uradowany Kasztelan, ale powiedz mi Wasze, dla czego przed obiadem dawałeś mi znaki że nie wypijesz?« — Jasny Panie! odrzekł Jarzęba kłaniając się nizko, musiałem sprobować.«

—Co? więc to drugi puhar! wykrzyknął z podziwem Wojéwoda.

— Tak, Jasny Panie! zawszem zwykł wpierw probować, nim się czego podejmę.

Za tę sztukę wziął Jarzębę Pan Wojéwoda do swego dworu, gdzie do śmierci zostawał.

—Musiał żyć krótko? — zapytał Czesław.

—Gdzie tam! żył lat 76, ale od 60 roku nie pił tyle, i to mu zgon przyśpieszyło.

Że to były zapusty, młoda Anna przyniosła chrust (*) swego smażénia, który dla pradziadka podała rozmoczony w winie. Przerwano rozmowę, wzięto się do puharów. Malcher niedługo jak stał przy piécu, powoli gdy mu się skracały nogi, usiadł i zasnął. Pradziadek drzymał smaczno: pan Jadam, Wydżga, z pomocą Czesława najprzód wynieśli z krzesłem staruszka do alkowy, gdzie na przygotowaném łożu z firankami złożyli. Malchera wyciągnęli na świeże siano, a odprowadziwszy pana Tadeusza, wrócili sami (bo i Czesław udał się na spoczynek), by dopić reszty w gąsiorach węgrzyna, i starego miodu.

* * *

(*) Faworki.

We dwa lata, Czesław zaślubiwszy młodą i cnotliwą Annę, wnuczkę pana Tadeusza, zamieszkał w tym samym dworku, szczęśliwy, pielęgnował starców w podeszłym wieku. Przy końcu drugiego roku, za odebranym listem znalazł dziadka swego z zapłakanemi oczyma. Cóż się stało? zapytał przerażony.

—Mój synu! Bóg powołał do siebie naszego pradziadka.

W parafijalnym kościele uderzono w dzwony, wniesiono ciało Cześnika, przy spuszczaniu ciała do grobu, pan Jadam tarczę herbowną połamał, na znak; że ostatni tego domu i herbu znika.

W pięć lat opłakiwał Czesław ze swoją Anną zgon sędziwego Tadéusza i jego żony. Przynosił do ich grobu drobne dziatki, a razem z niémi, i małżonką swoją, zanosił modły do Boga!

PRZYPISY.

Podobnych, jak Niedźwiednik myśliwych, znaleźć można było jeszcze wielu przed kilkunastą laty; są i dziś starością naciśnieni.

Roch Białkowski, dziedzic wsi pod Kołem, szlachcic olbrzymiéj siły i myśliwiec niepospolity, kiedy przeniósł się w Poznańskie i zamieszkał u P. Garczyńskiego, chcąc go na imieniny uczcić podarkiem godnym starego łowcy; poszedł na upatrzonego odyńca do knieci, żeby wziąść go żywcem. Jakoż cztery jego kundle wyuczone osadziły na miejscu dzika, a Roch Białkowski podobnym jak Niedźwiednik sposobem, wybiwszy kły, związanego dzika przywiozł P. Garczyńskiemu.

* * *

W Oleszycach w Galicyi w roku 1837 miesiącu Listopadzie, zastrzelił się wieśniak doczekawszy

późnego wieku. Człowiek ten w swojém życiu zabił 105 wilków, jedynie kijem okutym w żelazo. Niemożność wyżywienia się w starości, skłoniła go do samobójstwa.

* * *

W dobrach hrabi Zamojskiego, żyje dotąd (piszę to w 1838 r.) Łojek prosty gospodarz, dawniéj gajowy w tychże dobrach zamieszkały, a któremu Hrabia zarząd w czasie obławy wszystkich stanowisk, i cały kierunek obławy powierzał. «Fizyjonomija (wyraża się tak Kurjer Warszawski Nro 272 z 13 Października 1837 r.) szczególna tego człowieka, jego wzrok śledczy, i drzewa przenikać się zdający, możeby nowe nastręczył frenologistom spostrzeżenia. Łojek bezsennie zimowe nocy, wśród wycia wilków przepędza. Łojek tak dokładnie ich głos udaje, że zwiédziony zwierz, na strzał przybiéga, a on miérząc w błyszczące wśród nocy ślepie, na miéjscu go kładzie. Łojka mniéj wzruszy pomor na bydło, niż wieść o porwanéj przez wilka owcy; a tym, którzy go o polowaniu zagadują, zwykł mawiać: «Panie! cóżbym ja na świécie robił, gdyby wilków nie było?»

* * *

Rękopism łaciński z r. 1601, tak nam maluje *Babania* gajowego w lasach Święto-Krzyzkich i sławnego myśliwca w XVI wieku.

«Chłop to wysoki, a piérsi i plecy nadzwyczaj szerokie, — na całém ciele, szczególniéj na piersiach obrastał jak Niedźwiedź. Ręka żylasta i szeroka, a na niéj nie czuł ciężaru, chociażby największy człowiek usiadł. Bujał nim wtedy by jabłkiem. Zbrojnego na koniu Ussarza przewracał z koniem, — w lesie drzewa po 10 i 15 lat mające z korzéniami wyrywał. Żaden człowiek nie wytrzymał, i nie ustał na nogach, jak go Babań potrącił jednym palcem. Raz kiedy był w kniéi, Niedźwiedź na niego wypadł: nie zdążywszy strzelić, uskoczył za buk gruby, a gdy zwiérz łapami drzewo objął, sądząc, że go razem schwyta, Babań przycisnął rękami łapy i trzymał dopóty, aż nadbiegli myśliwi, i zabili niedźwiédzia. Miał cztéry żony, a każda mu w tydzień po ślubie umierała. Umarł młodo, bo w 36 roku przeziębnąwszy na polowaniu. Powiadają, że miał podwójną kość paciérzową, i że matka wilczycy mlekiem, którą chowała w domu, długo go karmiła. I stąd owę miał siłę do podziwiénia wszystkich.»

* * *

Zupełnie tym samym sposobem, co Niedźwiednik, zginął odważny, a ulubiony strzelec ostatniego z Książąt Radziwiłłów linii Nieświeżkiéj, Księcia Dominika. Brał zawsze niedźwiedzie na

oszczep, i podobnie w zamachu zawiedziony, od niedźwiedzicy schwycony w poły, ducha wyzionął.

* * *

Co tu opowiada stary Tadéusz o mocnym Janku, nie jest bynajmniéj żadną przesadą. Równą bowiem siłę miał Wojciech Cieński pułkownik i regimentarz za Augusta II. a towarzysz wypraw Jana Sobieskiego. Pod Strygoniją, sam schwytał Baszę Sylistryi. Uzbrojénie Baszy w którém dostał się do niewoli, oglądałem u wnuka Wojciecha, Pana Udalryka Cieńskiego w Galicyi. Był siły nadzwyczajnéj. Kiedy się o tém dowiedział August II. chcąc sprawdzić co o Cieńskim mówiono, kazał go przyzwać przed siebie. Stanął zawołany, a gdy zażądał August, aby mu dowód swéj siły, o któréj tyle słyszał, ukazał: — Cieński pochwycił grubą sztabę stojącą w téj komnacie, a wyprobowawszy jéj giętkość, założył na szyję stojącego u drzwi na straży drabanta, i pod brodą zakręcił na węzeł. Wtedy zbliżywszy się z ukłonem do króla, prosił uniżenie, aby raczył węzeł żelazny rozwiązać. Lecz na próżno August używał sławnéj w Europie siły mocnéj ręki, nie zdołał rozwinąć skręconego żelaza: napróżno kazał przywołać głośnego z siły także kowala

z Warszawy. Ten jeno radził, aby mu z głową drabanta dozwolono sztabę pod miech na węgle podłożyć, a wtedy rozkręci na powrot. W on czas Cieński, pochwycił skręconą sztabę, rozwinął, by woskową, i u nóg zdziwionego króla i obecnych złożył.

Niewiasta z tegoż rodu, była tak silna, iż dwóch szlachty podpitych, co chciało niepokoić zgromadzonych gości, porwawszy za pasy, razem za okno wyrzuciła z dworu.

* * *

Jako szedł za pasy ż niedźwiedziem mocny Janko, tak znałem osobiście dworzanina, co sługiwał u Potockich, iż podobnie chciał pochwycić niedźwiedzia, a upadłszy, rozjadłego zrzucił z siebie. (Patrzéć klasztor Świętego Krzyża na Łyséj Górze). Byłem sam świadkiem na Podlasiu, jak szlachcic z za Łukowa za garniec wódki, probował siły z niedźwiedziem, co go oprowadzali cyganie. Że był podpity, nie pochwycił zwierza po wierzchu łap, i to zrobiło, że gdy go niedźwiedź w poły pochwycił, przełamał i rzucił na ziemię. Leżał potém on szlachcic sześć niedziel, za nim się wyleczył.

* * *

We wsi *Małocicach* pod *Kazuniem* na Mazowszu, znałem młodego wieśniaka, który dwunastu wybranych chłopów przezemnie, za potrząśnieniem obalał. Wiedząc, że lubi jabłka, zrobiłem z nim zakład, że wybiorę sam dwunastu wieśniaków, a gdy im się nie da, otrzyma sześć kóp jabłek i garniec wódki, w przeciwnym razie podzielą się tém zwycięzcy. Po naradzie z Ekonomem i Karbowym, dobrałem krzepkich dwunastu chłopów, miejsce zapasów była obszerna sieczkarnia. Grzela (tak się zwał krępy szerokich pleców on wieśniak silny), stanął na środku, a rozparłszy się nogami, i wystawiwszy ręce, zawołał: aby go się pochwycili. Dwunastu parobków przyczepiło się do niego, jak psy do odyńca; każdy go całą siłą trzymając: to w poły, to za kark, za ręce i za nogi. — «No! *cy już?*» zapytał, i w on czas bez poruszenia z miejsca, raz się tylko otrząsnął, a chłopi rozlecieli się na rozmaite strony. Po raz drugi zachęceni wódką, pochwycili Grzelę, ale gdy ten silniéj się otrząsł, wszyscy padli na ziemię, dwóch głowy sobie nawet rozbiło o ścianę sieczkarni. Już trzeci raz nie chcieli jąć się Grzeli. Kochał się on w dziewczynie dworskiéj imieniem Grondka. Kiedy chciał ją uczęstować, prowadził do karczmy w niedzielę lub

święto, gdzie wieśniacy z dwóch lub trzech wsi zgromadzeni jedli i pili. Wybierał zaś taką dobę, kiedy tylko co zaczęli ucztować. Wtedy rozpoczynał zwadę, a wyłamawszy nogę z ławy powypędzał wszystkich, i ucztą przez tamtych zapłaconą, uraczał kochankę i siebie.

III.

MAZUR.

GAWĘDA Z XVI WIEKU.

Choć w żupanie, znaj mospanie,
Żeś mi winien oddać cześć,
Taka mina, i czupryna,
Nic da sobie na wąs wsieść.

* *

Hulaj dusza, bez kontusza,
Kiedy dają jeść i pić,
Niech honoru, nikt nie rusza,
Jakem szlachcic będę bić.

J. N. Kamiński.

(Śpiewka: Twardowski na Krzemionkach.)

»Jeszcze byłem małym żaczkiem, a już dosyć za to nacierpiałem, że się człek Mazurem urodził.« Tak mówił pan Jadam z pod Czerska, do swego sąsiada Stanisława ze Złotoryi.

— »Dziś to nie tak (prawił daléj), bije w oczy prawowierny Mazowita, aleć za méj pamięci; inaczéj, a za pamięci mego pana ojca; gorzéj bywało. Bo wyobraź sobie Wasze, gdzie się mój świętéj pamięci pan ojciec pokazał w cudzéj stronie, to jak z bicza już ci przymówki o Mazurach na harc wyjeżdżały. Miłyć Boże! jakoby Mazur nie takie Boskie stworzenie, jak i inny człowiek.

Pan Stanisław ze Złotoryi popijając z cynowego dzbana sławne Czerskie piwo, kręcił głową na znak podziwienia, a co budziło zapał do gawędy starego Jadama. Już była spóźniona pora, niewiasty odeszły na spoczynek, i dwóch starców zostało jeno w samotnéj izbie przy pełnych dzbanach zleconego piwa. Stałać tam w odwodzie dębowa gdańska szafa, ozdobiona rzeźbą z dziejów świętych, światowe przysmaki ukrywając. Spore gąsiory maliniaku i dereniaku, błyskały przed oczyma i łechtały podniebienie: jakoż kiedy wszystko ucichło, pan Jadam, widząc próżne dzbany piwa, wydostał na widnią gąsior największy wiśniaku starego, częstując gościa swego uprzejmie. Przy téj szczeréj ochocie i gościnności, nie zapomniał i sam maczać wąsów, aż nie długo policzki oba, jak poziomki leśne ponsową barwę przybrały. Stanisław ze Złotoryi pilnując koléi, słuchał z natężoną uwagą co mu prawił zacny gospodarz, prawowierny Mazowita.

—»Co najgorsze, widziła Wasze,— to to było memu świętéj pamięci rodzicowi, że byle gdzie wyrzekł skąd rodem, heno zaraz pytania, czy prawda że Mazury ślepo się rodzą i do dziewięciu dni jakby to szczenięta nie widzą.

Mój rodzic był szlachcic żylastéj ręki, za odpowiedź kiwnął dłonią, ano się zakurzyło z czupryny. Wrzekomo nie zawsze tak szczęśliwie się skończyło, jako zaraz Waszeci opowiem, ino nieco gardło odwilżę.

I przytknął do ust ogromną szklenicę wiśniaku, snać mu smakowało, bo obliznął usta, i pokręcił sumiastego wąsa.

—Pan ojciec liczył w on czas lat 36, jeno co skończył szkoły, a uważano go za młodzieniaszka lubo gęsto porastał. Rodzic jego, a mój świętéj pamięci dziad pan Stolnik, dawszy mu konia z sutym rzędem, i odważnego pacholika; puścił go w świat, aby się przetarł nieco ze szkolnéj nieśmiałości, i poszukał sobie losu. — Tak jédzie i jédzie, anoć na gościńcu ujrzy porządną gospodę,

więc zsiada z konia, i wchodzi do izby. Ze dwudziestu szlachty popasało społem, popijając rzeźwo. Mój pan ojciec skłonił głowy, a zawinąwszy poły od kapoty, dobył z torby borsuczéj przekąskę i jął pożywać, nie otwierając gęby że rodem z Mazowieckiéj ziemicy. Szlachta widząc postawę poważną, z *estymą* go powitała, i jęła częstować miodem: pił więc a pił dobrze, czém na większą u panów braci *estymę* zarabiał. Kiedy na raz, głupi pachołek wygadał przed jednym w stajni, że on i pan jego rodzeni Mazury. Ano tegoć braci szlachcie potrzeba było! Jacek Boruta chłopisko jak Golijat, nalawszy szklenicę miodem, stanął przed moim rodzicem, a nasunąwszy czapkę na ucho, począł ową dawną piosnkę śpiewać.

»Mazurowie mili
Gdzieście się popili?
W Warce na gorzałce,
W Czersku na złym piwsku!
Jechali przez pole
Złamali dwie kole.

Mazowiecki kaftan
Zgoninami natkan,
Co się Mazur ruszy
Z kaftana się kruszy.
Więc wąsy odyma
Rohatynę trzyma.
Mazurowie naszy,
Po jaglanéj kaszy,
Słone wąsy mają
Piwcem je zmywają.

Rodzic pił spokojnie miód ze szklenicy, lecz w końcu dojrzawszy, że to do niego przymówka; powstał z ławy, wcisnął czapkę na lewe ucho i dośpiewał koniec téj piosnki.

»Znajże śmiałku pany,
Śmiałe Mazowszany,
A nie wiele mierzą,
Śmiejąc się uderzą.

Poczém, niezważając wiele, rżnął w łeb śpiewaka próżną szklenicą, aż się potoczył: a sam stanąwszy na stole, i dobywszy szabli zawołał śmiało.

—Mościwi panowie bracia! za obelgę inaczéj się nagradza, — przeto ufając, że tu wszyscy czują godność swoję, i żaden swemu klejnotowi szlacheckiemu nie uchybi; wyzywam na rękę Jacka Borutę, was dostojni panowie bracia biorąc za godnych świadków!

—Dobrze mówi ślepy Mazur, zawołała podpiła szlachta, gdy Jacek Boruta przyszedłszy do siebie, dobył z pochew ogromne szablisko.

Mój rodzic aż do krwi przygryzł wargi, a wskazując za okno:

—Nie w izbie Mości panowie rozprawa, ale pod czystém niebem.

Wybiegł Jacek, za nim przyjaciele, a mój rodzic pocałowawszy szkaplerz, co go miał od matki, wyszedł za niémi. Boruta był wyższy głową całą i pół ramieniem, a tak silny, że podkowy łamał, sznury rwał grube: — rodzicowi nie brakło jéj także. Skoro stanęli na miéjscu, Boruta jął wykrzykiwać niegodziwe wyrazy, a przyjaciele jego pewni byli, że za jednym zamachem łeb utnie prze-

ciwnikowi. Rodzic ufając opiece Boskiéj, zrobił szablą znak krzyża świętego i westchnął szczerze, gdy zuchwały Boruta radził mu, ażeby komu zostawił bitego talara, coby za jego duszę zakupił mszę żałobną.

— »Chłop strzela, Pan Bóg kulę nosi,« odrzekł na to mój rodzic spokojnie, odbijając pierwsze cięcia. Boruta już się zaczął męczyć rozgrzany trunkiem, a świadkowie dziwili się czemu żyw stoi jego przeciwnik.

— Strzeż łba pogański synu, krzyczał wściekły Boruta!

—Zginie ślepy Mazur, wołali jego przyjaciéle.

Rodzic pomodlił się z cicha, i nagle przed silném cięciem unikając ciosu, przypadł na jedno kolano.

—Aha! zginął! zawołała szlachta: kiedy nagle podskoczył, i jednym zamachem rozciął głowę Boruty na poły. Upadło cielsko jak dąb stary, aż ziemia święta jękła: a mój rodzic nie czekając wiele, doskoczył konia i w nogi, bo wiédział, że krewniacy nie

przebaczą śmierci sławnego w powiecie szlachcica.

—Trzymaj! łapaj zabójcę: do wieży z nim jedni krzyczeli. »To mi gracz! chwat tęgi, wołali drudzy, a mój rodzic co koń wyskoczy, nie pilnując drogi dobrze zmykał. Już był blisko lasu, kiedy dopędzony od sześciu krewniaków, cięty kilka razy spadł z konia.

—Mój Boże! wyjęknął Stanisław ze Złotoryi:—biedaszek! i popił znowu, już nie ze szklenicy, ale prosto z gąsiora dereniaku, który nieznacznie z szafy dobył, wśród zapału gospodarza domu.

—Tak! tak! miły sąsiedzie, spadł z konia okryty bliznami, które na czole do śmierci nosił. Kiedy z omglenia wyszedł, wstał na nogi. W on czas zobaczył że bieli dwór szlachecki za gajem brzozowym, zawlókł się do niego. Mieszkał tam pan Cześnik, człek podżyły ze swoją rodziną, przyjął w dom rado mego rodzica, gdzie musiał leżeć przez cztery niedziele, zaczém wyleczył cięcia odebrane. Alić ledwo wydobrzał w mięsopu-

sty, był zjazd nie mały szlachty sąsiedzkiéj przy uczcie. Jaśko z Krowodrzy od Krakowa sławny rębacz, począł opowiadać zabawne dykteryjki, między temi zaraz ci wyjechał jak z łysą kobyłą na targ z żarcikiem o Mazurach; — i owoż prawił:

„PODRÓŻ DO RZYMU.“

Miał stary Mazur syna, co się doma nie małym dyląglem uchował, a wielkim mazgajem urosł. Ojciec widząc, że czysty dyląg, rzekł mu: »A miły synu, jużby też czas ukazać się między ludzie, szkoda doma leżéć. A to naszego samsiada syn, u któregoś panka, cudna na nim sukmanka, co sobie wysłużył. Przyzwolił syn na podróż, lecz nie inaczéj, jedno że musi do *Zymu* (Rzymu) *jachać*. Pan ojciec pozwolił: »Jedź miły synku, boć słyszę, że to tam miasteczko cudniéjsze niż nasza *Warsewka*. (*)

(*) Warszawa.

Osiodłano mu konia, dała mu pani matka przybór w drogę, włożył też sobie kilka gomółek w zanadrza, glon chleba i pojechał.

»Ujechawszy z milę, sprzykrzywszy podróż, spotyka chłopa, a więc pyta: »Bracie! daleko tu jeszcze do *Zymu*.« Paniątko, (odpowiada z ukłonem) jako żywochmy tu o nim nie słyszeli. — »Synal pewny że Rzym minął, wraca do domu: wyżeł ujrzawszy go z powrotem, wybiegł radując się, aż on do wyżła: »Ej! paznałeś mię Sachu!« Wyszli na ganek ojciec i matka, a on do nich rzecze: »Co rozumiecie? żebym był daléj wyjechał, podobnobym i swego języka zapomniał.«

Śmiali się rozochoceni goście, gdy mój rodzic siédział jak na igle, ale przez szacunek dla swego gospodarza, milczał tając gniéw za pasem. Jaśko znów prawił.

O MAZURZE ZE STRZELBĄ W KOSZU.

Słyszał szlachcic z pod *Warsewy*, że piechota zawsze na wojnie za koszem stoi. Kiedy więc zwołano go na rokosz, uplotł doma kosz sobie, włożył w niego strzelbę i tak poniósł do obozu.

Zniósł i tę przymówkę rodzic spokojnie, kiedy Jaśko począł opowiadać jak Mazur przed Turczynem uciekał. To było za nadto, — porwał się od stołu, i zawołał: »Łżesz Jaśku! to ci powiada Mazur rodem, i powtarza raz drugi i trzeci, łżesz Jasku z Krowodrzy.«

Powstało zamiészanie, porwał się od stołu Jasiek, gdy mój rodzic odrzuciwszy w tył

wyloty, z gołą demeszką stanął przy gospodarzu domu. Zagrzane głowy krzyczą: »rozsiekać, porąbać w kawałki ślepego Mazura.« Kiedy gospodarz domu wraz ze swymi przyjaciołmi stanęli w jego obronie. Po długim sporze stanęło na tém, że pojedynek dozwolono w ogrodzie za dworem. Wyszedł mój rodzic, wyszedł i Jaśko: wszyscy byli pewni, że ten Mazura zarąbie: wrzekomo inaczéj Pan Bóg przeznaczył.

Za trzeciém złożeniem, ręka Jaśka z szablą na ziemię upadła. Padł i sam Jaśko na ziemię. W on czas mój rodzic ocierając demeszkę, rzekł do zdziwionéj gawiédzi: »Powiédziałem, że łgał Jaśko, i dowiodłem tego panowie bracia. Dykteryjkę którą on rozpoczął, ja wam dokończę.

MAZUR I TURCZYN.

Gonił Turczyn Mazura, bo się bał zawoja,
Gdy mu spadł, krzyknie Mazur: O już dobra moja.
«Nie ciebiem się bał mydlku,» wyrzekłszy te słowa
Zwrócił konia, ciął w turka, aż spadła mu głowa.

Poczém wyniósł rękę w górę, machnął demeszką i zapytał czy kto z obecnych zechce prawić dykteryjki na przymówkę Mazurom. Wszyscy skłonili głowami, a Pan Cześnik, który go serdecznie pokochał, kazawszy opatrzéć Jaśka uściskał mego rodzica, i przyjął za swego zięcia, dając mu za przyjaciołkę dozgonną gładką Hannę herbu *Róża*, a mojéj świętéj pamięci matkę. Wtedy napełniono kielichy i puhary, przyjaciele

Cześnika, i krewniacy porwali na ręce zwycięzcę niosąc do dworu, a śpiewając z dawnéj pieśni o Mazurach:

»Chocia w piasku brodzą,
Lecz ostrożnie chodzą.«

Popijali rzeźwo radzi.

Tak kończąc gawędę siwy Jadam z pod Czerska, chciał popić dereniaku, i spojrzał na swego sąsiada, ale ów sąsiad, wypiwszy i swoję miarę i gąsiorek gospodarza wysuszywszy, chrapał ze zwieszoną głową. Przeto wnieść kazał pachnącego siana, położyć na niém Stanisława ze Złotoryi, a gdy ten dług należny gościnności wypłacił, sam póty ciągnął gąsiorek maliniaku, dopóki obok miłego nie upadł sąsiada.

PRZYPISY.

Piosnka o Mazurach wyjęta z rzadkiéj broszury drukowanéj za Zygmunta Augusta (wedle zdania uczonego W. A. Maciejowskiego), b. m. i r. pod napisem: «Kiermasz Wieśniacki.» in 4to druk gocki.

Anegdoty zaś z dzieł następnych wyjęte:

1. Diskurs marnotractwa i zbytku korony polskiéj, przez Krzysztopha Franciszka Falibogowskiego, drukowano r. p. 1625 in 4to.

2. O wolności K. P. Matysa Strykowskiego.

IV.

STADO GOŁĘBI.

STARA GAWĘDA

ZR. 1760.

„Kiedy się stary z młodą ożeni,
tedy jakby w stary wóz, szalone
konie założył

Przypowieść XVI wieku.

II.

Zawsze co rano w dzień powszedni, na pięciu miedzach, widziano pięć demeszek zardzewiałych utkwionych,—a koło każdéj, stał przy pługu rosły szlachcic, w siwéj kapocie, wełnianym pasie, i ogromnemi ostrogami przy nosatych butach, z wywijaną cholewą. Byłoto pięciu otroków krzepkich, żylastéj ręki, a chropawéj dłoni, a wszystko bracia rodzeni.

Ojciec i matka od lat dwóch pomarli, zostawując pięciu wyrostkom, pięć par siwych wołów, pięć krów, pięć bron i pługów, a trzy konie i wóz jeden: — do tego garnek grosiwa, który nietknięty dotąd w całości stał

zachowany u pana Jakóba, najstarszego brata. Po pracy w świętą niedzielę, alboli w czasie odpustu, pan Jakób siadał na jednego siwka, a czterech braci po dwóch, to na łysego, to na białonóżkę.

Każda para uwiązawszy konia przy parkanie, rozchodziła się na smętarzu: brat jeden wchodził wielkiémi drzwiami do kościoła, drugi od zakrystyi, na środku schodzili się niby niespodzianie i witali uprzejmie, jakoby dalecy sąsiedzi, każdy z innéj strony, i na osobnym przybył koniu.

Pracowali szczerze, kochali się wiernie, a sąsiedzi podziwiali rzadką zgodę pięciu braci.

Tak upływały lata przy skrzętności a pracy i Bóg błogosławił, omijając z dala gospody przyszli do grosza, zamożnéj trzody i koni. We trzy lata, już na swoim koniu oklep jeździł każdy do kościoła, w sześć roków miał i rzędzik skromny. W dziesiątym od śmierci matki i rodzica roku, pan Jakób począł siwieć, bo już liczył lat sześćdziesiąt,

a wkrótce potém i Janusz najmłodszy dobrze oszpakowaciał.

Kiedy śnieg wieku okrył ich krucze dawniéj czupryny, i pobielił sumiaste wąsy, sąsiedzi to grono braci przezwali: *stadem gołębi.*

Od lat dziecinnych do podsiwiałości, zgoda, miłość i przyjaźń serdeczna, panowały pod strzechą dużego domostwa, które razem zamieszkiwali. Każdy z nich równie omijał ze wstrętem karczmę we wsi, i gospody w poblizkiém miasteczku, jak stronił od wabnych dziewcząt, które napróżno miłém powabiały okiem.

Sąsiedzi daremnie zapraszali do siebie, przystrajali córy, a szlachcianeczki, w wigilią Śgo Andrzeja, bez skutku słuchały wiatru, z któréj strony zawieję. Zawiał ci nie raz i od strony domostwa *stada gołębi*, ale żaden ze swatem nie zajrzał, ani w téj wsi, kędy zamieszkali, ani w okolicy.

A że raz nadszedł odpust w kościele tamecznym na Śgo Stanisława, przyjechało

konno całe *stado gołębi.* Wchodzi pan Jakób, zaledwie skropił czoło święconą wodą, spojrzy na bok, i dostrzegł hożą dziewicę, skromnie modlącą się na dużéj z klamrami książce.

Pan Jakób uczuł dreszczyk po kości, odwrócił oczy, poszedł na środek kościoła, i ukląkł: niedługo wrzekomo, wrócił na powrót, i znowu począł patrzéć na dziewczynę. Już nic nie widział w około siebie, jeno jéj lica hoże, oczęta niebieskie i *personę* (jak wyrażał), by archaniołka. Nie słyszał śpiewu organisty, ani trąbienia z chóru, ani bicia w kotły przy podniesieniu, stał by kamień, z wlepionémi w dziéwczę oczyma, i tylko pogłaskiwał czupryny siwéj, zawiesiwszy czapkę na rękojeści szabli.

Minęło nabożeństwo, dziewica wychodzi z matką, mój pan Jakób za nią; ona na bryczkę, on na konia. Ruszyły rzeźwo matka z córką, pan Jakób dobrze bódł zardzewiałemi ostrogami swego kasztanka, przycierając zawsze blizko. Obéjrzy się raz matka,

pan Jakób skłoni czapką; obejrzy się córka, pan Jakób zapomniał, że ma ręce i czapkę, ino oczyma jakby ją zjeść chciał.

Tak, jechała bryczka długo, a za nią to kłusem, to galopa, pędził pan Jakób spotniały, wymęczony i z bijącém sercem. Aż przecie stanęli przed dworkiem na początku wioski Lipna, o dwie dobre mile, i wysiadły matka z córką. — Pan Jakób zsiadł z konia, ukłonił się nizko, a nie wiedząc co z sobą począć, musiał wytchnąć kasztanowi. Usiadł więc pod lipą, chciał rozmyślać, ale głód rozpędził rój myśli, co się poczęły zbiérać. Kasztan shasany, okryty pianą, silnie robił bokami, pan Jakób powstał, chciał iść do karczmy poblizkiéj; gdy wychodzi z tego domostwa, na które patrzył się ciągle, sędziwy szlachcic, i zaprasza do siebie.

— »Czem chata bogata, tém i rada, — zjedzcie z nami sąsiedzie, chléb z solą, a z dobrą wołą.«

Pan Jakób skłonił czapką aż do kolan, rad jak by go na koń turecki wsadził, i po-

szedł za gospodarzem. Oddawszy chłopcu kasztana, wchodzi do izby; wita go matka, wita i córka. Pan Jakób zagawroniony córką, nie ukłonił się matce, jeno stał przy progu. Byłby stał i do wieczora, gdyby nie gospodarz, co nalawszy spory kielich *aquavity*, ocucił go z tego stanu. W on czas wychyliwszy podany kielich, ukłonił się matce, i śmielej postąpił na środek, a usiadłszy na ławie przy oknie, począł zbiérać myśli. Zaproszony na obiad, po sutém jadle i starym miodzie, przyszedłszy do siebie, począł przepraszać ojca i matkę; za drugim dzbanem miodu, przysiadł się do gładkiéj Hanny, przed wieczorem, upadłszy na kolana, oświadczył w gorących słowach swoję miłość a affekty,—i wbrew zwyczajowi, bez swata, prosił o rękę córki. Ojciec, pan Jarzęba, znał dobrze rozkochanego *Gołębia*, rad był w duszy, że dobrze postanowi swoję córkę; przyjął więc oświadczyny, i dzień ślubu naznaczony został.

II.

Cztéréj bracia, wróciwszy z odpustu, naprożno pana brata oczekiwali. Rozjechali się w różne strony, ale i śladu znaleźć nie mogli: przecie nad wieczorem, gdy zgłodniali i niespokojni wracali do domu, sąsiad ich zawiadomił, że widział pana Jakóba, jak pędził za bryczką młodéj Jarzębianki. W milczeniu spożyli obiad, a pomówiwszy pacierze, każdy legł na swém posłaniu.

Janusz najmłodszy począł dumać, i taki z sobą prowadził rozhowor.

»Starszy pan brat pewnie rozmiłowany, a że kto miłuje rzewnie, to szaleje pewnie; ożeni się za prawdę. Nie od tegoć i mnie byłoby. Maryja sąsiadowa, od trzeciéj miedzy, gładka dziewka, a jać nie stary! Jeżeli się pan Jakób ożeni, toć ja za nim hajda! daléj w taniec.«

Tak rozumując, znużony szukaniem brata, dobrze zasnął; nie równie lepiéj od pana Jakóba, który w stodole na pachnącém sianie: ani zmrużył oczu, bo pieścił w marzeniu Hannę z modrém okiem. Ale trzéj bracia starsi Janusza, żaden nie marzył o żonie: każdy z nich bolał, że wkrótce zgoda, pokój, miłość braterska i cichość; uciekną z tego domostwa, kędy lat tyle przeżyli z sobą.

Słonko już wysoko zeszło, a na polu *Stada Gołębi* pusto. Sąsiedzi zdziwieni, nie ujrzeli ani szabli w miedzy, ani pługa żadnego.

Trzéj bracia: Jerzy, Stanisław i Jacek, poszli do boru. Janusz czyścił nowy żupanek i czerwone buty, chcąc podobać się czarnobrewéj Maryi. Wieczór nadszedł: wrócił Jerzy ze zwierzyną, Stanisław furę drzewa przywiózł z lasu, a Jacka nie było widać, — Janusz poszedł na zaloty. Pierwszy raz, dwóch jeno braci do wieczerzy usiadło.

—»Cóż to, na mego patrona! (wyrzekł Stanisław), czy nas kto urzekł, czy domostwo oczarował? Od wczorajszego odpustu, dziwne dzieją się rzeczy,—jak Kubuś (*) poleciał za dziewką, i Januszek zaczyna brykać!... a Jacek?..

—»Co Jacek? (zawołał opryskliwie wchodzący), czy i o mnie chcela gadać? No! byłem w lesie;—i spojrzał z niesmakiem na braci.

—»Siadajże Wasze! (przemówił milczący Jerzy), i zjedz z nami co Bóg dał.«

—»Nie potrzebuję waszéj wieczerzy, co wam z wąsów spadło!« odrzekł z gniewem Jacek.

Stanisław przeżegnał się, splunął i wymówił z cicha: »*Na psa urok!*« Jerzy ruszył ramionami odchodząc od stołu.

Jacek tym czasem wyczyściwszy buty z błota, przypasał zardzewiałą demeszkę, a wdziawszy na uszy czapkę, wyszedł z pomrokiem. Idąc przez wieś, ujrzał w izbie u sąsiada od

---

(*) Kuba, — *Jakób*, *Kubuś*, *Jakubek*.

trzeciéj miedzy, ruch niezwykły, i spory na kominie ogień. Zajrzy wyględem (*), aż tam siedzi pan Janusz przy czarnobrewéj Maryi, trzyma za rączkę i na ucho szepce.

»Coś pilno panu bratu!« — pomyślał i poszedł daléj.

Na końcu wioski stał dom spory, wybielony, z małém podwórzem, ocieniony lipą. Tam spieszył, uchylił drzwi i zniknął w cieniu.

We dwie godziny, Stanisław i Jerzy patrzyli z za lipy oknem, jak pan Jacek smalił cholewki do młodéj wdowy. Zajrzeli i tam kędy Janusz klęczał przed swoją czarnobrewką. Z westchnieniem odchodząc od każdego okna, powrócili do domu, nie wyrzekłszy słowa: — rzucili się nawzajem w objęcie, a w milczeniu ściskając się serdecznie, gorzko zapłakali.

(*) Oknem.

III.

—»Mój Kubusiu!« rzekła pani Jakubowa, we dwa miesiące po ślubie, tu nam będzie ciasno; trzeba, byśta się z braćmi podzielili, niech każdy na swoje idzie!«

Pan Jakób kiwnął głową, potarł razem czuprynę, i może chciał łzę skrycie otrzéć.

Janusz i Jacek, ożenili się w miesiąc po najstarszym bracie. Jacek przed ślubem miał wymówione sobie, że zaraz od braci swoję część oddzieli, bo to była wdowa, do któréj się zalecał; a lubo (jak u wdowy, chléb gotowy, ale nie każdemu zdrowy), pan Jacek zamieszkał w domostwie swojéj żony, nie przestała na niego nalegać o przyśpieszenie podziału. Janusz, ani jego czarnobrewa Maryja, nie myśleli o podziale; ale gdy z sobą rozmawiali z cicha, narzekali że im trochę przyciasno.

Stanisław i Jerzy, chodzili zawsze w pole i uprawiali w pocie czoła swoje i braci zagony, gdy ci często zabaczali pługa; zwozili drzewo z lasu, przynosili wody.

Pani Jakubowa nazywała to, ich powinnością; a dobra Maryja dziękowała im uprzéjmie, odbierając wiadra. Janusz uszczęśliwiony, zawsze ich całował serdecznie; a stary Jakób nie raz do ogródka zamyślony wychodził.

Nadeszła w reszcie chwila podziału. Pan Jakób został przy domostwie; Jacek otrzymawszy część swoję, mieszkał w domu żony, i pomimo jéj nalegań, nie chciał processować braci, bo widział: że się podzielili sprawiedliwie. Januszowi wystawiono nowe domostwo, gdzie się przeprowadził z żoną: — przy nim zamieszkali Stanisław i Jerzy, unikając dumnéj Hanny, co truła spokój najstarszego brata, pokochali szczerze dobrą Maryją i poczciwego Janusza.

W rok, Stanisław i Jerzy kołysali małego Januszka, a chociaż cieszył się i Jakób po-

tomkiem, rzadko do dawnego domostwa zajrzeli, gdzie ich spotykał brat ze smutném obliczem, a pani bratowa z rozpalonym od gniewu policzkiem. Jacek nie doczekał się téj pociechy, lubo pracować ciężko musiał na dzieci z pierwszego małżeństwa; uciekał nie raz z domu, gdy mu żona ciągle stawiała za przykład nieboszczyka męża. Zmartwiony, przybywszy raz do Janusza i braci, usiadł w milczeniu, nagle niepytany zawołał: »Oj! nieboszczyk! nieboszczyk!« Gdy go zdziwieni zapytali: co znaczy taki wykrzyknik? wyznał otwarcie, że powtarzał z nazwyczajenia słowa swojéj żony, która co słowo, to zaraz nieboszczyk wyjeżdża na przód przed swaty.

We dwa lata umarł ze zgryzoty brat Jakób, zostawiwszy dwóch synów. Pani młoda, zaraz po żałobie poszła w rychle za młodego hołysza szlacheckiego od Sochaczewa,— a mając zapis od męża, sprzedała domostwo. Kupili je z radością Jerzy i Stanisław, a ca-

łując ze łzami progi, w których lat tyle przeżyli, zaraz przenieśli się od Janusza.

Jacek nie długo przeżył brata najstarszego, umierając nic nie wyrzekł, jeno te wyrazy: »Oj! nieboszczyk! nieboszczyk!« — Pozostali trzéj bracia, wystawili wspólny grób zmarłym, na smętarzu przy kościele. Tam, co niedziela, po nabożeństwie gorące modły zasyłali za ich dusze.

V.

Zima była mroźna: śniegi wielkie spadły. W wigiliją Bożego Narodzenia siedział Janusz z żoną, trzema synami i braćmi przy stole, sianem zasłaném, snopy zboża stroiły każdy kąt izby. Wśród téj uroczystéj chwili, wspominając ze łzami zmarłych, usłyszeli nagle jęk na ganku. Wybiegają.—Niéwiasta młoda, otulona płachtą, klęczała na progu; trzymając dwoje przemarzniętych pacholąt.

Zaledwie Janusz zaświecił jéj w oczy, wykrzyknął z podziwieniem:

—»Na Boga! prędzéj do izby! to nasza bratowa.«

Jerzy na te słowa porywa dzieci, Stanisław prowadzi osłabioną Hannę. Omglała w cieple; pacholęta na pół nagie drżały od zimna i głodu.

Maryja z płaczem ratowała Hannę, próżne jéj były starania; złożono umierającą na łożu.

»Bóg mnie srodze ukarał za waszego brata. Ten, któregom wybrała po nim, wszystko roztrwonił, stracił spuściznę tych dzieci, a ja codzień katowana, uczułam zaród śmierci. Przywlekłam się do was, i dzięki Bogu! mogę umrzéć spokojnie, bo dzieci waszego brata, na próżno nie będą przywoływać waszéj opieki.«

Oddech po chwili miała cięższy, głos ustał w piersi. Maryja podała jéj poświęconą gromnicę, a wszyscy wieńcem uklękli w około łoża.

»Niech tak Bóg w ostatniéj godzinie śmierci mojéj, odwróci odemnie swoje święte oblicze, i nie da zbawienia duszy!« zawołał rzewnie Stanisław, »jeżeli zapomnę o tych sierotach.«

»Tak! i ja toż samo!« wyjęknęli razem Jerzy z Januszem, a Maryja spłakana, pacholęta przycisnęła do serca.

Hanna odwróciła głowę, by zobaczyć swoje dzieci. Gromnica wypadła z martwych rąk, a dusza uleciała w lepsze mieszkanie!

* * *

Odtąd Jerzy i Stanisław, radośnie pracowali w polu; bo maluczcy synowcowie uweselali starców. W długie wieczory zimowe, schodzili się razem trzéj bracia z dziećmi, i patrzyli z uśmiechem na ich zabawy. W dobie letniéj wszyscy w polu, a dziatwa drobna pomagała, to grabić siano, to zbiérać snopy, siadała na wozy ładowne zbożem, i z okrzykiem radosnym zajeżdżano do stodół.

Później, gdy podrośli, i w siłę i w lata, wyręczali chłopcy rodziców i swoich dobrodziejów.

Jerzy z Stanisławem patrząc na ich miłość, przywiązanie i zgodę, nie raz mówili potrząsając głową:

»Trzeba się obawiać, bo jak to podrośnie, a pożeni się, zginie jak kamień w wodzie, i ta zgoda, i to przywiązanie, i miłość!«

»Bóg jest opatrzny!« odpowiedział na to Janusz.

»Niech się każdy z nich młodo żeni, a dostanie taką żonę, jak moja Maryja.«

V.

BEKWARK

LUTNISTA.

„Nie każdy weźmie po Bekwarku lutnią.“

Przysłowie. (Przypowieści Salomona Rysińskiego 1619 r.)

Do ozdoby dworu Zygmunta Starego, należał *Bekwark*, (inaczéj piszą Bekfark) sławny muzyk na lutni. Był to osobliwy genijusz w swoim zawodzie, dostąpił téż zaszczytu niemałego, bo imię jego w przysłowiach krajowych, dwa z górą wieki przetrwało.

«*Nie każdy weźmie po Bekfarku lutnią.*« Takie chlubne i zaszczytne powstało po jego zgonie przysłowie, które Salomon Rysiński w swoim zbiorze zachował. (a)

Krzysztof Falibogowski następną nam wiadomość o nim podaje. (b)

(a) Przypowieści 1619.

(b) *Discurs marnotrawstwa i zbytku korony polskiéj, 1625 in 4to.*

»Przydam o onym sławnym lutniście Bekwarku, o którym jest ona przymówka: »*Nie bierz po Bekwarku lutniéj*.« Ten miał téż swój taki obyczaj. Nigdy, kiedy go proszono, aby swéj muzyki wdzięcznością ludzi rozweselił, nie był chętny. Mieli nasi jednak ten fortel: wziął kto lutnią w rękę i grał co umiał, aby Bekwarka draźnił; — czego on słuchając i zżymając się, jako dobry muzyk, iż nie dosyć czynił owemu, lutnią wziął w rękę, abo swoję podać kazał, dosyć ludzkiéj wtedy dopiéro chęci uczynił.«

On lutnią rozweselał smętne godziny Zygmunta Starego, a Bona zwała go swoim Amfijonem. Z lutnią téż w rękach umarł.

Wśród dnia gorącego, w południowéj dobie, w swojéj komnacie przygrywał na lutni, i śpiéwał. Nagle głos jego ustał; nie skończył zaczętéj pieśni, bo zamarły słowa w osiniałych ustach, a lutnia jego pierwszy raz niesforne wydawszy tony; z martwych ręku wypadła (a). Tak skończył ten wielki

(a) Szczegóły z rękopismu Falibogowskiego z r. 1627.

muzyk podziw spółczesnych, śmiercią zaiste łabędzią; bo w konaniu uczucia serca wiernéj powierzywszy lutni, zamarł śpiewając.

Jan Kochanowski pamiątkę jego we fraszkach zachował.

»*By lutnia mówić umiała,*
Takby nam w głos powiedziała:
Wszyscy insi w dudy grajcie,
Mnie Bekfarkowi niechajcie.«

Malcher Pudłowski w swoich także fraszkach, wspomniawszy o jego nieurodzie, wyżéj go nad Dawida stawia, i tak mówi:

»*Do Bekfarka.*«

»*Aryjon i Orfeusz choć i Dawid trzeci,*
I czwarty który niech tu z muzyką wyleci:
Bez pochyby te wszystkie zostawisz za sobą,
Chyba, by cię z tych który uprzedził urodą.
Ale kiedy poczniecie muzyką szermować,
Musi się i Dawidek z swoją arfą schować.«

(*Fraszek księga 1sza M. Pudłowskiego 1586 r.*)

VI.

KULIG.

STARA GAWĘDA.

POLITECHNIKA WARSZAWSKA
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
rD.725

OTO ZAPUSTY!

Dalej kuligiem w przyjaciół chaty,
Zbudzimy śpiących, zabierzem z sobą,
Kto nas zobaczy ten nie zostanie,
Z nami na nowe poleci tańce:
Mnogie hajduków świécą kagańce,
Szybkie po śniégu mijają sanie.

* * *

My sobie jedziem *kuligiem*,
I w noc i we dnie,
Wesołe, przednie.
Lecim saniami,
I jadą z nami;
Wrzawa, śmiéch pusty,
Czy znasz ty polskie zapusty?

Malczeski (Maryja).

Na obszernéj dolinie, mało gdzie zagajonéj, po nad strumieniem studziennéj wody rozciągała się wieś *Lusławice*, z ozdobnym kościołem i białym dworem na wzgórzu. Ocieniało go kilka jodeł smętnych, dwa cisy i odwiecznych kilka dębów. Szeroki strumień tęgie ścisnęły mrozy, po szklistéj jego powierzchni, chłopcy ze wsi ślizgali się na przegony. Szerokie równiny, śnieg biały grubo okrył, zawiesił się nawet na gałęziach czarniawych jodeł, i migał zmrożony blaskiem odbitego promienia słońca, które wśród chmur sinawych, pędzonych wiatrem; rzucało światło na okół. Z kominów chat wy-

chodzące prosto w górę dymy, zwiastowały i mróz tęgi, i wygodę mieszkańców że nie lękają się zimna.

Przed godziną odgłos dzwonu kościelnego przerwał tę ciszę, gdy zwoływał wiernych do modlitwy: teraz jeno poświst wichru zakręcił z szumem zaspy śniegu, i przyniósł słabe echo wycia zgłodniałych wilków, co w dalekim lesie gromadnie przebiegały, szukając na próżno żéru.

W białym dworze na wzgórzu, aż ze trzech kominów wznosiły się dymy sinawe, jak marmurowe słupy, z dziedzińca już zasłyszałeś gwar mocny; bo właśnie zbliżało się samo południe, i zastawiano do obiadu. Gospodarz w lisiurce stał na ganku, i wołał niecierpliwy, by prędzéj dawano na stół.

Nakrzyczawszy dosyć, wszedł ze zmarszczoném czołem do jadalnéj komnaty, gdzie siedziała jego małżonka z dwoma córkami i księdzem proboszczem, poważnym siwizną i pobożnością. Pan Cześnik głaskał czuprynę, spluwał, zacierał ręce i nic nie mówił;

co było zawsze oznaką głodnego żołądka. Aż przecież kredencerz wniósł wazę: wszyscy zasiedli do stołu, a po rosole, sztuce mięsa, i parze kieliszków wina, zaczęło się czoło Cześnika rozchmurzać i uśmiech zwyczajny towarzysz szlachetnego oblicza, zjawił się na nowo.

—»Ależ mróz był ognisty, — odezwał się gospodarz, zdawało się że para z ust marznie.

—Więcéj dawał uczuć moc swoję na głodny żołądek, odrzekła Cześnikowa, spoglądając z uśmiechem na męża..

—»Przecież wiesz, Aśka, moja pani (bronił się dobry Cześnik, całując ją w rękę), że to nasza natura gniewać się gdy głodno; boć za prawdę, w on czas śpiewać nie mogę.«

—»Nie zdałby się Wielmożny Cześnik na myśliwca dawnych czasów, rzekł proboszcz, — kiedy człowiek przez dwie całe doby nic nie jadł. Jaćto tego doświadczał w młodych leciech.

—»A niechże mnie Bóg zachowa!« wykrzyknął, porywając zraz sarniéj pieczeni; nie do tegom ci mój proboszczu, nie do tegom. Przecież gdy nagła potrzeba, łamałem się w przygodzie i z głodem, i stąd poznałem jaki człek *stupidus*, gdy żołądek piszczy.

Proboszcz już się zabierał do długiéj rozprawy o głodzie, zaczynając od przysłowia z Ł. Górnickiego *Dworzanina*: »że głód najlepszy kucharz!« gdy zabrzękły przed gankiem głośne dzwonki, a po chwili roztwarły się drzwi komnaty na ścieżaj i arlekin zamaskowany z trzepaczką w ręku ukłon oddaje, i jednym skokiem staje na środku. Tu biegając w około, wskakując na stołki, przewracając co po drodze zawadzało, śpiéwał ciągle: »Ej! kulig! kulig!« Tak obleciawszy całą komnatę, we drzwiach znowu ukłon powtórzył i zniknął.

—»Grzegorzu!« zawołał pan Cześnik, a wyjrzyj z ganku, w którą stronę pojechał ten skomoroszek.«

Gospodyni co rychléj wstała od stołu z córkami. Proboszcz już krótko bawiąc odszedł do plebanii, przyrzekłszy; że jak kulig zjedzie, stawić się nie omieszka, a Cześnik radosny, wydawał rozporządzenia na przyjęcie wesołéj drużyny, co zamiecią śnieżną przewiewała od dworu do dworu.

Grzegorz tymczasem, wrócił donosząc: że czarny djabełek co tak skakał, w jodłowym lesie zniknął. Przywołany kredencerz odebrał rozkaz ze świeżego antałku natoczyć kilka koszów węgrzyna. Kucharz ogień już wielki naniecił, klucznica smażyła faworki i pączki, a pan Cześnik kazał uprzątnąć komnaty i przy zmroku oświecić wszystkie: zrzucił lisiurkę i wystrojony w kontuszu, oczekiwał zapowiedzianych gości. Pani Cześnikowa, ubrana świeżo z córkami, weszły także do wielkiéj sali, oświeconéj jarzącém światłem i blaskiem z marmurowego komina, gdzie naniecony jałowiec z jagodami, przy cieple i zapach roznosił.

Szósta na zégarze ściennym z kurantem wybiła, a nie słychać dzwonków kuligowych. Cześnik niespokojny, wyjrzał oknem. Zamieć śnieżna co raz się powiększała, wiatr zimny poświstywał, a śnieżyca pokryła drogi i tak zaćmiła wszystko, że nie mógł zobaczyć choć blizkiéj stodoły. Grzegorz wysłany na zwiady, doniósł, że zamieć tak wielka, iż trudno do bramy nawet trafić, i kulig pewnie zabłądzi. Niespokojny gospodarz rozkazuje latarnie zapalić i ustawić to na bramie, to na słupach parkanu, aby zbłąkanym nadać łatwiéjszy kierunek. Jakoż dzięki téj przezorności zadzwoniły sanki. Siedział w nich ów arlekin, ale nie był tak rzeźwy, przysypany śniegiem; bo nie raz przewrócony w dole od kartofli leżał, a których w okół dworu Cześnika nie brakowało. Przeziębły zaledwie wylazł z sanek i drżący wszedł do sali, dawszy smutną wiadomość, że cały kulig w opłotkach błądzi, przewraca się, a krzyk i wrzawa tak wielkie, iż tylko wiatr przeciwny przeszkadza że nie dochodzą do dworu.

Natychmiast wysłał Cześnik czeladź swoję z latarniami, sam nawet przywdział na powrót lisiurkę, z Ekonomem i Proboszczem co nadbiegł na tę wiadomość, udali się na miejsce.

Pomoc ich była niezbędną, dwanaście sanek wystawiało obraz nieładu: konie w jednych rozhukane, porwały zaprzęgi i pędem na dziedziniec wpadły; drugie wraz z saniami, ugrzęzłe po brzuchy oczekiwały ratunku. Kobiéty płakały, mężczyzni krzyczeli, to śmiali się; woźnice klęli. Pudła, pudełka, szkatułki, tłomoczki wyrzucone z przewróconych sani; leżały po obu stronach drogi. Poomacku zwoływali się aby być razem, i chociaż piechotą dojść do dworu. Jakaż ich była radość, gdy ujrzeli zbliżające się światło i pomoc które winni byli swemu arlekinowi, co piérwszy dał znać do dworu i gorliwości szlachetnego Cześnika. Ustał płacz kobiét, mężczyźni radośnie wykrzykują *kulig! kulig!* Woźnice już nie klną. Cześnik najprzód począł ratować mężatki i panny.

Hajduki i czeladź przy pomocy kuligowéj młodzieży, przenieśli wszystkie na rękach. Na próżno tłusty Podsędek w dole kartoflanym schowany, wychyliwszy nieco głowy, zaklinał o pomoc.

—»Kto tam jesteś, zawołał Cześnik. — Czekaj bratku, płeć piękna przede wszystkiém. Dwie godziny trzeba było wyciągać kulig ze śniégu i dołów, zbierać rozrzucone rzeczy. Cześnik przy zamieci i mrozie, zmęczony wrócił przecież uradowany, że wszyscy zdrowi choć przeziębli.

Ogień na kominie rozgrzał ich wkrótce, a rozweselił węgrzyn. Wnet weszła kuligowa muzyka, zabrzmiała poloneza, i długi rzęd par wesołych, posuwał się w poważnym tańcu.

W pierwszéj szedł parze pan Cześnik z panią Starościną, już wiekową matroną. Wyrzucił za siebie na ramiona wyloty, lewą ręką trzymał za pas bogaty, prawą prowadził damę. Za nim jego małżonka z siwym Starostą; daléj poważniéjsi dostojeństwy i wiekiem, za temi piętnaście par wesołéj młodzie-

ży. Wiódł réj Cześnik po obszernéj sali, w trzecim zakręcie uchylił głowy, klasnął w dłonie, rozdzielił się ze swoją damą, i w długim wraz z towarzyszami stanął szeregu. Niéwiasty i panny same, za przewodem Starościny, przeszły poważnym w takt tańcem dwa razy w około, i każda według upodobania wybrała z mężczyzn podaniem ręki.

Kiedy na nowo parami przesuwało się grono gości w poważnym tańcu, arlekin wysuszony i rozgrzany, wlazł na chórek nade drzwiami umyślnie od lat dawnych dla muzyki zbudowany, uderzył silnie trzepaczką i krzyknął: »Héj kulig! kulig! kuligowego mazura!« A wnet grajki stają obok niego i zaczynają od ucha. Na to hasło starcy, poważniéjsi i stare niéwiasty ustępują z koła, zostawiając rzeźwą młodzież do skocznego tańca.

Gospodarz wyprowadził do przybocznéj komnaty sędziwszych gości, a gdy jedni poczęli grać w *trzyszaka*, drudzy w *ślepego*

maryjasza (*), reszta usiadła wieńcem w około poważnego Starosty, bawiąc się gawędą. Cześnik należał do tego grona, w którém gęsto obchodziły kielichy starego węgrzyna: a śmiéch serdeczny uweselał zmarszczki i siwiznę. Cóż ich tak radowało? co troski z szlachetnych spędzało obliczy? wspomnienie lat młodych, kroplami złocistego węgrzyna dobyte z serca i myśli.

Starosta miał sławę w całéj okolicy dobrego opowiadacza. Żyjąc w świecie długo, i z niejednego jadłszy chléb pieca, obfitował w dykteryjki zabawne, dziéje rodzin znakomitych, które tak gładko z ust mu płynęły, jak gładko wysuszał kielichy do kropli. Nie brakło i Cześnikowi wspomnień równie jak i innym starcom, grono to poważne składającym.

Starosta właśnie zaczął wyliczać sławne łgarstwa i czyny znanego *Panie-Kochanku*, a które w mgnieniu oka przebiegały kraj ca-

---

(*) Dziś tak zwany *kiks*.

ły, bawiły wszystkich, i stanowiły w swoim czasie rodzaj szczególny literatury niepiśmiennéj, co równe znajdowała przyjęcie w wspaniałym zamku i wielkim dworze; jak pod strzechą słomianą ubogiego szlachcica na zagrodzie.

—»Bogaty Wojewoda, potentat, tak zwany *Panie-Kochanku*, od przysłowia którego używał, nie raz opisywał swoje łowy. Pan Cześnik (mówił Starosta), zna je wszystkie, ale może nie zasłyszał o tych, o których chcę Waszeciom powiedzieć.«

Cześnik skłonił głową, nalał pełny kielich i podał mu z uszanowaniem, a starzec, przybierając mowę samego *Panie-Kochanku* którą doskonale naśladował, tak począł:

—»Przed czterema laty, byłem na łowach *Panie-Kochanku*, strzelałem razy kilka, wyszły mi wszystkie naboje, aż tu razem *Panie-Kochanku* wyskakuje duży jeleń i staje bliziutko. Co tu robić, był jeszcze nabój prochu, sypię w lufę, a jadłszy właśnie wiśnie, miasto loftek pestkami nabiłem. Jak

zmierzę *Panie-Kochanku*, jak palnę, aż jeleń podskoczył, zdawało mi się żem go trafił w czoło, ale z pewnością nie widziałem. Wyjechałem potém za granicę, zwiedziłem Niemcy, Francyją i Włochy, i po trzech latach powróciłem do domu.

Że lubię łowy, poszliśmy znowu na jelenia. Stoję w tém samém miéjscu, i nie długo wyskakuje jeleń. Patrzę, poznaję, że to ten sam, com doń strzelił pestkami, bo z samego środka czoła wyrosła duża wiśnia z pełnemi gałęziami owocu. Tak to *Panie-Kochanku* poznałem swego jelenia, który uszedł zdrowo, i buja w moich kniéjach.« Przypominam sobie mówił daléj, że miał na dworze swoim szlachcica ogromnego, barczystego. Zwał się Leon Borowski. Miał on być zawsze towarzyszem *Panie-Kochanku*, potwierdzał wszystko, co potentat wyrzekł i wchodził, jako osoba działająca do historyj różnych. Od niegom się dowiedział, jakiego sposobu używał *Panie-Kochanku* na łowienie licznych niedźwiedzi. Półwozia o dwóch ko-

łach z krótkim dyszlem, który kazano okować ostro, smarowano miodem, i rozstawiano po knieci. Łakome niedźwiedzie, liżąc coraz daléj same się nadziéwały, tak, że koniec dyszla drugą stroną wychodził. Wtedy ukryci chłopi, wyskakiwali z zasadzki, porywali za owe końce, i przywozili do dworu niedźwiedzia. Zapewniał mnie sam *Panie Kochanku*, że jednego roku, co był w miód ubogi, 2000 niedźwiedzi przywieźli chłopi. Skóry z nich uładował na okręcie i sam z niémi ruszył, ale burza zagnała go na nieznane i odległe morze. Wiatry chwiały nawą, już ją miały przewalić, wtedy ja *Panie-Kochanku*, skoczywszy w rozhukane bałwany, uchwyciłem oburącz okręt, i przez całą dobę płynąc pod zagrożoną nawą, podpiérając własnemi barkami, przyprowadziłem do bezpiecznego portu.

—Pan Starosta, rzekł gospodarz, przypomni sobie zapewnie, co opowiadał także o swoich zaślubinach tajemnych z syreną, na jakiémsiś morzu.

— Przypominam! przypominam! Borowski najuroczyściéj mnie zapewnił o tém, dodając, jak dobrze wyszedł na tém małżeństwie; albowiem *Panie-Kochanku* potomstwo swoje całe, jakie miał z syreny złożone, ze stu tysięcy śledzi darował mu, za co nie mało pieniędzy zagarnął.

— Za pozwoleniem Wielmożnego Starosty, odezwał się pan Jan z Szczuczyna, pomnę dobrze, jak wiele niedźwiedzi trzymał na swoim dworze. Kiedy jakiego *Niemca z Zamorza* (*) spodziéwał się u siebie, zaraz w oznaczonym czasie, gdy wiedziano, że się zbliża, służba dworska i czeladź znikała. W bronie stało dwóch niedźwiedzi ogromnych białoszyjków (**) z wielkiémi pałkami, na ganku i w sieniach toż samo. Zdarzyło się w on czas, że zaprosił do siebie sławnego Włocha

---

(*) Drobna nasza szlachta w ogóle cudzoziemców nazywała *Niemcami z Zamorza*.

(**) Gatunek największych litewskich niedźwiedzi.

doktora, boć to od dawna jak w przypowieści: *Co Włoch to doktor, co Niemiec to kupiec.* Włoszysko co nigdy nie widziało naszych niedźwiedzi, nie mógł wjechać w bronę, aż tu zamrukną niedźwiedziska, podniosą się na dwóch łapach z pałkami. Pan Włoch mało nie umarł. Idą daléj: nikogo z ludzi nie widno, doktór się żegna i modli. Wchodzą na wyniosły ganek, stoją niedźwiedzie,— do sieni,— tu rzędem 12stu stoi; — to było dla Włocha za wiele. Zbladł jak Piotrowin z grobu, a dworzanin prawie wniósł go do komnaty. »*Panie-Kochanku*,« rzekł pan Wojewoda do Włocha, ja inszéj służby nie mam; u mnie wszystko zastępują niedźwiedzie: służą za czeladź i jeźdźę niémi. »Tak za prawdę, rzekł pan Cześnik,« mój ś. p. ojciec sam był obecny jak w Warszawie do jednego znacznego pana, *Panie-Kochanku* zajechał:«

»Zjazd był wielki: nagle powstaje rozruch, krzyk i wrzawa. Rozhukane konie przewracają pojazdy, zrywają zaprzęgi. Pan domu posyła Marszałka, ażeby wybadał powód

rozruchu. Marszałek wraca, i donosi, że *Panie-Kochanku* zajechał czterema ogromnémi niedźwiedziami i wszystkie rozhukał konie.«

—»O lubił ci, lubił te zwierzęta, zaczął znowu pan Jan z Szczuczyna, — onemu Włochowi jeszcze nie tu koniec. Zaledwie ochłonął nieco i otrzeźwił dobrym winem (jakiego nam widzę i Jespan Cześnik Dobrodziéj nie żałuje), dano do stołu. Pan Wojewoda zasadził doktora przy sobie; po pierwszém daniu radzi mu *Panie-Kochanku* odmienić talérz. Włoch obraca się z nim, i widzi wielkiego niedźwiedzia stojącego na dwóch łapach za krzesłem, z talerzem czystym pod pachą.

»To go dobiło, zbladł i zemglał: długo mu nos kręcono, nim przyszedł do siebie. Od onéj doby, już więcéj tam nie zajrzał.«

—»Kiedy nasz miły sąsiad (zawołał gospodarz), chwali tak nasze wino i porównywa do dawnego, a to ze sławną piwnicą, trzeba go lepiéj zakosztować i nie tak małą miarką.«

To wyrzekłszy otwiéra w pobliżu leżące pudło i wyjmuje z niego puhar dwukwartowy srebrny, bez nogi, z tym literami gockiémi napisem:

»*Ludzie wzięli mi jednę, ja im lepiéj zrobię,*
Bo za jednę nogę, odejmę im obie.«

»Bene! wykrzyknął podochocony Starosta, klasnął w dłonie radośnie: »*Mors a tergo, bibamus ergo!*« I całe grono starców poczęło wołać donośnie: *vivat! vivat!*

Pan Jan z Szczuczyna przyjmując z rąk Starosty, co go już spełnił puhar, jak nazywano *kulawkę* bez nogi, którego postawić nigdzie nie można, i musiał obchodzić w około z ręki do ręki, wstał i zanucił:

»*Gospodarzu, gospodarzu, kto u ciebie bywa*
Zawsze wesół, zawsze wesół, nigdy nie poziéwa!
Héj! ha! do licha!
Dajcie nam kielicha:
A za jego zdrowie,
Niech nam szumi w głowie.«

I przytknął do ust *kulawkę*, przechylił, i oddał próżny towarzyszowi Zarębie. Zaręba gracz stary, wedle wyrażenia Cześnika, *nie długo się bawił i dobrze się sprawił!* ani jednéj kropli nie zostawiwszy; oddał w ręce gospodarza, gdy głośna wrzawa w sali, gdzie młodzież tańczyła, zwróciła wszystkich uwagę.

Sześć par krakowskich, ukazało się w sali z własnym skrzypkiem. Niespodziewane ich zjawienie, obudziło radośną wrzawę. W dwóch piérwszych przystrojone jak dziewy wiéjskie bogato w korale, były zgrabne Cześnika Córy; w trzeciéj wnuczka Starosty, trzy dalsze córki młode, a wszystko czarnobrewki Pana Jana z Szczuczyna. Dwóch synów jego wywijało w pierwszych parach; zgrabny Chorążyc był w parze z wnuczką Starosty, a z trzema ostatniémi dziéwojami, hasali wyrostki Sędziego grodzkiego, co właśnie z pełnym puharem obracał się do gospodarza, by wypić jego zdrowie.

Grajek krakowski przygrał serdeczną nutę do śpiewków. I Adamek syn starszy Pa-

na Jana z Szczuczyna, pląsając przed tanecznicą swoją, począł nucić:

»*O dziewczę, gdzie mieszkasz, wiosnę bym wprowadził,*
Pod oknami twemi, lilije zasadził;
Lilije zasadził, i czerwoną różę,
Boście takie śliczne, i zgrabne, i hoże!«

Ojciec słysząc śpiewkę syna, wybijał takt nogą. Widać było rozrzewnienie na obliczu, i uśmiech radośny, co wkrótce przeszedł na lica Cześnika, kiedy usłyszał Jadwigę starszą córkę swoję jak odśpiewywała:

»*Malino, malino! różo farbowana!*
Powiadają ludzie, że ja malowana.
Ni ja malowana, ni ja różowana,
Tylko u matuli ślicznie wychowana!«

I zabrzękły mosiężne kółka u pasików z białéj skóry, zabrzękły podkówki stalowe, wśród chórowego śpiewu tancerzy:

»*Podkóweczki dajcie ognia,*
Bo dziewczyna tego godna!«

Zaledwie w kółko dwa razy wesoło grono obiegło, zmieszał się porządek. Wszyscy chcieli do Krakowiaka należeć; rozochocone dziewczątka, poskoczyły do grona starców: w pierwszą parę musiał iść Starosta, daléj Cześnik, Pan Jan ze Szczuczyna Sędzia i tłusty Podsędek. Sędziwy Starosta kazał grajkowi ciąć od ucha, i nadrabiając miną, wyręczając nogi, klaskał w dłonie, i tak zaśpiewał drżącym głosem, udając wymowę kmiécia:

»*Cus chces od starego, dziewcyno moja,*
Nie dajes mi, nie dajes mi pokoja,
Stary już nie jary, cus ze ci potem;
Nie podskocy ani razu,— zleje się potem!«

Oklaskami przygłuszono grajka, gdy z chóru zagrzmiała muzyka cała marsza, i wszyscy udali się parami na kolacyją, do zastawionych w klamrę stołów.

Już było daleko po północy, kiedy się uczta skończyła; młodzież zmęczona nie tak rzeźwie tańczyła: tylko *kulawka* między star-

cami przechodziła z rąk do rąk, lubo nie długo. Kiedy i *kapela* poczęła drzymać, na dany znak przez Cześnika, zagrała dawną piosnkę *Hejnałową* na powitanie zorzy, a arlekin z kilką młodzieży i Panem Janem z Szczuczyna, który ich téj staréj pieśni nauczył, zanucili razem:

Hejnał świta! już ci z morza
Rumiana powstaje zorza;
Jutrzenka w swojéj jasności,
Rozgania nocne ciemności.
Wstaje w lesie ptak zakryty,
Wstaje w puszczy zwierz nie bity.
Wstań panienko, hejnał świta,
Twój się sługa o cię pyta,
I z serca się stąd raduje,
Że cię zdrową być znajduje.« (*).

Pieśń ta była hasłem rozejścia się na spoczynek, — arlekin uderzył silnie trzepaczką, i zawołał: *dobra noc! dobra noc!* a Pan Jan

(*) Stara pieśń (*Pamiętnik Sandomiérski*).

z Szczuczyna kulawkę raz jeszcze na chórku wychylił, życząc wszystkim snu smacznego i błogiego.

Nazajutrz Proboszcz długo musiał ze mszą oczekiwać. Pomęczeni goście zaspali nadzwyczaj i zaledwie o 11téj godzinie z całém gronem udali się do Kościoła. Na śniadanie przygotowano kwaśny bigos z kapusty i zwierzyny, sławne u nas *remedium* po przepiciu. Mróz nieco zwolniał, wyjaśniło się niebo, przed samym obiadem sanki z arlekinem cicho odjąwszy dzwonki, wymknęły się za bramę.

Przyrządzono na gwałt obiad suty, i gdy weseli goście na nowo zaczęli wnosić wiwaty wczorajszym puharem kulawką, dano znać, że z dworu Starosty na shasanym koniu nadbiegł karbowy z doniesieniem od starego Kredencerza co marszałkował we dworze, iż wpadł jakiś Pan Wielmożny w maszkarze i kawałem drzewa, domowników po plecach wytrzepał, powywracał stołki w ja-

dalnéj izbie, a krzycząc: *Kulig! Kulig!* znikł jak kamfora bez pieprzu.

Starosta uradowany zaraz z małżonką swoją po obiedzie wyjechali, zostawiając wnuczęta pod opieką Cześnikostwa. Nie zapraszał nikogo, bo wiedział, że to rzecz umówiona i wszyscy stąd do dworu jego zjadą. Zaszły więc czterokonne wielkie sanie, na przodzie rozwijał szerokie skrzydła biały łabędź i wystawiał nad dyszel na długiéj szyi wyzłacaną głowę. Kiedy Starosta z małżonką już wsiedli, i okryli się niedźwiedziami, czterech strzelców zagrało *pojezdnego* na trąbkach myśliwskich, a Pan Jan z Szczuczyna w towarzystwie gospodarza, sędziego i wszystkiéj młodzieży z odkrytemi głowami, gdy kobiéty przez okna wyglądały, trzymając wielki puhar, »*Koroniarzem*« zwany, co w niego butelka wchodziła, wychylił na pożegnanie za zdrowie starostwa. Rozrzewniony Starosta, uściskał wszystkich, wychylił podany za pomyślność i wesołość. Woźnica zatrzasnął biczem, podskoczyły cztery

bułanki, zadzwoniły dzwonki i sanie łabędzia ze starostwem zniknęły wkrótce.

Nadjechał nie długo arlekin, zdał sprawę z poselstwa swego i zaraz poczęto robić przybory do Kuligu wieczornego. Ciemnym zmrokiem wyruszyło sań 13 poprzedzonych od czterech konnych dworskich Cześnika z pochodniami, którzy na przód wyjechawszy, w dalekich odstępach dawali światłem kierunek drogi, aby nie zabłądzić. Wesołe śmiechy, wrzawa, radośne piosnki, mieszały się ze skrzypem sani po zmarzłym śniegu, z parskaniem koni i czasem krzykiem bojaźliwego dziewczątka, kiedy się sanie nieco przechyliły. Na drabiniastych ogromnych saniach siedziała huczna kapela i przygrywała wśród całéj drogi. Nagle przestrach wszystkich ogarnął, dwór Starosty i część stodół w płomieniach. Pędzą końmi, podjeżdzają bliżéj i strach w okrzyki radości się mieni. Cztéry beczki smoły przed bramą dziedzińcową zapalone umyślnie z rozkazu Starosty, przyświecały spodziewanym gościom. A więc zwol-

niono koniom, kapela zabrzmiała, i na 13 saniach zaśpiewano:

»Od terema do terema,
Do Starosty my jedziema,
Prowadzimy żywy plon,
Kulig! w Starosty dom.«

Obszerny dwór murowany, rzęsisto oświecony i ogrzany, dobrze przyjął kulig wesoły, a gdy tańce rzeźwa rozpoczęła młodzież, wziął Cześnika Starosta na bok, i przypominając że w dniu jutrzejszym z ostatnim wtorkiem kończą się zapusty, oświadczył chęć swoję, aby kuligiem wpaść do pana Jana z Szczuczyna. Ziemianin ten niezamożny, otoczony licznem potomstwem, kochany i szanowany w sąsiedztwie, nie śmiał zapraszać do siebie. Starosta przeto z Cześnikiem ułożyli tak wszystko, aby żadnego mu wydatku nie sprawić. W nocy przeto czworo sani ze zwierzyną, mięsiwem i antałami wina, wyruszyło wraz z kucharzem Cześnika z dworu Starosty, do dworu Jana z Szczuczyna.

Poważny gospodarz, kazał podać sobie kij szklanny z gałką na końcu, napełnił starym węgrzynem; a kij z ust do ust przechodził. Potéj kolei, zaprosił sędziwszych z sobą.

»Niech młodzież, rzekł starzec,« szaleje, my tymczasem po dawnemu pójdziem sobie do piwnicy, tam muzyka nie przygłuszy mowy, a gawędzi się częściéj.«

Jakoż otworzono drzwi w podłodze, i ujrzano sklepioną piwnicę i oświeconą, z wygodną kanapą i kilką krzesłami, dwadzieścia beczek wina stało w porządku, oprócz butli i gąsiorów.

Gospodarz zachęcał, pan Jan z Szczuczyna radził umiarkowanie, przecież porządkiem jako znawca kosztował z beczek.

—»Zapamiętam« — wyrzekł kosztując już z pustéj beczki, »że dawniéj w takich to piwnicach najwięcéj bawiliśmy radzi. Tutaj dowcip, skrzesany ognistą kroplą *hungaricum*, radował serca; loch ciemny napełniały śmiéchy i wesołość.«

—»Przywodzisz mi tém Waszeć«, odezwie się Starosta, »głośną dawniéj historyją. Sławny dworzanin Smolik, o którym tyle znacie dykteryjek, zaproszony został od swoich towarzyszów do piwnicy na wino. Byłaćto za prawdę łapka na niego jeno; chcieli wypić beczkę wina, a Smolika zostawić by zapłacił. Ale nie fryc, — zwąchał pismo nosem; jednak ochotnie poszedł z niémi. Wchodzą: w piwnicy nasłano siana; stoi porządna baryła z węgrzynem. Pokładli się na sianie, piją dzień cały. Smolik dworuje, aż w końcu chce zrobić zakład; iż sznur z siana wykręci, i każdego nim wyciągnie z piwnicy. Zagrzane głowy wierzyć nie chcą i radzi zakład robią. Smolik kręci siano, a woła: »trzymajże mocno, trzymajcie,« i tak kręcąc wychodzi z wolna z piwnicy. Tu chłopcu koniec oddaje, i każe kiedy niekiedy poszarpnąć, a sam w nogi. Pozostali czekają jak pierwszego wyciągnie, ale gdy długo nie słyszą Smolika, wybiegają i widzą jeno chłopca. To zdarzenie rozeszło się wkrótce,

a nawet dało powód przysłowiu: »*Wykręcił się sianem.*« Boć za prawdę wykręcił się sianem.

Sędzia Grodzki słuchając téj gawędy, miał ciągle zwrócone oczy na szklanicę wielką, wziął ją w rękę i zapytał ciekawie: co znaczą trzy obrączki, co w znacznych przedziałach niższe?

—»Czyż nie znacie tego!« zawołał Jan z Szczuczyna, — »piło się z niego nie raz. Owoż nalewano cały, każdy musiał duszkiem od pierwszéj do drugiéj obrączki ani mniéj ani więcéj wypić: kto chybił miary; dolewano, musiał powtórzyć: kto trafił; wolny mu był spoczynek, nim wychylił do dna.

—»Sztuka to nielada!« rzekł z podziwem gruby Podsędek.

—»Większa sztuka« rzekł Cześnik, léj w gębę włożyć, i wytrzymać, gdy przez niego lano w gardło po kwarcie do razu. Tak bywało dawniéj, o czem wspominają nasze kroniki.«(*)

(*) *Kronika Bernarda Wapowskiego.*

Starosta radził daléj beczek kosztować, gdy dano znać, że czekają wszyscy z polonezem. Radzi nie radzi, wyjść musieli z piwnicy. Jan z Szczuczyna już dobrze podcięty, chciał tańczyć drabanta. Pomieszana małżonka wzięła go na stronę i doniosła; że Kulig zapowiedziano do nich na dzień jutrzéjszy jako ostatni Wtorek. Zmięszał się nieco, a że mieszkał w blizkiém sąsiedztwie; po tańcu wysunął się zręcznie, wsiadł na przygotowane sanie i ruszył do domu.

Jakież było jego podziwienie, gdy mu domownicy donieśli o przybyciu nie dawno czterech sań z kucharzem Cześnika, pełnych zwierzyny, mięsiwa i dwoma beczkami wina z piwnicy Starosty. Przéjrzawszy obfite dary, skosztowawszy nieco wina, podziękował Bogu szczerze, że się wyzwolił z kłopotu nie małego; i ze łzami radości powrócił na powrot uspokoić zmartwioną żonę. Siedziała smętna w kącie sali, gdy Jan wesoły zbliżył się i uwiadomił o wszystkiém; uśmiech szczęścia i radości spędził smutek. Sam poszedł

do Starosty, uścisnął mu kolana, dziękował Cześnikowi, i radośny dotrzymywał wszystkim pola.

Ochocza młodzież, doczekała świtu, nim znużyła się tańcem. Pan Jan z Szczuczyna wcześniéj z żoną i dziećmi odjechał do domu, aby przysposobić wszystko na przyjęcie licznych gości.

Skromny dworek Jana z Szczuczyna z modrzewiu pod słomianym dachem, stał blizko brzozowego gaju; na dziedzińcu nieobszernym mała sadzawka zarybiona, dostarczała obficie w post jadła. Dworek sam składał się z dużéj izby czysto wybielonéj, z piecem i kominem i dwóch małych pokoików; na przeciwnéj stronie takiż sam rozkład, ta część przeznaczona dla gospodarstwa, tamta na przyjęcie gości. W małéj tak zwanéj officynie mieściła się czeladź, teraz dla zjazdu na wieś wyruszona, a małe izdebki wyczyszczono dla młodzieży. Od rana kucharz Cześnika piekł na rożnach pieczyste; pan Jan ściągał wino, a małżonka jego z córka-

mi piekła faworki i pączki, synowie porządkowali gumno na pomieszczenie koni i sani.

W poblizkim Kościele dzwoniono na modlitwy, gospodarze tego domostwa pierwszy raz musieli zabaczyć słuchania mszy codziennéj. Starosta kulig zatrzymywał dłużéj z umysłu u siebie, i doniósł żeby się nie troskali z obiadem. Jakoż dopiero samym zmrokiem tak cicho wkradł się arlekin na dziedziniec z saniami, że go dostrzegli dopiero jak wyskakiwał z sanek, a wpadłszy do izby gościnnéj zapowiedział Kulig. I zaraz za nim odgłos muzyki i dzwonków zwiastował przybycie Kuligu. Pan Jan z małżonką i dziećmi na ganku przyjmował wszystkich: dobyto jeszcze z sań Cześnika i Starosty opleśniałych więcéj butelek i skrycie wniesiono do izby.

Umieszczono kapelę w przyległéj alkówce, i z najszczerszą wesołością hasała młodzież, weselili się starcy. Pan Jan uszczęśliwiony, że zaszczycono jego słomiane poddasze, i wszystkiego był dostatek, odmłodniał, za-

chęcał wszystkich do tańca i do kielicha, śpiewał radosny, a przypomniawszy sobie piosneczkę staroświecką, z zapleśniałą butelką w zebraném starszych gronie w przyległéj alkowie i kilku młodzieży, zapomniawszy o kielichu; prosto z niéj popijając śpiewał.

Wina, panien, a muzyki,
Kto chce, melankoliki
Rozweselić; to troje
Wybiją ze łba roje.
Więc komu nogi drgają,
Niech mu w dudy zagrają;
W takt podskoczyć nie wadzi
Którzy tańcują, radzi.
Frasunki suszą kości
Trzeba zalać wnętrzności,
A młodzieńcy z pannami
Niech się bawią żartami.
Przed kim dwie pełne stoją,
Jedna niech będzie moją.

Bodajże zdrów, sąsiedzie,
Każdy niech wesół będzie. (*)

Dla uczczenia swoich zacnych gości, i jak nazwał *benefaktorów*, szczególniéj w osobie Starosty i Cześnika, gdy wnosił ich zdrowie, ustawiona czeladź pod oknami dawała ognia ze strzelb kilku i dwóch dawnych szturmaków.

Przed wieczerzą, w czasie spoczynku zmęczonéj tańcem młodzi, wprowadził zabawę wiéjską. Domownicy jego przebrani za zwiérzęta i ptaki, przy brzmieniu kobzy naśladowali zręcznie skoki swoich postaci, jakie przybrali; sam z żywem wilczęciem obchodził damy i wymagał kolendy wedle dawnego zwyczaju. Wprowadzono na ostatku ogromnego niedźwiedzia, który zgrabnie tańczył, robił kijem i kłaniał się każdemu. Był to stary strzelec Starosty obszyty w skórę, który doskonale umiał niezgrabnego zwiérza

(*) *Co nowego, abo Dwór M. Trzyptyckiego z XVI wieku.*

poruszenia naśladować, przypatrzywszy się niedźwiedziom w samych kniejach z bliska, i nie jednę z niemi odbywszy przeprawę, czego ślady w potężnych krésach na czele nosił.

Pan Jan usadził się na to, żeby swoich gości popoił. Jakoż po wieczerzy Sędziego i Podsędka wyniesiono. Starosta z Cześnikiem, uchronić się zręcznie zbytecznych kielichów umieli.

O północy, podług odwiecznego kmieci Mazowieckich zwyczaju, wjechał na zrobionym zgrabnie koniu, syn najstarszy pana Jana przedstawiając »*zapust*.« W jednéj ręce trzymał w woreczku popiół z przywiązanym śledziem, drugą hamował rozhukanego rumaka. Pohasawszy po całéj izbie, zapowiédział swój zgon blizki, i nadejście postu. Tu potrząsł popiołem i wskazał śledzia. Na ten znak arlekin rzucił maskę i trzepaczkę pod nogi zapustowi. Powszechne milczenie towarzyszyło jego odjazdowi, przecież mimo

zapowiedzenia zapustu, tańczono i bawiono się wesoło do białego świtu.

W środę popielcową wieczorem, już każdy w swoim domu bawił, — znikły muzyki, taniec i śpiewy; bo umilkły dzwonki gromadnéj drużyny kuligu.

Rycerz polski, i Turek.—
Drzeworyt z Roku 1599.
Z poezyi Adama Czachrowskiego z.l.
Czachrowa wydanych we Lwowie
1599.

VII.

RYCERZE-POECI.

OBRAZ Z DZIEJÓW

Literatury Polskiej.

«Ja że się wojną bawię, wojnę wypisuję.»
Stephan Slizień (Haracz 1674).

(Z drzeworytem rycerza Polskiego i Turka).

Na dziarskim natolskim rumaku, jedzie XVI wieku nasz rycerz, z pod przyłbicy widać olbrzymie rysy wspaniałego oblicza. Wąs potężny, broda długa i poważna, spadają razem na stalowy pancerz; chropawą prawicą, włada ognistym bachmatem, w lewicy dzierży długie drzewce, z dłuższym jeszcze proporcem. Wszystko ma na koniu i na sobie, czego zapotrzebuje. Krzywy pałasz przy boku, długi obosieczny koncerz pod kolanem, by przebić leżącego na ziemi nieprzyjaciela, nie zsiadając z konia, — z jednéj strony długi sznur jedwabny do wiązania w troki czarnego Tatara, lub spasłego Turka, pod

nim kubeł do pojenia wierzchowca: — z drugiéj wisi młot potężny, by rozbić żelazną nieprzyjaciela przyłbicę, zbroję; albo wgnieść w czaszkę turban turecki. Na barkach chrzęszczą mu orle lub sępie skrzydła, a szum z nich i poświst;płoszy nieprzyjacielskie konie.

Jest to towarzysz Ussarskiéj chorągwi, — chorągwi, gdzie kwiat szlacheckiéj młodzi walczył, — i które nam dały rycerzy-poetów. Jedni z nich zapisywali w swoich dyjaryjuszach dniami czyny żywota swego, a razem dzieje swojéj chorągwi, (*) drudzy składali pieśni, lub w poważnym poemacie; malowali bitwy, klęski i zwycięztwa.

Tych to rycerzy-poetów, uważać musimy za prawdziwych rycerzy chrześcijańskich. Każdy z nich walczył z pogaństwem tureckiém, łamał się z hordami Tatarów: — a walczył nie tylko za ognisko swoje, ale i za świętą wiarę. Nie wiodła nim chęć łupów, bo cóż mógł zdobyć na Tatarze, najczęstszym

(*) Patrz „*Dyjaryjusze Maszkiewiczów.*“

wrogu, chyba brudny kożuch, kołczan strzał i burdiuk (*) z miodem lub mydłem; gdy przeciwnie poganin, oprócz łupu zachwyconego po wsiach, i grodach naszych, jeżeli zabił, lub wziął w jassyr rycerza naszego, miał zdobycz piękną, bo zdobywał zbroję kosztowną, na jaką się wysadzali, zdobiąc ją w złoto i kamienie drogie, dzielnego konia z ubraniem i trzos nie ubogi. Nasz rycerz, biegł za nim, po najpiękniéjszą zdobycz, aby tylko odbić i uwolnić więźniów swojéj ziemi: niéwiasty, szlachtę, kmieci i dziatwę drobną.

„Z których by zapomniawszy każdy swego proga,
Nie mógł wpośród pohańców, wielbić swego Boga.“ (*)

(*) *Burdiuk*, była to skóra cała, zdjęta z barana lub kozła, które napełniwszy miodem, albo masłem i przez konia przewiesiwszy; Tatarzy dla posiłku mieli.

(*) Ussarz Slizień: w swoim poemacie *Haracz*: 1674.

W dziejach literatury naszéj, ci poeci osobny ustęp mieć winni. Poemata ich w równi stać mogą z *dyjaryjuszami* pod względem prawdy, jako *materyjał* do dziejów, bo zawierają rytmem to zdarzenie tamtoletnie, — bitwy, — zwycięztwa, — to malują klęski, zwyczaje, i dają zarysy wyraźne charakteru, ducha swego czasu; czego gdzie indziéj nie znajdziémy wcale. Rzecz godna uwagi, rozważając dzieje nasze, jak wydatnie wybija się popęd całego narodu do poezyi. Nie dziw przeto, że w walecznych i sławnych chorągwiach Ussarzy, znajdujem poetów, — wszakże ich hetman, co poźniéj buławę zmienił w koronę, zawołany bohatér Jan Sobieski, sam pisał wiersze.

Obraz jaki stawiam naszych rycerzy—poetów, poetów pancernych, nie jest zupełny, nie mógł być nim nawet; bo niełatwie rozrzucone po świecie, równie jak ich kości, pozbierać dzieła jakie zostawili potomstwu: wszakże (jak mniemam), nie zostanie bez pożytku, rzuconych tu kilka rysów.

Był takim rycérz— poeta Adam z Czachrowa Czachrowski, pokrewny Jana Zamojskiego. Rycerski zawód rozpoczął, wszedłszy do roty Stanisława Stadnickiego, i z nim razem wspierał stronę Maksymilijana Arcyksięcia Austryjackiego, przeciwną Zygmunta 3go i Zamojskiego. Po przegranéj bitwie pod Byczyną w r. 1588 wraz ze swoim rotmistrzem, udał się do Węgier, chcąc jak sam wyraża »*poprawić ubogiéj sławy swéj.*« Za wierne, stałe i krwawe zasługi, niewdzięczności i wzgardy doznał: wrócił więc na powrót ubogi, i w przypisie dziełka swego, przeprasza J. Zamojskiego, błaga by go przyjął pod skrzydła swoje: składając winę, że dobył przeciw niemu szabli, *na nieunoszoną młodość*, a czego gorzko żałuje. Majątek jaki posiadał, stracił, przyznaje to sam, ale mówi:

» . . . *nie na bruku, w karczmie, ni w kartym utracił,*
Anim się téż z podwiką, jako żyw nie bracił.
Alem stracił na koniu, przez szablę!«

Jakoż rycerskie rzemiosło, wiele musiało mu uszczuplić szkatuły, gdy w obcéj służbie, w Węgierskiéj ziemi, na własnym koszcie utrzymywał po 40 i 50 koni z towarzyszami, którymi dowodził:

Z tymim nigdy na miéjscu, na jedném nie leżał,
Alem na głos pogańskiéj trąby wszędzie bieżał.

Dopóki było w szkatule, miał przyjaciół: w nieszczęściu, poznał dopiero, jak wątła jest przyjaźń, i słusznie narzeka:

»*Bo mię dziś w mém nieszczęściu, i ci odbieżeli*
Którzy ze mną pod jedną wątrobą leżeli:
Przecz we mnie serce taje, dusza ledwie żywa,
I oko moje łzami częstemi się zlewa.«

Wiersze swoje dobrze nazywa »*rytmem żołnierskim*«, bo czuć w nich tę twardość i chropowatość, podobną do jego zbroi szczerbionéj. Nie ma tu sielankowości tkliwéj, wymuskania; zdrowy rozsądek i czucie prawdziwe, cechują te rymy. Znać rękę szorstką, co w spoczynku gdy nie bije szablą,

wyléwa swoje natchnienia, czucie, modlitwy: we wszystkiém znać rycerza chrześcijańskiego. Między wierszami są prozą przypowieści, które gdy był na straży zamku w *Preszporku*, słyszał dnia 12 Maja 1593 opowiadane przez Ferhat Beka Kopańskiego, siostrzeńca Solima Sułtana, a w on czas więźnia, i drugiego brańca Turka, których wykład wiérszem dołącza.

Syn Podolskiéj ziemi, w obcych krajach kobzą i pieśnią, mieszał serce strapione, bo jak sam mówi:

»A do méj kobzy muzyki,
Wyprawuję słowa w szyki.«

Stęskniony w pieśni, budzi wspomniénia rodzinnéj ziemi, maluje trudy wojenne, i prosi Boga o nagrodę dla rycerza.

Słuchajmy téj pieśni.

»Powiédz wdzięczna kobzo moja,
Umie-li co duma twoja?
Cóż może być piękniéjszego,
Nad człowieka rycerskiego?

Cóż nad pograniczne kraje
Kędy, skoro lód roztaje,
Ujrzysz pola nieprzéjrzane
Młodą trawą przyodziane:
Ujrzysz dąbrowy rozwite,
Ujrzysz ptastwo rozmaite:
Zwierza, stada niezliczone,
I ryb roje niezłowione;
Gdzie czasem wieśniak ochoczy,
Łowiąc, sieci swoje toczy,
Albo na straż wyprawiony
Strzela zwierz, strzelec ćwiczony.
Lub przez nieminione progi,
Dnieprowy kozak ubogi,
Czółnem płynie, nie bez strachu,
Chodoju żyw Sołomachu.
Ussarz za się w mocnéj zbroi,
W arownym obozem stoi;
Który po szczupłym obiedzie,
Straż zarazem swą zawiedzie.
W tém probuje w kole koni,
Lub kopiją pierścień goni:

A kiedy zaś trwoga przyjdzie,
Z trzaskiem z obozu wynijdzie,
Pod świetnémi chorągwiami
Głośny trąbą i bębnami;
Bieży pochylony lasem,
Dla sławy, dla zysku czasem.
Tam młodź, harce swoje zwodzi,
A zaś we krwi często brodzi.
Pałasz kładzie w poszwę krwawy,
Cedząc zaś kreẁ za rękawy.
Drugiego też bystra strzała,
W sercu skrwawioném ostała:
Trzeci końmi podeptany,
Polega czasem bez rany.
Zatém, jedna przełomiona,
Nazad ustępuje strona:
A zwycięzca niezbłagany,
W tył srogie zadaje rany;
A w tym do łupu zebrane
Rycerstwo zaś spracowane,
Obraca się z trudu swego,
Dając chwałę Bogu z tego.

Dziękując czasem z wygrania,
A pod czas téż więc z przegrania:
Na jakąż więc stronę stanie,
Bądź zawsze pochwalon Panie!
Boże! który masz w swéj pieczy,
Ludu rycerskiego rzeczy;
Chudy żołnierz prosi Ciebie,
Odpłać mu tę nędzę w niebie.

* * *

Kilka wyjątków poniższych okażą dokładnie talent naszego rycerza-poety, który o sobie skromnie wspomina.

«Wiem, że tego nie pisał Rej, ni Kochanowski;
Lecz żołnierski pacholek, ja Adam Czachrowski»

»O fortuna, fortuna! cur non es omnibus una.«

Serce, męztwo, uroda, dzielność, obyczaje,
Te rzeczy w niedostatku, nie stoją za jaje.
Byś miał serce największe, byś był najmężniéjszy,
Nie miéj szczęścia z dostatkiem, aliś najpodléjszy.
Acz ci sława, rzecz pewna, że wszystko przeważa:
Ale mężnego nędza, haniebnie uraża.

Ktośkolwiek doznał nędzy, odpisz mi co na to:
Pokażesz-li to plotką, — dam ci co chcesz za to.

* * *

TREN

O ŁASKĘ DO PANA BOGA WOŁAJĄCY.

(fragment).

Panie mój! Panie! Panie litościwy,
W swém miłosierdziu hojnie szczodrobliwy;
Ty mię racz cieszyć, w każdym smętku moim,
A pomnij Panie, żem stworzeniem Twojém.
Jeszczem u piersi wisiał matki mojéj,
Kiedym, mój Boże! ufał w łasce Twojéj.

* * *

TREN

NA NIESTAŁOŚĆ LUDZKĄ.

Gdy szczęście płuży dobrze,
W ten czas przyjacioł szczodrze:
Jako piasku na morzu, jako i pszczół w roju,
I jako w oceanie wielkim pełno zdroju.
Lecz gdy nieszczęście tłoczy,
Wnet cię każdy odskoczy!

Gdzie się dom pięknie świeci,
Tam każdy ptak rad leci.
Ale kiedy odarty, a szkaradny będzie,
I domowy gołąbek, nie rad na nim siędzie.
Na szczęście ci patrzają,
Co z tobą przestawają.
Lecz gdyby koło ciebie nieszczęście zagrzmiało,
Żadnego-by na ten czas z tobą nie zostało.

Czachrowski całe lat dziewięć stracił na usługach rycerskich w Węgrzech, wrócił do Polski z skrwawionémi włosami, i tak długiémi (jak sam wyraża); że mu na ramiona spadały, ledwie mając czém nakryć nagość ciała poranionego. Jeszcze nie stanął w kole swojéj rodziny, gdy nieznany mu oszczerca, zniesławił go wszędzie. Do żywego tknięty takową podłością, pisze do niego wiérsz, chcąc wiedzieć jego nazwisko, wyzywa na rękę, a w ostatku hańbi zniewagą wielką, to mu wyrzucając:

»*Że nie jest w tobie jedna dobra męzka żyła,*
I to, że cię wszeteczna matka urodziła.«

Rozżalony, w drugim wiérszu, przeprasza czytelnika za takie uniésiénie:

«Wolałbym się popisać szablą swą przed wami,
A niż tak żałosnémi mojémi wiérszami.
Bo szablą dobréj sławy z młodości nabywam,
I częściéj nią niż piórem, nad wiérszami kiwam.

Pisma Czachrowskiego, miały dwa wydania. Piérwsze wyszło pod napisem: »*Threny y rzeczy rozmaite uczynione w Tabo-*»*rach, w ziemi Węgierskiéj y Chorwackiéj:* »*począwszy od roku 1588, aż do r. 1596,* »*druk: w Poznaniu u wdowy Jana Wolraba* »*r. 1597 in 4to.*«

Drugie pod napisem: »*Rzeczy rozmaite Adama Czachrowskiego* »*z Czachrowa szlachcica Polskiego, uczy-*»*nione w Taborzech y w ziemi Węgierskiéj y* »*Chorwackiéj, tam z rozmaitém szczęściem* »*mieszkając. Począwszy od roku 1588 do* »*roku 1596. Przy tem są y Threny wydane* »*na świat anno 1598* (*). *Teraz znowu z pil-*

(*) Pomyłką drukowano 1598, — powinno być 1597.

»nością wielką poprawione y na wielu miéj-»scach z przydatkiem ich znacznym odmie-»nione.«

«Multa dies in bello conficit unus,
«Et rursus multae fortunae forte recumbunt,
«Haud quenquam semper fortuna secuta est.»
Ennius.

Na samym końcu dzieła: *»We Lwowie drukowano Roku Pańskiego 1599.«* (Arkuszy 15 i kart 3. Sign: Aij-Oij in 4to).

Dziéło to, musiało mieć znaczny pokup, gdy w dwóch latach miało dwa wydania. Podzielone jest na dwie księgi: na końcu piérwszéj jest herb (drzeworyt) rycerza-poety i osiem wierszy pod nim na herb pomieniony, w których wychwala naszego Adama. Pod herbem w drzeworycie, Hussarz skrzydlaty, kopiją Turka na wskróś przeszywa.

O czasie zéjścia Czachrowskiego i o dalszych losach, czy poprawił w swojéj ziemi, ciężką niedołę, nie wiadomo. Kończy treny

swoje, pieśnią pobożną; kończę i ja o nim wiadomość, małym wyjątkiem z téj pieśni.

»Zsechłem jak wodna trzcina, która w wielkiéj suszy,
Przypadłszy lecia wietrzyk, zarazem ją skruszy,
Albo listek zielony, przykrym mrozem zjęty,
Od rodzajnego drzewa, gdy bywa odcięty:
Gdy na ziemię upadnie, już ni zacz nie stoi,
Tylko się jego chrupu, płoche zwierzę boi.
Także-é ja też mój Panie, bez ratunku Twego,
Bez chyby upaść muszę, sam od razu mego.
Ale Ty mię gdy raczysz, sam ratujesz snadnie,
A który w Cię nie ufa, ten niechaj upadnie.«

Na dwa lata przed Czachrowskim, nieznany z nazwiska stary rycerz, wydał poemat pod napisem:

»Rozprawa przygody starego żołnie»rza, roku pańskiego 1595 uczyniona. »W Krakowie roku pańskiego 1595.« (in 4to druk gocki, kart 14 nieliczbowanych, signa: Aij-D.).

Na odwrotnéj stronie karty tytułowéj, herb Książąt Ostrogskich i 12 pod nim wiérszy. Na drugiéj karcie przypis: *Aleksandrowi Książęciu na Ostrogu, i »Przestroga żołnie»rzowi rzecz swą prowadzić mającemu.«*

Tu wystawiony jest stary opowiadający żołnierz, — stary bo jako sam mówi:

Osiwiałem jako śnieg, snać się już i kości,
Zpod skórza dobywają, od wielkiéj starości;
A wzdy mię to na wojnę z domu wypędzają,
I utratą szlacheckiéj czci odpowiadają.

Gdy tak ubolewa, staje mu na oczy zmarły, a sławny Hetman Konstanty Ostrogski:

»Stanie zbrojny przede mną, szyszakiem rozświeci,
A w sercu mém nieznośną bojaźliwość wznieci:
Wnet mi członki struchlały, krew się wszystka zsiadła,
Jagody i twarz smutniéj nad zwyczaj pobladła.

Ale widmo bohatéra uspakaja swego towarzysza, a wspominając dawne zwycięztwa i odmianę obyczajów tak mówi:

»Teraz żołnierz jest rządny, co zuboży chłopy,
Aksamit na grzbiet wdziéje, a w mieszku ni kopy;

Jeszczem tego nie wiedział, żeby rynsztunkami
Tatary kto porażał, albo więc strojami.
A potém wyniszczywszy ubogie wieśniaki,
Dopiéro się pytacie o tatarskie ślaki.
A Tatarzy już dawno w ordzie z swą zdobyczą,
Halaj! halaj! mordując lud mizerny, krzyczą!
Toż wy dopierz za niémi z bębny i trąbami,
Nie trzebać ich prowadzić, trafią oni sami.
I także to Tatary pierzchające gonią!

Jam zaś nie odprowadzał z bębenki Tatarów,
Anim liczyć posyłał w ich w jskach janczarów:
Alem wskok za zdrajcami, ogniem paląc bieżał,
A gdzie oni w dzień brali, jam tam w nocy leżał.
Aż gdym tuż był nad niémi, ogniówem nie palił,
Lecz dla miléj ojczyzny sam siebie odżalił:
I takem sztucznie na nié żołnierze prowadził;
Żem prawie z bezpiecznémi zawszem się powadził,
A w tymem ich porażał!...

Pomijam dalsze wyjątki, ale nie mogę przepomnieć ślicznego obrazu bitwy z Tatarami, jakiego żaden z poetów naszych dotąd wydać nie zdołał, prócz jednego Malczewskiego. Bitwa ta była stoczona zaraz po koronacyi Królowéj Barbary Radziwiłłównéj.

«Alić nas Tatarowie z przygody napadną,
I prawie nam przed oczy, jako mgła przypadną.
. . . . A gdy wielką zgrają
Ufy nieprzyjaciela wolno nacierają,
Krzykną głosy z obu stron, niebo się rozlega,
Z prędka jeden drugiego w chybkości ulega.
Zaćmiewają powietrze strzały od gęstości,
Ledwie się trocha dniowéj migoce jasności!
. . . . Kiedy się zetrzemy,
I bez wszelkiéj lutości mordować imiemy;
Lecą jak snopie z koni, krew szczerka torami,
Bić się czyli tył podać, imą trwożyć sami.
Trzask i łoskot od broni wypuszcza dzwięk srogi,
Grzbietmi trupy szeroko pokrywają drogi!
Stąd śmiałość przezwycięża, stamtąd wielkość ludzi,
Polacy zatrwożeni, zapomnieni drudzy (*).
Ale póki rękoma czyrstwo władać mogą,
Najmniéj nie ustępując śmierć przynoszą srogą;
Dopierz siła na siłę śmiałości dobyła,
Rota jedna w pośrodek prawie się przebiła:
A tam mężnie bojując, więźniów dopaduje,
I z rzemieniów okrutnych, wszystkich rozwięzuje.

(*) Sciąga to do więźniów, którzy odbici, powiązani są jeszcze.

Sierdzą się na Tatary, co ich w trokach mieli,
Broni różnych dostając, biją się tém śmieléj:
Mięsza się krew z trupami, nie pomogą strzały,
Leżą kupy Tatarów, wysokie jak skały.
Drudzy się z koni walą, drudzy uciekają,
Drudzy zaś od zapędu nazad się cofają.
Jako od wiatru liście suche się rozlecą,
Tatarzy i kożuchy z ramion swoich miecą,
Aby się tym co prędzéj, śmierci uchronili,
A nad ludem do boju niesposobnym mścili.
Pędzą prędzéj niźli wiatr, nie dojrzéć ich okiem,
Rozciągnieni po polu zagonem szérokim.
Ale próżno, co żywo po polach ich goni,
Zaledwie który zdrowy wypłynął z téj toni.»

Po tym obrazie stary żołniérz gawędzi długo z widmem swego wodza, aż się zmiarkował, że śpiący obok towarzysz mógł go wysłuchać, woła więc na niego, aby gotował się w drogę.

«Kolaskę nasmaruj,
Popręgi i strzemiona, u siodeł obwaruj.
Oprawstare chomąta, wytrzéj rohatynę,
A opatrz u półhaka spustową sprężynę.
Kup prochu funt abo sześć, a kul ze trzy kopy,
Waruj-że się więc w karty, zabawić gdzie z chłopy.

Kupże też sobie buty zaraz z ostrogami,
A miéj na dobréj pieczy on kosztur z kolcami,
Jeśli kędy uwięźniém rychléj wyjedziémy,
Gdy z błota za bachmatem kolasy poprzemy.
Sajdak mi też tu przynieś z łukiem i strzałami,
A ile ich obaczysz z złemi żelazkami;
Zostaw wszystkie na miéjscu. Sobie zaś Ussarski
Strój nagotuj, mnie ten już przystoi Szwancarski.(*)
A koncerz kędyś podział? pieczenią-ś piekł na nim?
Bodaj że cię zabito z takiém szanowaniem.
Co będziesz miał pod nogę, mój miły Ussarzu?
A rusznicę masz w olstrze? gotuj-że kopiją,
A miéj się na baczeniu gdyć ją z rąk wybiją.
Obracaj - że się rychléj, oblecz się w mą zbroję,
Nie tak cię prędko sprzątną, jać o świat nie stoję!
Włóż przyłbicę na głowę.
Ukrój-że szmat słoniny, a wytrzéj ją sobie,
Chcesz-li żeby się lśniła jak słońce na tobie.
Zbroję szkoda wycierać, bardzo ją rdza zjadła:
Alebym przez wytartą wnet szabla przepadła!
Jużeś wszystko zgotował? Wsiadajmyż na konie,
Panie Boże, Twojéj się oddajem obronie!»

W lat siedemdziesiąt siedem po Czachrowskim, zjawił się rycérz-poeta za króla Mi-

(*) Szwancarski, czarny, zbrudzony.

chała Korybuta: *Stefan Jan Slizień*, towarzysz sławnéj Ussarskiéj chorągwi, co dzielił wyprawy z Hetmanem Janem Sobieskim. Wydał swój poemat pod napisem:

»*Haracz krwią Turecką Turkom wypłacony, w Wilnie w drukarni Akademickiéj Soc. Jesu roku pańskiego 1674.*« (*in 4to, druk gocki: stron liczbowanych 103 — Signat. A — N. 2.*).

Slizień poczyna swój poemat od wyprawy przeciw Turkom r. 1672 za króla Michała, gdy hetmanił Sobieski. Dobry rycérz nie lubił prostoty szczeréj jak Czachrowski, zakochany w mitologii, zdobi ją aż do unużenia czytelnika, który radby nie spotykać tych widmów starego i zmarłego świata, a wolałby miasto nich więcéj w opisach prostoty staroświeckiéj. Nie mało jéj i nasz Ussarski towarzysz posiada, zawsze ona wybija tam, kędy zapomniał szkolnéj nadętości, a szedł za uczuciem i prawdą. We wszystkich wyprawach które opisywał, osobiście stawał, jako sam mówi:

Do łaskawego Czytelnika!

«Rzecz samę, nie słów swoich, przynoszęć kolory,
Wojny powieść prawdziwą, nie wiérszów pozory;
Bo to tylko poetom trefnym zostawuję:
Ja że się wojną bawię, wojnę wypisuję.
Wszak że mię nie Apollo w Parnassie na łonie
Swém chował, ani Muza wdzięcznym Helikonie:
Lecz mię Mars w swojéj szkole, krwawéj uczył wojny,
Nie w domu pielęgnował Janus, bóg spokojny.
To piszę com sam widział, i w téj tylko mierze,
Więcéj oczom niż uszu przypisuję wierzę (wiarę).
Bo lubo w inszéj stronie insze były boje,
Jednakże nie w mych oczach, wiérsze milczą moje.
Te tu tylko podjazdy, i te prace piszę,
W których byłem sam; nie te, co od drugich słyszę.
Dla czego czytelniku, prawdziwą istotę
Rzeczy, przyjmij; a rymów mych ogródź prostotę.

Piérwsza walka była zwycięzka, pobito Tatarów, a jeżeli rycerstwo zasmucone stratą kilku swoich towarzyszy; wesele napełnia ich serce, gdy odbili wiele plonu, i wydarli

niewolników poganom, a niemała była ich liczba.

«Nie tak więc białe trzody pola okrywają
Z rana, gdy je pasterze swoi wypędzają:
Nie tak się i łabęcie po jasném jeziorze
Bieleją, jako jassyr (*) nędzny w swym ubiorze!
. . . . .
Zmięszana tam powaga rodu szlacheckiego,
Z ubogim kmiecym stanem; kiedy związanego
Przed sobą poddanego, z swoim pędził panem
Dziki Tatar, kańczugiem tnąc ich drutowanym.
Gdzie się ona wytworna podziała ozdoba
Twéj szlachcicu swobody? gdy z twym chłopem oba,
W dybach jęczycie, na was misternie zmyślonych,
Na nogi niewolników kilku urobionych!
Patrzysz na swą z daleka, (o mój mocny Boże!)
Córę z żoną, i widzisz że ony dwie, łoże,
Psom ścieląc bisurmańskim, zabrane w niewolę,
Nie swoję, lecz z przymusu, czynią pogan wolę!
Białą-płcią tam zabraną, pola zabledniały,
Chodzi córka szlachecka z chłopską i syn mały:
Matka się ubijając szuka swego syna,
Będąc nie u jednego ręku Tatarzyna.

(*) Jassyr, oznaczano tém naszych niewolników, schwytanych przez Tatarów i Turków.

Tu mnóstwo małych dziatek, co matek nie miały,
Chociaż jeszcze w swym wieku téj nędzę nie znały:
Matki co synów, lubo córek postradały,
Lub miłych mężów łzami serdecznie się lały.
Tylko samych płaczących matek, także dzieci,
Płacz wielki wzbijając się, pod niebiosa leci.

Cały ten dzień zeszedł, na zbiéraniu odbitych niewolników Tatarom: gdyż

. . . . *Póki dnia stało, mężów straconych,*
Szukały swoje żony, matki zaś zgłodzonych
Od piersi swoich synów: kto mógł to poznawał,
Kto zaś swego nie nalazł, na polu zostawał.
W tym wódz pobożny (Sobieski) widząc, pozostałe dziatki
Tylko się czołgające, których swoje matki
Poznać nie mogły, głodem trzydniowym zmorzone,
I niezwyczajnym kłusem tatarskim strudzone;
Bojąc się bardziéj tego, aby pozostałych,
Znowu Tatar nie zbierał po nas, dziatek małych:

Kazał zbiérać i odwozić do bliskiego monastyru, tych niemowlątek było dwanaście wozów, po cztérdzieści dziatek, które matek swoich nie nalazły.

Był Lwów w onę dobę oblężony od Turków i Tatarów, gdy do Muradyna Sułtana Tatarskiego rozbite *kosze*, przyniosły wieść klęski. *Kapłan* Basza przerażony, ucieka z pod starego grodu, zostawując w zdobyczy, bogate łupy na wielu mułach i wielbłądach, razem z rozbitémi namiotami co się bieliły w około miasta. Muradyn w trwodze uchodząc

. . . . *«tylko w kilkadziesiąt koni,*
Bieży drogi nie wiedząc, bo mu się wschód mieni,
I koń pod nim od biegu, zmordowany pieni.»

Gdy rycerstwo nacisnęło pod *Komarnem* Tatarów, ci dziatki małe, i więźniów pomordowali. Po rozbiciu powtórnie hordy i odbiciu jassyru:

»Obozem przy lesie stanąwszy,
Izmordowanéj ręce swéj każdy wytchnąwszy,
Razem się młódź ochotna do Boga rzuciła,
I Te Deum laudamus, *nabożnie nuciła.«*

W tym sposobie Slizień opisuje wyprawy jakie odbywał pod buławą Jana Sobieskie-

go przeciw Tatarom i Turkom, kończy zaś *kampanijją* Wołoską, opisawszy poprzednio sławne pod Chocimem zwycięztwo. Poemat ten ważne do dziejów podaje szczegóły, małe wyjątki którém wypisał, mogą dać poznać talent poetyczny naszego rycerza - poety, który po wyprawach i trudach ciężkich, dziękując Bogu że mu pozwolił »*jeszcze deptać swoję rolą*,« w szorstką od szabli i munsztuka rękę, w domowéj zagrodzie, pochwyciwszy pióra; dla potomków pamięć, zwycięztwa, i dziéje prac wojennych swego hetmana, towarzyszów, i własne rytmem opisał.

PRZYPISY.

«W poemacie «*Rozprawa przygody starego żołnierza.*» *r. 1595 głośnego w dziejach Zygmunta Igo, Michała Glińskiego, wciąż «Chelińskim» nazywa.*

Poemat Sliźnia ma dwa napisy, piérwszy jakem wypisał, drugi na następnéj stronnicy taki: » *Haracz krwią turecką Turków wypłacony: albo Relacyja dwuletnich prac wojska koronnego y Wielkiego Xięztwa Litewskiego: to jest roku pańskiego 1672, w którym tylko samo koronne kwarciane wojsko; y roku pańskiego 1673, w którym y wojsko WX. Litewskiego z wojskiem koronném pod Chocimem pracowało; przez Stephana Jana Sliźnia wiecznym czasom w memoryjał podana. Roku Pańskiego MDCLXXIV, miesiąca Maja 15 dnia.*»

VIII.

GAWĘDA KONNA

Z czasów Augusta 3go.

Jeno co poświtywać zaczęło, gdy na gościńcu piaszczystym szedł z wolna dziarski stępak bułany, okryty szmatą kobierca perskiego. Na nim siedziało dwóch jezdzców, oba szara szlachta ze wsi jednéj, sąsiedzi przez płot i miedzę, a serdeczni przyjaciele, nawet jednego herbu *Stary Koń*. Wybrali się w daleką drogę, w odległy powiat, jeden odzyskać spadek po krewniaku, drugi zobaczyć bogatą pannę ciotkę. Rzeski bułanek, żuł wędzidło kiedyś pozłacane, zabytek rodzinny Jadama: a podogonie trzymające szmatę kobierca, co służył miasto rzędu i siodła, świécił kilką guzikami złocistemi, zachowawszy wyciski; kędy dawniéj szmarag-

dy, perły i rubiny lśniły. Ale te ozdoby zbytkowe powoli potrzebni zawsze potomkowie wydzierali, aż ojciec jednego z naszych jezdzców, ostatni szmaragd arendarzowi sprzedał za garniec wódki i kwartę soli; w którą żyd połowę ziemi domięszał. U każdego jezdzca wisiała szabla w pochwie wężowéj, na surowcowym rzemyku, buty z cholewą wywijaną, uzbrojone w długie ostrogi, przez ramię zawieszone torby borsucze, na głowach czapki rogate, zsiadłe na czarny baranek co je okolał. Piérwszy co kierował bułankiem, był to pan *Jadam* właściciel konia, drugi pan *Bartłumi* co się przysiadł na konia. Obydwóch czupryny szpakowate choć wąsy czarne, sumiaste, świadczyły, że każdy nie mało już krzyżyków w latach żywota nakreślić może.

Słonko zwolna poczęło wschodzić, i złocić zboża, i trawy zielone, szary skowronek wzbijał się nad miedzę ze śpiéwem, słowik kwilił w gąszczach rzewliwie, kukułka kukała, po łąkach klekce bocian, stada żórawi cią-

gnęły ze śpiéwem: pan Jadam razem z pastwem zanucił pieśń nabożną poranną, wtorował mu Bartłomiéj. Koń w piasku stąpał powoli, a nasi jeźdzcy zdjąwszy czapki, bili pokłon Bogu pieśnią i westchnieniem nabożném.

Amen! wyrzekli razem, wtłoczyli czapki na lewe ucho, a zakręciwszy w górę wąsy, bodą czterma ostrogami bułanka, i sporym ruszają kłusem. W przebiegu drogi spotykali wieśniaków, jak wychodzili do pracy, a witając każdego »*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus*« uchylali czapek. Dziwiła ta grzeczność szlachty kmiéci, a nie patrząc na nich z uśmiéchem szyderskim, nizkim ukłonem oddawali pozdrowiénie.

Trzeba spocząć bułankowi bo się shasał, trzeba samym co przegryźć i popłukać gardła na śniadanie, więc przed gospodą zsiadają. Jadam spojrzał wzgórę, a ujrzawszy na wystawie malowaną kaczkę, jak łyka piskorza: »Cicho panie bracie! jużeśmy w Ma-

zowieckiéj ziemi, owoż nas piskorz wita, snać Łęczycki powiat.« (1)

Zaledwie weszli do dużéj izby, spostrzegli kilkadziesiąt szlachty, żywą gawędę prowadzących. Najstarszy wiekiem właśnie gramolił się na stół, a stanąwszy krzepko, zdjął czapkę, oddał pokłon, chrząknął, splunął, podniósł wąsy, a zawiesiwszy czapkę na rękojeści szabli; począł przemowę.

—Panowie bracia moi! zeszliśmy tu razem słusznym uniesieni gniewem, aby ukarać zuchwalca; co śmiał jakby szydząc ze swéj braci, piskorza malować na karczmie.

—Spalić! porąbać gospodę i zuchwalca!« krzyknęła obecna szlachta, a Jadam z towarzyszem swoim ciekawie końca patrzyli.

—Święta prawda! (mówił stojący na stole, gdy wrzawa ucichła), słusznie zemsta straszna nas unosi, ale wszystko ma swą miarę. »Miarą kocie, gdzie idzie o cię.« Owoż i teraz na to pamiętajma! — Moja rada, gospody nie palić, zuchwalca nie rąbać, ale go prowadzić, osądzić, i tym bizunem (tu do-

był z zapazuchy gruby kańczug), dać braterskim afektem napomnienie, a że szlachcic; kobierzec na ziemię.

—Zgoda! zgoda! zawołali wszyscy.

W tém mówca spostrzega w kącie przybyłych Jadama i Bartłomieja, i woła:

—Opatrzność Boża czuwała nad nami! Owo przysyła nam dwóch braci z dalekich stron, za prawdę, oni nam pomogą.

Głowy wszystkich obróciły się na gości; zmięszał się Jadam i Bartłomiéj.

A co to Wasze trzymasz w ręku (zapytał mówca Bartłomieja, co zdjął czaprak z bułanka, i trzymał w ręku), jak baczę szmat kobierca! A to wyśmienicie, będzie na czém skórę wyłoić. Daléj panowie bracia, winowajca niech tu stanie.

W mgnieniu oka z dworu przyciągniono dziedzica wioski i gospody, co namalował piskorza: opierał się silnie, ale przemogła liczba, rozpędzono dworskich.

—Jest! jest! zabić! zabić! wołała szlachta.

Stary mowca kiwnął ręką, włożył czapkę, ucichło wszystko.

—Wasze (mówił do dziedzica), nie wykręcisz się sianem, że dla naszéj *dyfamii* kazałeś namalować piskorza. A wiesz chłystku, że tu w około mieszka prawa Łęczycka szlachta! Skórka na buty! przebrał się z *miemiecka*, włożył pludry, łeb jak pudel ufryzował; owoż poznasz skurczypałko jak kontusz przylepia na pludry, jak piskorze ćwiczą! — Panie bracie! (krzyknął i wskazał Bartłomieja), rozściel Wasze kobierzec. Panie bracie (wskazał Jadama), weź wasze mój bizun, a wal dobrze, po mojéj rachubie, nie żałuj szlacheckiéj ręki, my Waszeci całą drużyną dzięki złożem.

Bartłomiéj musiał rozesłać swój czaprak, Jadam stanąć z kańczugiem w gotowości. Położono dziedzica, zdjąwszy mu frak modny w one czasy, a mowca liczył, raz! dwa! i następnie.

Jadam widział że tu może zyskać *estymę* braci, plunął więc w garść, wyniósł kańczug

w górę, pokręcił i spuścił. Snać że silny raz wymierzył, bo stary mowca rachując krzyknął:

—Dobrze bracie! jeszcze raz!

Biedny dziedzic, daremnie prosił i kręcił ciałem, szedł raz po razu porządnie, aż mowca naliczył pięćdziesiąt. Wtedy Jadam stanął, kańczug złożył, i schował za pazuchę.

—Jak to, już? krzyknęło wielu.

—Tak, już! odrzekł śmiało Jadam, bo karać umiem za obelgę, ale zabójcą nie będę.

—Bij go jeszcze! bij go! wołali niektórzy.

—Ani jedno uderzenie, *satis!* Któż mię tu zmusi? Czy myślita że waszéj chmury się zlęknę? Baczyliście że bić umiem, a ja lepiéj rąbać umiem.

—Dosyć! dosyć! rzekł zmięszany mowca, dobrze mówi pan brat.

Podniesiono omglałego dziedzica.

Szlachcic jeden przyniósł szyld malowany, wściekłość na nowo gromadę opanowała. »Na łbie mu rozbić« wrzeszczeli, i byliby biedaka zabili, gdy Bartłomiéj ochłonąwszy,

dobył szabli, a zasłaniając dziedzica, zawołał grzmiącym głosem.

—Wara! ani kroku! ja go nie znam, nie malowałem piskorzy, ale na rozbójstwo nie dozwolę, chcecie zemsty, spalcie piskorza i kaczkę.

—Ognia! ognia! woła gromada, a że właśnie palił się na kominie ogień, wrzucono więc szyld, kiedy nie zajął się razem, porąbano szablami w kawałki.

Przyszedł do zmysłów dziedzic, chcąc się ratować, i złe naprawić prosił o głos. Z początku nie pozwolono: ale gdy zawoławszy arendarza, kazał stawiać miód i wódkę; udobruchana szlachta dozwoliła mówić, posadzili go nawet na stole.

Tu słabym głosem począł się tłumaczyć, że bynajmniéj nie dla przymówki wywiesił znak taki, że ma zawsze wysoki szacunek dla panów braci sąsiadów, że się musiał przebrać, bo właśnie miał się żenić dobrze, a panna nie chciała w narzeczonym widzieć ni żupana, ni wąsów (2.), że braci szlachtę zawsze

kocha i nie odrodził się od nich! Tu zapłakał! a nie mogąc dokończyć mowy zawołał: »Abrahamie! wina! miodu! wódki! co masz wystawiaj dla moich kochanych samsiadów.«

Stary mowca już podchmielony, rzucił w górę czapkę, i krzyknął: *vivat!* a wszyscy krzyknęli *vivat! vivat!* Kilku skoczyło do stołu, porwało na ręce zbitego dziedzica, i w radości poczęli go nosić po izbie, a gdy ich począł prosić, aby do dworu mógł się dostać; wypiwszy wszystko co było, zanieśli go ze śpiewką do blizkiego domu.

Kiedy zostali sami nasi podróżni, uradzili, że najlepiéj siąść na konia, i ruszyć. Doradzał to i Abraham, mówiąc starą przypowieścią: »Gryzą się psy domowe, a jak cu»dzego zobaczą, to hajda! za nim.«

Nie czekając więc na podziękowanie dziedzica, co mu życie ochronili, dosiedli co rychléj bułanka, i drapnęli z kopyta. Kiedy już las minęli, rzekł Jadam:

—A cóż kmotrze tak dumata?

—Jest nad czém za prawdę, boć to dziwne zdarzenie.

—Nie znasz naszéj braci szlachty, samsiedzie, co w jednéj godzinie i bije się z sobą, i pije? Czyż nie znacie owéj przypowieści: »Albo pij, abo się bij.«

—Biedak ze swoim konceptem! byliby go zabili, a teraz!

—Ba! teraz zgoda jak najlepsza i zobaczyta jak krzyknie, to ta sama szlachta stanie mu do kosy i sierpa na sianożęć i żniwo gromadnie, będzie mu śpiewać, tańczyć i pić z jego piwnicy.

Bartłomiéj usłyszał tentent za sobą, spojrzy i widzi jednego z onéj gromady szlachcica. Gdy stanął bliżéj rzekł:

—Bracia szlachta przysyła wam podziękowanie, i zaprasza w swoje biesiadne koło.

—Dziękujem uprzejmie (odrzekł Jadam), ale my w drodze, czasu nie możem tracić.

Szlachcic kiwnął ręką, i ukrył czapką uśmiech; dostrzegł to Bartłomiéj.

—Wasze śmiejesz się, że nas złowić nie możesz.

—Bywajta zdrowi, Panowie bracia, z wyżlim węchem, bo nasz mowca stary przyrzekł, że tych co dali kobierzec, i podnieśli rękę, osmagać każe *horrende*!

—Nie takby mu łatwie przyszło jak z dziedzicem (zawołał Jadam), dziękujem Waszeci za dobrą przestrogę, jedźcie z Bogiem.

I rozstali się przyjaźnie.

* * *

Jechali dzień jeden, jechali dzień drugi, bez przygody dzięki Bogu, śpiewali po drodze pieśni nabożne, popijali wódkę u żydów po karczmach, a przekąskę z wędzonki i jaj twardo gotowanych, mieli w torbach borsuczych gotową. Aż przybyli dnia 3go pod Zawichost. Przy drodze stała kapliczka Sgo Jana Nepomucena: stanęli przed nią, zdjęli czapki, i poczęli modlitwę; gdy nagle z kapliczki wychodzi jakiś pan wysoki, barczysty, bogato przybrany.

—A gdzież to panowie bracia jedzieta? zapytał.

—Jasny Panie! (odrzekł Jadam), jesteśmy podróżni, jedziem pod Kraków do krewniaków.

—Więc napijmy się nieco! I klasnął w ręce, a wysoki hajduk wyniósł z za kapliczki puzdro nie małe, i ogromny kielich. Jadam i Bartłomiéj zsiedli z konia, a Pan *Borejko* kasztelan *Zawichostski* (gdyż to on był), wlał butel wina w kielich, i w ręce Jadama wypił. Jadam stary dworus, i gracz do puhara, przyjąwszy kielich pełny, pogłaskał się po czuprynie, splunął, otarł wąsy, i jednym łykiem wypróżnił całą miarę. Pan Borejko z radości poklepał go po ramieniu, i rzekł:

—Zapraszam Waści i Waścinego *sodalisa* do siebie, zobaczym kto kogo przepije.

A kazawszy hajdukowi zabrać puzdro, razem z wędrowną szlachtą poszedł do dworu. Wzięto bułanka do stajni, Kasztelan wprowadził gości do osobnéj izby, gdzie na rozesłanéj słomie leżały kobierce, na stole

było dostatkiem jadła i napoju. W tym przybytku pijackim pan Borejko rzekł:

—Tu na osobności sprobujem się z Waszmościami, kto ma łeb tęższy, bo widzę, że mam do czynienia nie z frycami.

I dobył puhar jeszcze potężniejszy.

Z uśmiechem spojrzał na niego Jadam, ale Bartłomiéj z trwogą zmierzył, że blizko pół garca trzyma. Kasztelan z gąsiora napełniwszy go, wypił w ręce Jadama. Jadam odpiąwszy żupan, popuścił pasa, i gładziéj łyknął od Pana Borejki. Kasztelan pokręcił głową z podziwienia, a Bartłomiéj spoglądając jak na cudo, otworzył gębę, gdy Jadam podając mu pełny, zachęcał aby za jednym oddechem wypił. Bartłomiéj dla utrzymania szlacheckiego honoru, począł pić, ale trzy razy przestawał, za nim spełnił miarę. Pan Borejko z pogardą na niego spojrzawszy rzekł:

—Widać, że to *maiż* (3), z nim nie ma co zaczepiać. Ruszaj bratku do mego Marszałka i powiedz mu, aby ci dał wygodę.«

Bartłomiéj zawstydzony ustąpił z izby.

—No! teraz hajda w taniec, miły bratku! trafił swój na swego, mówił djabeł do węglarza! Z innéj bóczki zaczniémy! zawołał Kasztelan, a rzuciwszy puhar, porwał za uszy konew` srebrną pełną wina, i wsadziwszy w nię głowę, wychylił do kropli.

Jadam odwinął pas zupełnie, rzucił żupan, a rozebrawszy się jak do polewki, schwycił konew`, nachylił, a pokazując próżną Borejce: —»A co Jasny Panie! czy macie ochotę spróbować starego ćwika? Owoż wam pokażę, małą sztuczkę, uważaj Jasny Panie!«

Tu nalał sobie potężny puhar, a po piérwszym łyku, musnął się po jednym wąsie, potém po drugim, a za trzecim wzdłuż twarzy od czoła do brody, uderzył w stół palcem z wierzchu i ze spodu, tupnął nogą, i krzyknął »*piwo.*«

Kasztelan usiadł na kobiercu. Jadam drugi puhar sobie nalał, podzielił go na trzy łyki, a za każdym podwójnie muskał się po

wąsach, i brodzie, w ostatku krzyknął: »*piwo! piwo dobre!*«

Pan Borejko duże oczy wytrzészczył podziwem, gdy Jadam nalał trzeci puhar, a pijąc w tych podziałach jak dwa piérwsze, potrzykroć muskanie powtarzał, i w końcu trzykroć wykrzyknął: »*piwo! piwo! piwo dobre! nalej.*«

Kasztelan powstał, wypił dwa puhary z temiż sztuczkami, ale w trzecim się pomylił, i musiał zaczynać na nowo: lecz język już splątany nie wymówił »*piwa*«, a sam zmorzony, upadł na kobierzec. Jadam wtedy, do zimnego pieca głowę przycisnął: zrzucił odzienie, a stojąc w koszuli jeno, wodą zimną polewał czuprynę. Chwiał się czas jakiś na nogach, po czém obsunął się po piecu, przysiadł; a straciwszy równowagę, upadł na kobierzec i zasnął.

Bartłomiéj tymczasem smaczno zajadał u Marszałka, który znając swego pana, pilnował aby nikt mu nie przeszkodził. Wszakże gdy upłynęło godzin kilka, wysłał do izby

słomianéj (tak nazywano gdzie pili), hajduka. Gdy ten drzwi otworzył, Jadam bez hajdawerów, zajadał trzeźwy potrawy ze stołu: pan Borejko spał jeszcze. Nie długo przecie otworzył oczy nabrzmiałe; zsiniała i nabrzękła mu twarz cała. Kiedy zlał głowę zimną wodą, i przypomniał jak zwyciężonym został w pijatyce, rzekł ochrypłym głosem.

—Panie bracie! widać żeś djabła połknąć musiał! w całym powiecie, ba! w całéj *ziemi* naszéj, nie znalazłem łba tak wytrzymałego! Jedźcież z Bogiem, żebym się przy was dłużéj nie wstydził. Ale Waszeciów dwóch na jednym koniu, czyjże to koń?

—Mój Jasny Panie.

—No, to Waszeć temu chłystkowi swemu *sodalisowi* podaruj swego, bo ja dam Waszeci lepszego!

Jadam uścisnął za kolana łaskawego pana, co rychléj się ubrał, wyszedł z rumianém licem, i oświadczył swemu towarzyszowi wolę Jaśnie Pana. Bartłomiéj podskoczył z radości, że dobrego konia dostał, gdy wywie-

dziono w bogatym rzędzie dzielnego biegu-na. Pan Borejko wyszedł na ganek, a gdy obaj dosiedli koni, kazał przynieść puhar od *strzemiénia*, i pił zdrowie *Jadama*. Szlachcic rzucił czapkę w górę, wychylił *vivat* i ruszył z kopyta. *Bartłumi* zagrzany ochotą sąsiada, prosił o puhar, i jednym łykiem wypił, po czém skłonił czapką i poleciał za Jadamem. Ledwie za *bronę* wyjechali, Bartłomiejowi w oczach ściemniało, począł zbytecznie kiwać się na koniu.

—*Kiźci* za djabeł! słaba głowo! pił jak kanarek, a spił się jak bela! No! trzymaj się trutniu! Tak krzyczał rozgniewany Jadam, ale widząc że Bartłomiéj przytomność utracił, mrucząc: »lepiéj ci pewno było na jednym koniu jechać,« zsiadł z konia i zsadził sąsiada, a położywszy pod płotem, przy którym uwiązał konie, pobiegł do studni, i cebrem na niego zimnéj wody chlusnął. Otrzeźwiał omglały szlachcic, począł przychodzić do siebie, a po spoczynku godzinnym, zdrowi i weseli ruszyli w drogę (4).

Jechali dzień jeden, jechali dzień drugi, na trzeci stanęli szczęśliwie na miejscu. Ale Jadam spadku nie odebrał, bo trzeba wieść o to proces w Trybunale: Bartłomiéj zastał starą pannę ciotkę, o któréj mówili że bardzo chora, zdrową jak ryba. Obaj zawiedzeni w nadziéjach, spocząwszy dni kilka, ruszyli z powrotem. Jadam chciał wstąpić do pana Borejki: uprosił go Bartłomiéj że ominęli z dala, równie jak wieś, gdzie pewnie dziedzic więcéj nie malował kaczki z piskorzem. Ale blisko domu, gdy rzęd bogaty przedał Jadam w miasteczku, wstąpili do gospody, popili wódki, a dla ochoty, miodu gąsior kazał stawić Bartłomiéj, powoli go wysuszyli. Jadam rozgrzany kazał stawić drugi, po nim trzeci, a choć Bartłomiéj już spał pod ławą, Jadam pił, a doprawiał sobie *krupniku.* (*) Co nie mógł winem Borejko, to zrobił słodkawy krupnik. Jadam gracz stary, padł na ławę!

(*) Wódka z miodem.

Bartłomiéj wcześniéj zerwał się na nogi otrzeźwiały, poszedł do stajni, i znalazł swego bułanka w całości, ale nie było pięknego konia pana Borejki. Budzi Jadama, cuci: na wiadomość o tém, otrzeźwiał szlachcic, bieży do stajni, i nie znajduje konia! Powstaje krzyk i wrzawa. Prawda, że porąbał stołki i ławy, obciął kawał stołu szablą rozzłoszczony Jadam, ale żyd zamknął się dobrze do komory, a oknem wyskoczywszy, prowadził na pomoc swoję, chmarę chłopstwa z sołtysem na czele.

Nie było co robić, ani w czém wybierać. Wsiedli więc obaj na bułanka, i ruszyli przeciwnémi wroty, aby się z gromadą zbrojnych w cepy i pałki nie spotkać!

* * *

Kiedy wrócili do dom, Jadam chciał swego bułanka odebrać; Bartłomiéj nie dał. Od słów i kłótni, przyszło do procesu. Jadam sprzedał domostwo na proces; Bartłomiéj kawał gruntu i bułanka. Z przyjaciół serdecz-

nych wrogi zacięte: po 20 latach pieniactwa, nim wyrok otrzymali w Trybunale Piotrkowskim, pomarli. Bartłomiéj w zwadzie karczemnéj cięty w głowę, prędko umarł. Jadam przepijając pana Borejkę, i sławnych pijaków, których sprowadził Kasztelan do siebie; nie dopiwszy konwi srebrnéj, upadł i skonał.

Tak zeszło marnie z tego świata, dwóch szlachty bezpotomnie!

PRZYPISY.

(1) Wiadomo że Łęczycanów od dawna *«piskorzami»* nazywają u nas. Cały opis o malowanym szyldzie i ukaraniu dziedzica, jest z prawdziwego zdarzenia.

(2) U nas kobiéty najwięcéj wpływały w ostatnich czasach na zmianę stroju: odmawiały i ręki i serca wąsaczowi żupanowemu, a przyjmowały chętnie perukowych i ze *szpadką* francuzką, miasto karabeli. Nie dziw, że przebieranie u młodego pokolenia krótko trwało!

(3) *Maiż* ptak młody do łowów niewprawny.

(4) Osoba pana Borejki, nie jest zmyśloną. Owoż co nam o nim podał pracowity i zasłużony Ł. Gołębiowski (*Domy i dwory* 1830 *str.* 119). «Borejko Zawichostski Kasztelan, pijał z Duchownémi najwięcéj, rozpisywał listy, prosząc o dwóch Zakonników. Gdy przybyli, ogłaszał u siebie klasztor, do którego wnijście zabronione było. W pokoju sypialnym wszędzie słoma i kobierce, podostatkiem jadła, trunków, i wszystkiego do potrzeby, słudzy z panami zamknięci. Był i dzwonek na mszą, do stołu, i na *silentium*; gdy się już wy-

wracali na słomie. Który mszą miał odprawiać, ten nie pił tylko do 11stéj w nocy; po mszy pili herbatę, wódkę raz i drugi, daléj śniadanie, wino, po obiedzie pijatyka i po wieczerzy. Odmawiano wszakże pacierze kapłańskie, które i Borejko sam odprawiał. *Klauzura* trwała do 3 albo 5 dni, potém rozsełał księży dobrze udarowanych. Gdy nie stało klasztornych osób, wychodził na rozstajne drogi, czekał w kapliczce Sgo Jana Nepomucena z puzderkiem, i wielkim kielichem, a jak tylko nadjechał kto lub naszedł: ksiądz, braciszek lub kwestarz, szlachcic, mieszczanin, chłop, żydek lub dziad po żebraninie; wychodził Borejko z kaplicy, wypytywał się, a tymczasem hajduk nalewał wina, pił kasztelan do przybyłego, ten pił nawzajem, i tak było; póki nie upoił podróżnego. Pilnować go potém kazał, ażeby nie poniósł szkody. Znakomitszych, albo liczniéjszym dworem jadących, zapraszał do siebie, albo tu przynoszono wina, póki wszystkich nie popoił. Wysoki był Borejko, i mężny, stąd urosło przysłowie w Krakowskiém: «*Bodajeś tylego djabła zjadł, jak Pan Borejko.*»

Jak go przepił jeden szlachcic; o tém w podaniu szlachty Łukowskiéj słyszałem.

IX.

GŁONKA,

Ostatni wódz Opryszków

W KARPATACH,

ZR. 1817.

(Obraz z wizerunkiem Opryszka).

Opryszek.

Głos Kukułki, co tyle wróżb szczęśliwych zapowiada, jest hasłem równie dla Hajduków Serbskich (a), jak Opryszków w Karpatach do zbójeckich wypraw. Zazula (b), wywołuje śmiałych Hucułów, co przez zimę utajeni w chatach, przenudzili i przespali śnieżne zamiecie, i wiatry mroźne. Ale niech tylko mchy zielone wychylą głowy, połoniny umai wiosna; góral zarzuca strzelbę na ramię, zaostrza toporek, a naładowawszy

---

(a) Hajduk, — rozbójnik serbski.
(b) Zazula, — kukułka.

dziobeńkę (c) skórzaną, zasiada w pośród skał i wąwozów, czekając zdobyczy pewnéj.

Już imie *Dobosza*, nie straszyło wędrowników w pośród Karpat: pamięć jego w pieśni żyje, i w podaniach ludu. Siedemdziesiąt sześć lat upływało właśnie, od zgonu tak sławnego rozbójnika, a żadne więcéj imię nie zabrzmiało tak szeroce, i pamiętnie. Wkrótce, uderzyć miała godzina zjawiska nowego wodza Opryszków, który swojego imienia postrachem napełni śnieżne Karpaty.

Małemi gromadkami, od roku do roku, wybiegali Hucuły na żniwo Opryszków, ale imiona ich wodzów, w niepamięci zaległy. Tu obdarto trzosowych Ormijan wracających z Węgier, tam napadli na dwór szlachcica, a dzwony cerkwi bijące na gwałt za późno, często przynosiły z gór odgłos trwogi, do spokojnych siedzib ziemian, zamieszkujących doliny nad Prutem.

(c) Dziobeńka, — torba skórzana.

Aż ciche wieści z początku, od jednéj wsi do drugiéj, przyniosły i na doliny imię *Głonki*, imię, — na którego rozgłos, gromady nieliczne, poczęły się łączyć w jednę drużynę, liczną i straszną.

Jak dawniéj na Ukrainie, panowie trzymali zbrojne straże na dworach swoich złożone z Kozaków, przeciw Kozakom; tak w Karpatach szlachta po dworach, trzyma Hucułów Hajduków zbrojnych, przeciw Hucułom Opryszkom. Jak pierwsi, tak i drudzy, na nic wiele zasługiwali ufności, bo przy zdarzonéj sposobności, albo w zmowie będąc, wpuścili do dworu Opryszków, a sami się ukryli; alboli razem z niémi, rozbijali otwarcie.

Głonka, śmiały i odważny Opryszek, już dobrze się zaprawił na granicy tureckiéj w swojém rzemiośle, nim odwiedził Karpaty i rozsiadł się w nich szeroko. Siły olbrzymiéj, łamał szyny żelazne i podkowy, rwał powrozy; a do téj siły łączył odwagę zuchwałą.

Na piérwsze wieści o nim, obwarowano lepiéj dwory wiosek w Karpatach. Hajducy zbrojni strzegli je w noc i dzień; strach przecież przerywał pokój snu miłego, niejednemu ze szlachty, choć spał w obronnym domu, i pod strażą hajduków.

W jednéj z wiosek większych w Karpatach bliżéj Bukowiny, zamieszkiwał *Sieciech*. Już w kilku wyprawach wytępił nie mało Opryszków. Gdy zasłyszał o *Głonce*, wkrótce wytropiwszy tego zwiérza w kniéi, z drużyną swoją, śmiało uderzył niespodzianie. Krótki był opór, schwytano dwóch z bandy, ale z resztą Głonka uciekł. Brańcy na trzeci dzień wisieli, a wódz Opryszków wściekał się, patrząc z poblizkiéj skały ukryty, na śmierć dwóch towarzyszów swoich. W téj wyprawie oprócz pojmanych w zdobyczy, dostał Sieciech pistolet turecki bogato nabijany srebrem: była to własność i pamiątka Głonki z dawnych wypraw nad granicą turecką, a co więcéj go cennym czyniło; że na

nim, nowo przybyli do bandy, najświętszą składali przysięgę.

W kilka dni przeto, odebrał Siecieeh list od Głonki, w którym żądał zwrotu pistoletu, ażeby był odesłany w miejsce przez niego oznaczone, w przeciwnym razie groził srogą zemstą.

Siecieeh znał dobrze, że potrafi dotrzymać słowa. Rozkazuje przeto w téj wsi zamieszkałego przywołać rodzonego brata Głonki, zapowiadając mu: że jeżeli mu nie odkryje, gdzie się brat Opryszek ukrywa; mścić się nad nim i całą jego nie omieszka rodziną.

Wystraszony Huculi, donosi wkrótce, że Głonka w poblizkim lesie na górze przebywa. Siecieeh rad téj wiadomości, przemyśliwał nad sposobami do pochwycenia lub ubicia Opryszka. Próżno dumał, bo trzeba było zrobić nagłą i cichą wyprawę, napaść niespodzianie. Ale Głonka nigdy nie zaspał, miał oko sokole, a słuch zajęczy, chytrość lisa, a siłę niedźwiedzia.

Wieczór się zbliża, gdy staje przed nim dwóch młodych domowych Hajduków z oświadczeniem, że Głonkę zabiją, lub żywcem dostawią. Siecioch przyrzeka im dobrą nagrodę i wskazuje miejsce, gdzie ukryty przebywa.

Z wieczornym mrokiem, puścili się młodzi łowcy na zbyt niepewne polowanie, wyostrzone dobrze toporki za pasem, i loftkami nabijane sztucce, nie były dostatecznémi; bo do nich trzeba śmiałego serca, i mocnéj a pewnéj ręki.

W pośród gęstego lasu, w tajnéj uboczy góry, słabo tlało ognisko Głonki. Sztucice dwururny gwintowany, dwie pary pistoletów, topor i nóż, składały jego uzbrojenie, szeroką *bundą* okrywał ramiona, a z szerokiémi skrzydłami kapelusz, ze sznurkiem dukatów lśniących; przyciemniał oblicze duże, groźne, z wydatnémi rysami.

Choć szli pod wiatr ostrożnie, z dala ich poczuło ucho Głonki, dwa razy kładł się na ziemi, i po cichym odgłosie niejednako-

wym, rozpoznał zbliżanie się nie jednego człowieka. Ustąpił w cień przeto, kilka kroków za ognisko, i wymierzył ku téj stronie strzelbę, gdzie już wyraźnie słyszał stąpających na przód.

Dał hasło znajome swoim, lecz gdy nie odebrał odpowiedzi, odwiódł dwa kurki, odrzucił w tył bundę, by mu nie zawadzała, jeżeli przyjdzie użyć pistoletów, topora lub noża.

I zaraz przed ogniskiem ukazali się dwaj młodzi hajducy, w spokojnéj postawie, ze sztuccami na ramieniu, i toporkami za pasem.

—Chwalem Pana.

Na wieki! odrzekł Głonka i broń opuścił, ujrzawszy dwóch jeno młodych wysmukłych swego rodu chłopców. Pociągnął wzrokiem kilka razy po nich i zaraz ocenił ich siłę, a widać że ufał i swojéj, bo piérwszy zbliżył się do nich.

W krótkich słowach opowiedzieli mu, że uciekli z dworu Sieciecha, i przybyli pod jego dowództwo. Z uśmiéchem radości, po-

witał nowych towarzyszów, podał dłoń żylastą i szorstką, a przyrzuciwszy kilka gałęzi suszu, przy pierwszém poznaniu uczęstował wódką.

W przyjacielskiéj rozmowie uwiadomił hajduków, że sam tylko tu bawi, bo swoich chłopców wysłał na różne manowce. Rozochocony sporą miarą wódki, zawołał głośno:

—Nu! moje chłopcy! postawcie strzelby na bok, musimy się sprobować, mam zwyczaj taki, że doświadczam każdego siły, abym wiedział co może na każdy przypadek.

Iwan starszy, stanął, wyprostował się, i czekał na Głonkę. Ten go przez w pół pochwycił, ścisnął tak mocno, że młodemu hajdukowi oczy wyszły na wierzch, a ręce opuścił; podniósł go przeto w górę, i rzucił na murawę daleko, a Iwan rozbity, zaledwie się zdołał podnieść.

Pyłyp młodszy, niższy, ale więcéj krępy; plunął w obie garście, piérwszy przyskoczył do Głonki, w poły uchwycił, i uniósł go w górę nieco. Opryszek nie mając na czém

nóg oprzéć, utracił wiele siły swojéj, i długo nie mógł przełamać Pyłypa, aż gdy w szamotaniu, dostał jedną nogą grubego pnia po ściętym buku, zatrząsł niedźwiedzią łapą Pyłypem, i nie długo na ziemię obalił.

Uradowany z tego zwycięztwa, zaczął z większém uszanowaniem obchodzić się z Pyłypem, nazywając Iwana dzieckiem, co siły nie ma tyle, co w dziesiątym roku każdy hucuł, gdy się najé chociażby saméj mamałygi.

Rad przecięż, że w miejsce dwóch pochwyconych przez Siecicha, nowémi towarzyszami, brak zapełni, częstował na nowo przybyłych wódką ze sporéj flaszy, i pieczoną na węglach kukurydzą.

Gdy się nieco z zmordowania wysapał, i z trudu odpoczął, pewniéjszy i mniéj dbały na hajduków, poznawszy ich siłę; dobył z dziobeńki fasolę, zdjął kapelusz i począł rzucając na niego ziarna, wróżyć zwyczajem tureckim.

Po kilku chwilach, rzekł niedbale: »dziś z nas jeden zginie.«

Zadrżeli hajducy, spojrzeli po sobie, i już chcieli się rzucić na kolana, wyznając wszystko w przekonaniu, że wié o ich zamiarach; kiedy znużony Opryszek zaczął drzémać. Gdyby nie to, przed bystrém okiem, nie uszłoby bojaźliwe ich poruszenie, ni zbladłe oblicza z przestrachu.

Głonka pił za dużo, już dwie noce czuwał, zmordował się téż nieco, łamiąc się z młodémi hajdukami; powstał przeto, i o kilka kroków odsunięty od ogniska, usiadł pod bukiem, a kazawszy przykładać suszu, by nie zagasło, trzymając w ręku strzelbę, nasunął kapelusz na oczy, zwiesił głowę, i usnął.

Uderzyła więc godzina jego. Kruk w przelocie zakrakał, jakby poczuł świéże ściérwo.

Hajducy szepnąwszy słów kilka na ucho, z cicha powstali.

Chrapał pod drzewem Opryszek z nachyloną głową, ręka ociężała nie tak rychło broń pochwyci: z toporkami więc uderzyć i zabić.

Ale w cieniu dobyte toporki, znowu zatknęli zapasy, bo poznali jego siłę, ręka nie zawsze pewna, piérwsze uderzenie powinno go zabić, inaczéj sami zginąć mogą. Stoją za smagłym świérkiem, nagle razem podnoszą strzelby, krótkie lufy mierzą prosto w zbrojne piersi Opryszka. Dwa strzały, odbiło echo blizkiéj góry, i nie chybiły: pięć loftek ugodziło dobrze w piersi. Głonka zbudzony hukiem, uczuł razem postrzał, zaledwie przetarł oczy i odrzucił kapelusz jedném poruszeniem ręki, ujrzał dym jeszcze w małym obłoku, zawieszony przy świérku, za którym wystraszeni, nieporuszeni stali hajducy. Porywa się na nogi, staje, mierzy w ten cel, a kula utkwiła w pniu drzewa; ale krew z ran pięciu tryskała obficie, zamgliła mu wzrok, z osłabionych ręku wypuszcza sztuciec, przyklęka na jedno kolano, pochyla głowę niżéj, jakby wydając ją na ciosy zabójców.

Dopiéro gdy w tak ukorzonéj postawie ujrzeli hajducy *Głonkę*, wyskakują jelenim skokiem z za drzewa, w ręku błyszczą ostre

toporki. Opryszek wsparł się na lewym ręku, prawą unosił w górę, w pięść ścisnął i zasłonił głowę, a podnosząc ociężałe oczy, ujrzał stojącego nad sobą Iwana!

Cichszym, ale wyraźnym głosem wtedy zawołał, a hajducy z wyniesionémi toporkami, słuchali przerażeni słów jego.

—»Przeklinam was! przeklinam! żeby was kruki i wrony poszarpały, a ciało pogrzebu nie miało: przeklinam was poganie! zginiecie obaj marnie, krew wasza będzie płynęła jak moja, a nikt wam oczu nie zamknie! przeklinam.«

Gdy Pyłyp, nie chcąc słuchać okropnego przekleństwa uderza, za nim Iwan,—zabełkotał niewyraźnémi słowami, i padł bez życia. Wtedy co rychléj hajducy zabrawszy Głonki broń i kapelusz, porwali za nogi, a ciągnąc z pośpiechem po lesie, zsunęli się górą z trupem. Księżyc widno przyświécał, gdy wrócili do dworu Sieciecha łowcy, z uszczwaną zwierzyną, otrzymali przyrzeczoną nagrodę, oddając za nię zwłoki skrwawione.

Tak zginął ostatni wódz Opryszków w Karpatach.

Przekleństwo przecież jego, jako Hucuły opowiadają, nie przewiało z wiatrem.

Zgryzotami sumienia dręczeni obaj hajducy, uciekli w góry, i do pozostałéj bandy Głonki na prawdę przystali.

Iwan, we cztéry niedziele schwytany, w tém samém miéjscu, gdzie poległ wódz dawny, wkrótce na szubienicy skończył.

Pyłyp, dłużéj bujał. Siłą i odwagą począł réj wodzić pomiędzy swémi. Dowiedziawszy się o ciągnącéj drużynie Ormijan, ufając w ich bojaźliwość, stanął na ciasnym przesmyku, gdzie jeden zatrzymany, zatrzymuje wszystkich, i wymierzywszy strzelbę,— zażądał od piérwszego trzosa.

Ormijanin spojrzał po skałach, nie było więcéj Opryszków, przecież zaczął trzos odwięzywać. Pyłyp zbliża się, zarzuciwszy strzelbę na ramię, z toporkiem w ręku po zdobycz bogatą; gdy napadnięty, miasto trzosa, dobywa szybko noża z kieszeni, i jedném

ugodzeniem w żywot, wypuszcza z niego trzewa. Padł zuchwały Pyłyp i wkrótce skonał.

Od śmierci Głonki, już żadne imię nie straszy podróżnych. Rozstawione liczne *czerdaki* (*), a w nich straż z żołnierzy, przerznięte góry, murowanemi gościńcami,— wypędziły z Karpat Opryszków, których pamięć teraz przechowują pieśni tylko i podania.

Podania liczne o Opryszkach jeszcze są świéże; nie długo, bo czas prędko uchodzi, a będą starsze w lata; wiele z nich przebrzmi bez pamięci, a sama nazwa tych synów skał i śniégów, mieszkańców lasów bukowych, i ciemnych świérków, przepłynie z téj ziemi po falach Prutu, i zaledwo może, w jakim słowniku, zachowana zostanie.

(*) *Czerdak*: tak się nazywa domek wystawiony w górach przy drodze murowanéj, gdzie przemieszkuje straż wojskowa. Przy każdym czerdaku stoi wysoki drąg, słomą okręcony, zawsze widzialny z drugiego, który zapalony, daje hasło o Opryszkach.

X.

CHŁOPCY.

STARA GAWĘDA

Z XVII WIEKU

Z RODZINNEGO PODANIA.

I.

Na wyniosłém wzgórzu, nad brzegami Narwi, wznosił się dwór drewniany, z mocnego budowany dębu. Był on zwyczajnego kształtu, jak wszystkie dwory zamożnéj naszéj szlachty, zewnątrz bez wytworu, wewnątrz dopiéro zasłany drogiémi makatami, kobiercami i rzeźbą. Słusznie wyrzekł jeden z Nuncyjuszów Papiezkich, nazywając takie dwory »*stosem drew suchych*«, do których zawsze z obawą wstępował cudzoziemiec, a krajowcy wesoło w nich żyli. (*) Prowadzi-

(*) *Malaspina*, Włoch, Bolończyk, przybywszy do dworu pana jednego, a widząc gmach pięknie zbudowany, powiedział: «że nigdy nie widział

ła do niego droga szeroka, wysadzana po obu stronach cienistemi lipami. Za dworem bieliły się na wiosnę kwiatem jabłonie, stare grusze i sławne węgierskie śliwy: a w jesieni, uginały rosochate konary, pod ciężarem smacznych owoców. Sad ten nie wiele miał ozdób. Szpaler strzyżony lipowy, użyczał chłodu w skwar słoneczny, a kilka kwadratów wysadzanych bukszpanem, i zasianych kwiatem, były całém upiększeniem małego pod oknami tarasu. Bukszpan ten, nie tylko do ozdoby służył: gdy przyszła Wielkanoc, nie mało go narwano, by umaić babki, mazurki, dróbʼ tłusty, słowem całe święcone.

Jeżeli nie był dwór ten, ani ogród wielce zajmujący, za to we środku wiele zawie-

---

piękniej drew ułożonych.» Gdy zaś po wieczerzy, z wielą świéc lanych, do tegoż domu był przyprowadzony, nie chciał wnijść w ono mieszkanie, i ze świécami tam chodzić nie kazał, powiadając: że między taką kupą drew i tak suchych, niebezpieczno z ogniem.» (*Co nowego albo dwór Maurycyusza Trzlyptyckiego*, — broszura z XVI wieku.)

rał obszernych komnat, a ozdobnych nie mało. Z dużego ganku, wielkie drzwi prowadziły do rozległéj gościnnéj izby: nad niémi wznosił się chórek, mogący do dwudziestu grajków pomieścić; szerokie i wysokie ściany, okrywał adamaszek ponsowy, w srebrne kwiaty, których blasku i świéżości dziesiątek lat nie zepsuł, na środku stał stół dębowy, z tak grubemi nogami; żeby się nie ugiął pod rycerzem w całéj zbroi, choćby na niego z koniem zbrojnym skakał. Bogaty kobierzec perski okrywał go nie zupełnie, bo ozdobną po bokach rzeźbę, i grube nogi z mosiężnemi floresami, dostrzegł każdy wchodzący. Cztéry ławy długie, skórą czarną obite, a na to okryte adamaszkiem ponsowym i kilka krzeseł, w którychby ze trzy osoby naszego pokolenia wygodnie zasiadły; kończyły sprzęty téj izby. Do ozdób należy policzyć we środku zawieszony, u modrzewiowéj belki, wielki pająk, w którym sto świéc jarzących blask rzucało, czy za zjazdem wrzaskliwego kuligu, czy w czasie imie-

nin lub urodzin pana i pani domu, lub którego z dzieci, a miał ich pan domu nie mało, bo siedmioro żyjących, a drugie tyle w grobie swych przodków pochował.

Do izby gościnnéj, przytykały dwie komnaty obszerne, równie bogato na ścianach, a adamaszkiem żółtym i niebieskim w kwiaty przybrane, za témi ciągnął się rzęd izb, sypialni z nyszami i alkówek, w których mieścił się pan Adam (tak go zwyczajnie sąsiedzi nazywali), jego małżonka, sześciu dorostków synów, z których najmłodszy 29 lat liczył, i córka w dwudziestym roku, któréj obecnie wyprawiano wesele z całym przepychem i zwyczajami, jakich już dzisiaj nikt nie zobaczy, i dzisiejsze pokolenie nie zna nawet, jakto niegdyś ich babka zabierała się do tego stanu.

Już było po ślubie i obfitym obiedzie, sto świéc z żółtego wosku rozléwało światło z pająka na izbę gościnną, gdzie zebrano już ze stołu, w podkowę zastawionego. Dwudziestu grajków odświéżało gardło na chórku, a

gospodarz siwy, z puharem w ręku, otoczony męzkiém pokoleniem, zachęcał do spełniania wiwatu, i pomagał ochoczym gościom pieśń dawną nucić:

Kiedy się nam pora zdarza,
I taka doba;
Pijmy zdrowie gospodarza,
Co się podoba.

Pijmy zdrowie gospodarza,
Choćby do rana;
Mości panie bracie szlachcic
W ręce Wacpana!

Kapela (jak nazywano grajków), wtórowała pieśni, i wystrzały ze szwedzkiej szmigownicy długiéj, a żelaznéj, co stara i zardzewiała leżała na spróchniałych lawetach, przy bramie z herbem pana Adama. Do téj pieśni, dodawały niekiedy z cicha głosu poważne matrony, siedząc na adamaszkowych ławach obok cór nadobnych. (*)

(*) Gdy chciano gęste po obiedzie przerwać kielichy, śpiew ulubiony zaczynały niewiasty;

Nie brakło jadła i węgrzyna nawet, wszystkiego był dostatek: a jednak, wśród ochoty i gęstych puharów, z litością spoglądali sąsiedzi na sześciu dorosłych synów pana Adama, którzy w przetartych kapotach patrzeli na skinienia ojca, podając mu, to kielichy, to gąsior z węgrzynem; nawet wśród pijatyki tak powszechnéj dawniéj, synowie, gdy ojciec podchmielony raczył pić do którego: do *Waci Janie* i *Stanisławie!* do *Waci panie Józefie!* do *Waci smyku Malcherze!* tak bowiem najmłodszego nazywał, w ów czas dopiéro każdy z wymienionych podnosił się i wychylał nalany puhar.

Dziwiło to najwięcéj tych gości, którzy raz piérwszy dwór pana Adama odwiedzili; sąsiedzi bowiem okoliczni i przyjaciele tego domu wiedzieli, z jakiém sknérstwem wycho-

---

w ten czas i mężczyzni rozmarzeni, jak mówi Miaskowski (*Zbiór rytmów 1622 r.*)

«*Powtarzają słowa,*
«*Które śpiéwa powoli, gładka białogłowa*»

wuje synów, chociaż na kupno beczek węgrzyna nie żałował nigdy, i zawsze gościa przyjął dostatnie i ochoczo.

Nigdy więcéj żadnemu nie sprawił nad jednę kapotę roczną; a kaftan łosi musiał sześć lat jednemu służyć, nim się nowego doczekał, a stary na czeladź oddawał.

Gdy sprawiał któremu nowy kaftan, zawsze mówił: »Wać pamiętaj, że to ubior nie lada; mój dziad a wasz pradziad, będąc dworzaninem, otrzymał to za barwę, (*) i za prawdę wygodna szata, bo choć co i z wąsa spadnie, łatwiéj plamę wywabić, niż z teraźniéjszych sukien włoskich i owego *per cento* (**),

(*) *«Pomnę ja w Polsce gdy barwę dawano:*
Żupany, łosie, a długo ich miano.
Bo choć nań z wąsa co takiego spadnie;
Przecież to z skóry, może wytrzéć snadnie.»
(Biesiady rozkoszne Baltyzera z Kaliskiego powiatu 1684 r. in 4to).

(**) Marcin Bielski, zasłużony kronikarz, w pomacie osobliwéj rzadkości pod napisem: *Rozmowa nowych proroków, dwu baranów o jednéj*

co bez wstydu w oczach, już teraz i szlachcic na jednéj zagrodzie do swego stroju używa « Masz Waé nowy kaftan, a jak plama, to wiesz co cię czeka, z wszelką estymą dla krwi tak zacnéj, na kobiercu plag pięćdziesiąt.«

A po takiéj przemowie synek najstarszy, w 36 roku z ogromnym sitarskim wąsem, i pięciu braciszków zarosłych, z uniżonym pokłonem, odbierali od ojca podarki w szatach w dzień nowego roku. Ileż było obawy i i trwogi, gdy który splamił kapotę albo kaftan (w którym chodzili kiedy gości nie było, a kapotę na święto zachowywali), już się nie prędko przed obliczem groźnego ojca

---

głowie, w Krakowie 1587 roku in 4to, narzekając za swoich czasów na wielki wpływ Włochów i ich ździerstwo, wspomina owe sukno *per cento*.

«Falendyszem przezwali (Włochy) włoskie sukno drogie,
Aby chytrze szaleli, Polaki ubogie.
Dla Prałatów per cento *drugie sukno zowie,*
Aby tak wyłudzali pieniądze Włochowie.»

ukazał; siedział dopóty na folwarku, dopóki staraniem połączoném szafarki i starego kredencerza, plamy nie wywabiono.

III.

Pod władzą surowego starca, jedyną ich było rozrywką łowy. Rzadko z nich który odwiedzał sąsiadów, bo wstydził się lichego ubioru, a nie miał za co lepszego sprawić. Szkatuła przecież pełna złota, a kufer z workami niemal z każdego roku nowo wybitych talarów, spoczywały w apteczce obok sypialni pana Adama.

Apteczka ta, była to kwadratowa izba o jedném oknie, z mocnémi żelaznémi kratami, a bez pieca. Chłód ten był potrzebny dla dużéj szafy, w któréj konfitury, powidła, pierniki, śliwki suszone na drewienkach, gruszki nadziewane, suszone jabłka, w niemałych były ustawione słojach. Wyższe pułki

zajmowały rozmaitego gatunku wódki, ratafije i likwory; w najniższych stały małe słoiki z lekarstwami domowémi; było tam sadło zajęcze i borsucze, tłustości z królików i bocianów, psie, niedźwiedzie, wilcze i lisie, wody marcowe i ze śniegu, dryjakwie z wszelkich gadów, octy rozmaite, wyciski z ziół różnych, powidła bzowe i ziółka, jakich w on czas na wszelkie słabości używano. W worku ze skóry łosiéj, troskliwie zachowany był kawał z czoła żubrzego skóry, ów *inkluz* dla ciężarnych kobiét, i zawieszony między dwoma jeleniémi rogami, które przybito na środku wielkiéj szafy. Słowem, była to jedna z onych starożytnych apteczek, które nam żyjący opisuje poeta. (*)

»*Na lewém skrzydle pokój pobielany,*
Mniéjszych i większych szafek szereg długi:

(*) Jest to wyjątek z powieści w rękopiśmie pod napisem: «*Obrona Trembowli*» znanego zaszczytnie Alexandra Dunina Hr. Borkowskiego, którego małe próby czytała publiczność nasza w *Haliczaninie* i *Ziewonii*.

Rzędem przybite tarcice do ściany,
Pułki, szuflady, szkatułki, framugi.
W szafkach lekarstwa, i maście i zioła,
I gdańska wódka, toruńskie pierniki;
A wszystek zarząd, cały ład do koła,
Porządkiem lwowskiéj stawiany apteki!«

Pan Adam często odwiedzał tę apteczkę, i sięgał ręką najwyżéj, opuszczając łakotki i sadełka sławne na wiele chorób, a sięgał jedynie po gdańską wódkę, w któréj złotopłatami pływało. Co ranek odwiedziny te odnawiał, a gdy po wychyleniu nie małéj miarki, splunął i wąs siwy otarł, przyglądał się z równą troskliwością niby żółw na swoje jaja, czy szkatuła nieporuszona i kufer w całości. I jakby nie dowierzając osłabionym oczom, poruszał wieka czy zamki mocno trzymają.

Na święty Jan, na święty Marcin, i po Bożém Narodzeniu, dłużéj w apteczce bawił. Wtedy to zamykał się na całe po obiedzie, i zebrany dochód za czynsz i zboże,

w złocie i srebrze, dokładał do szkatuły i do kufra. Stary Jakób, pachołek, przynosił wody na miédnicę, a Jegomość, myjąc ręce ubrudzone liczeniem pieniędzy, żartował wesoło z dawnym sługą, i przypominał figle młodości. Zawsze potém pachołek w swojéj izbie, gdzie paniczowie na gawędę schodzili się często, mówił: »Jegomość o starych figlach tak dobrze pamięta, jak o swoich workach, które, by dusze zaklęte, na uwięzi trzyma.« A paniczowie spoglądali po sobie, ustawał gwar wesoły, i każdy westchnął tajemnie.

Jegomość stary (jak cały dwór nazywał pana Adama), po odwiedzeniu apteczki i spełnieniu swojéj miarki, szedł do Imości staréj, powiédzieć swojéj dziéweczce (jak wyrażał), *dzień dobry;* po czém wychodził do kancellaryi, gdzie pańszczyznę zapisywał. Tam syn jeden po drugim przychodził, a całując go w rękę, odbierał na cały dzień dyspozycyje!»Idź Wać do gorzelni pilnować«— »Wać do stodoły«— ten w pole, ów na dru-

gi folwark. Gdy gości się spodziewano, w ów czas Jegomość do synów mówił: »No! moje chłopcy, trzeba się postarać o zwierzynę.« I wtedy to był dla tych chłopców dzień swobody i uciechy.

Od niejakiego czasu, wszyscy synowie osowieli. Stary Jegomość przy słabych oczach, nie zważał na to, ale bacznego oka matki, nie uszedł smętek paniczów (jak nazywała). Stary pachołek częściéj wzdychał, i nie raz mówił: »Mój Boże! wypiastowałci człowiek żwawych chłopców, ale cóż na tym mają robić świécie? Dojrzali w latach, a nie mogą myśléć, ani o swéj grzędzie, ani o postanowieniu, (tym wyrazem oznaczał małżeństwo). Jegomość stary uwędzi paniczów; ni to mają uciechy, ni zabawy kiedy.« Na te wyrazy synowie starego Jegomości wzdychali, a pachołek uważał, że częściéj bez zapytania nawet ojca, odjeżdżali do knieci.

Ciche wieści z początku, zaczęły coraz większéj nabiérać pewności, że banda rozbójników pokazała się w lasach poblizkich.

Lecz chociaż o tém każdy głosił, nikt przecież nie doznał żadnego napadu. Jegomość stary, ufając swojéj odwadze i sile z lat młodszych, polegając na sześciu dorostkach pod wąsem, mało dbał o rozbójników, zachowywał wszakże tę ostrożność, że klucz od drzwi głównych w sieni brał do siebie, a okiennice w sypialni, kazał mocno po zachodzie słońca przyśrubowywać.

Cztéry brytany ogromne, co noc spuszczano z łańcuchów, a do tych mięszało się dwadzieścia psów rozmaitego gatunku: gończe, charty, legawce, taksy i kundle, tak zaopatrzony zewnątrz w stróżach czworonożnych, ufając w drzwi z mocnego modrzewia, i okiennice dębowe, zasypiał smaczno; a gdy niespokojna myśl zbudziła go wcześniéj, szedł do apteczki, wychylał swoję miarkę, a spoglądając na kufer i szkatułę, mruczał pod nosem.

»Do djaska! nie źleby się obłowili!« Wspomnienie to marszczyło mu czoło, z niepokojem spoglądał przez kraty, gdzie nie by-

ło okiennicy na podwórze, i pocieszał się zaraz.

»Niech się szklanką wody upiję, ze sromem swojego imienia (mówił wtedy), jeżelibym piérwszemu nie skręcił karku; a moje chłopcy pomogą staremu tych hultajów odstraszyć, i nauczą gwizdać po kościele.«

III.

Nadchodziły *Zielone-Świątki;* porozsełano czeladź do lasu po gałęzie do majenia i na staw szeroki po tatarak, do wysypania podłogi w całym dworze i folwarku. Pan Adam, powiedziawszy dobra-noc swojéj małżonce, poszedł do sypialni; a gdy go stary pachołek rozbiérał, wielce się dziwił, że żadnego panicza w domu nie ma. »Do djaska! zawołał z gniewem, chłopięta zaczynają brykać, ale ja ich nauczę stępo chodzić.«

—»Oj! już ci też nasze panicze coś więcéj jak pacholęta; każdy pod dobrym wąsem;

czasby to przecie postanowić. Wiele w okolicy hożych szlacheckich dziéwek, a Jegomość wędzi paniczów by półgąski.

—»Co! co stary ty gadasz?« wyrzekł z uniesieniem, lecz zaraz się udobruchał.« Masz racyją stary Jakóbie; najstarszy mógłby się ożenić; jutro zaraz pojadę w swaty do Pana Cześnika albo Podstolego, a ty rano sprowadź z miasta żyda krawca, niech mu kapotę skroi i uszyje.«

Uradowany Jakób odszedł do swojéj izby, ale nie otworzył drzwi jeszcze, gdy w sieni usłyszał wrzawę i szczekanie psów wszystkich. Natychmiast zamknął co rychléj drzwi duże, i pobiegł do Jegomości.

»Co to jest? co to jest?« pytał niespokojnie starzec, »gdzie moje chłopcy?«

—»Paniczów nie ma, a zdaje się, że to są hultaje: musieli dowiedzieć się, że wszystko rozjechało się z dworu, to śmieléj napadają.«

Pan Adam zdjął koszulę drucianą z kółka, co wisiała nad łóżkiem; kazał podać sobie krótką dzidę; pachołek dobył myśliw-

skiego kordelasa z pochwy, i obaj starcy stanęli przy wchodzie komnaty, by zuchwałym rozbójnikom stawić opór. Sokół na berle siedzący, przy łożu pana Adama, najeżył pióra i otworzył błyszczące oczy. Nie długo czekali. Łoskot siekiery trwał krótko; wyruszone drzwi sienne z zawias, upadły z łoskotem, i ukazało się zaraz kilku rozbójników. Ale ich twarzy nikt nie poznał, bo je maski okrywały; i wpadli razem do sypialni, gdzie dwaj starcy, dalecy bojaźni, gotowali się stawić im opór. Lecz cios silny dzidy pana Adama, strącił piérwszy hultaj, a pachołka rozbrojono. Obaj starcy spoglądali na siebie z podziwieniem, nie doznając żadnéj krzywdy. Ale wkrótce Pan Adam ją uczuł, gdy zobaczył, że prosto do apteczki idą, zabierają szkatułę, i wynoszą kufer.

»Łotry! zbójcy!« wykrzyknął, drżąc z uniesienia: rumieniec mocny ożywił twarz bladą i zmarszczoną, chwytał co chwila żylastą dłonią za bok lewy, jakby chciał szablę ująć;

a gniéw trzęsąc nim całym, nie dozwalał mu wszystkich przekleństw wymiotać.

»I właśnie w tę dobę (dodał pachołek), gdy Jegomość najstarszemu synowi chce nową kapotę sprawić, bo ma go żenić.«

Zbójcy przecież mało na to baczyli. Parę worów z talarami dobyli z kufra i złożyli na stole; porwał z nich jeden pan Adam, jak jastrząb kuropatwę, a drugi schował pod kurtę pachołek; resztę do zaprzężonego wozu zapakowali i odjechali spokojnie.

Jegomość krzyczał i przeklinał, Jejmość płakała, a stary Jakób załamywał ręce. Piérwszy dzień Zielonych-Świątek był bardzo smutny; albowiem i synowie nie pokazali się w domu ojca.

Księżyc przyświécał w pełni; rosa w błyszczących kroplach okryła łąki i zielone pola, gdy wóz siedmią zbrojnemi otoczony zbójcami, toczył się prędko po piaskowéj drodze. Żaden z tych łotrów nie wyrzekł słowa; biegli chyżo, bez spoczynku, trzy całe mile. Już zhasali dobrze konie, gdy ten co

jechał na przodzie, jakby obawiał się rozbudzić echo, rzekł z cicha: »Teraz w prawo! w téj gąszczy gdzie dzik się tarza i niedźwiedź jeno lega, możemy bezpiecznie odpocząć.«

I cała czereda w głębi ciemnéj puszczy zniknęła.

Wśród małéj polanki stanął cały orszak. Naniecono niewielki ogień. Każdy z łotrów dobył z torby bursuczéj flaszę, łyknął haust spory, a gdy koniom podsypali owsa, sami zasilali głodne żołądki półgęskiem, szynką i wędzoną słoniną.

Na znak dany przez jednego z nich, którego wzrost wyższy i wąs sitarski czarny odznaczał, pięciu powstało, zbliżyli się do niego i otoczyli wieńcem ładowną brykę. Siódmy jakby nie należał do łupu, odszedł z wolna i stanął na czatach po nad piaskową drogą.

»Moi bracia!» rzekł z czarnym wąsem zbójca:« wedle umowy i prawa podzielmy się równo: potém każdy z nas w osobny powiat

pojedzie. Nie zapominajmy i o swojém Grześku, który nam tyle dopomógł.«

I po téj przemowie, dobywając worek po worku, talary i złoto w równéj podzielił części; a gdy podział skończył, zdjął czapkę, wrzucił w nię garść talarów najprzód, za tym przykładem poszli i jego jak nazywał bracia i niemal całą czapkę wypełnili!

»Grześko!« wtedy zawołał, a stojący na czatach wrócił do bryki.

Oto masz od nas tymczasem, a gdy Bóg poszczęści i polepszym swoję dolę, będziemy hojniéjsi.«

I wysypał mu w połę siwéj kapoty talary z czapki, a Grześko nizko się skłonił. Wtedy dosiadł konia, a za nim i pięciu innych; każdy podał Grześkowi rękę na znak pożegnania, i ruszyli dobrym kłusem. Grześko pozostawszy z próżną bryką, w trzos wsypał darowane talary, wsiadł na kozieł, a nie zwracając się na drogę, którą przybyli z łupieżą, na inną wyjechał i galopem popędził. Był to leśniczy pana Adama.

Jegomość stary, napróżno w piérwsze święto i drugie, oczekiwał na swoich chłopców,— zginęli, by kamień w wodzie. Wieść wkrótce obiegła całą okolicę, i o tym napadzie i łupieztwie. Każdy szlachcic zadrżał na tę wiadomość, w obawie o swój dostatek; podwojono baczność w każdym dworze, i przygotowano się do odparcia zuchwałych łotrów.

Jakób, stary pachołek, który próżny stawiał opór zbójcom; równo ze świtem, nikomu i słowa nie rzekłszy, wsiadł na stępaka i puścił się śladem, widomym na piasku, za łotrami. Jak pies gończy ślad ten wietrzył, wykręcał się to po polach zasianych, to po ugorach, to łąkami, równie jak zbójcy prowadzili zdobycz, i tak bacznie śledził, że dostał się do gąszczu i trafił na niezgasłe ognisko.

Tu więc (pomyślał sobie), te pogany spoczywali!

Zsiadł z konia i zaczął troskliwie szukać śladów, ale przezorność starego łowcy tu się

omyliła, w przeciwnych bowiem kierunkach znalazł ślad koni i wozu.

»Trafił biés na pogana!« spluwając wykrzyknął, »szukaj teraz wiadra w polu!«

Gdy w tém koń najeżył uszy, zaczyna parskać, w reszcie wystraszony zerwał cugle, i jak wiatr poskoczył, a stary pachołek z niemałym przestrachem zobaczył ogromnego niedźwiedzia. Lecz nie raz spotykał się z nim w młodych jeszcze latach; wiedział, że upaść i dech zatrzymać, jest jedyny ratunek, wszakże nie chciał narażać żeber na pogłaskanie łapy niedźwiedziéj, ani żeby mu *Bat'ko* nagadał w ucho (*), przygotował

(*) Rusey myśliwi, niedźwiedzia zwykle *Bat'kiem* nazywają, a gdy nie jednego z nich zwierzę to dobrze naznaczy i wygniecie, na przeprawę takową, używają właściwego wyrażenia: że «*Bat'ko wysłuchał go spowiedzi*,» lub, «*że mu nagadał w ucho*.» Albowiem niedźwiedź, napadłszy bezbronnego strzelca, gdy ten całe ocalenie w zatrzymaniu oddechu, i udaniu wytrzymałém nieżywego znajduje; ciągle gniécie, bije, a przy-

strzelbę, którą loftkami nabił, i bez niéj nie wyjeżdżał z domu; poleciwszy więc duszę Bogu, stanął za bajrakiem i wziął na cel.

Ale niedźwiédź nierozdrażniony, przeszedł mimo spokojnie, obejrzał się kilka razy, i znikł w gąszczu, a pachołek o mil trzy od dworu, zaprzestawszy dalszego śledzenia, smutny i zmęczony, powrócił pieszo w nocy do domu.

Tym czasem jeźdzcy, każdy z dobrze naładowanym trzosem, pędzili drogą: a gdy ujrzeli wieże kościołów Lublina, zatrzymali się w gaju. Zsiedli z koni, wytchnęli z godzinę, po czém w milczeniu jeden drugiemu rzucił się w objęcia, i rozjechali się różnémi drogami.

IV.

Upłynęło lat sześć od owego czasu. Pan Adam codziennie odwiédzał apteczkę, wy-

---

kłada ucho do twarzy człowieka, dla pewności, czy żyje. Biada myśliwemu, gdyby się oddechem lub westchnieniem zdradził.

chylał miarkę złotéj wódki (*),i z nazwyczajenia, spoglądał na próżne kąty, gdzie stał kufer i szkatuła. Wspomnienie tych starych przyjaciół, wydobywało mu nie jedno ciężkie westchnienie, i nie jednę łzę z oczu pod siwémi brwiami. A jednakże, gdy go rozbiérał Jakób, starzec częściéj syny swoje wspominał, niż złoto i talary, do których tak był przywiązany.

»Stary Jakóbie!« nie raz mówił, a gdzie moje chłopcy? czy powrócili z knieí?«

Jakób odwracał smutne oblicze, aby łzy nie pokazał, a starzec upadał na łoże z boleścią, i zakrywał zmarszczonémi rękami, twarz bladą i wychudzoną.

Lubił dawniéj polowanie z sokołem, synowie mu przeto wyuczyli sokoła: lecz ten, po zniknieniu paniczów, zdechł we cztéry lata. Jakób wystarał się o innego, i nowego przybysza posadził na berle, co stało w sy-

(*) Złotą wódką, nazywano wódkę z Gdańska sprowadzoną, znaną dotąd pod nazwą *Gold-Wasser*.

pialni starca. Z początku nie dojrzał tego, lecz wkrótce, gdy głos tego ptaka obudził w nim dawne wspomnienia, dawne rozrywki; w zapomnieniu zawołał:

»Przyzwać mi tu smyka Malchera (był to najmłodszy z synów); niechaj wdzieje rękawicę, pojedziemy na kuropatwy.«

»Jest-ci na bagnie i czapel nie mało« odrzekł Jakób.

»O! nie chcę tak pięknego narażać ptaka. Wiesz, że jak się zapali i uderzy z góry, może się przebić dziobem czapli.«

»Paniczowie (mówił pachołek), nie raz łowili czaple, a przecież żaden sokół nie zginął.«

»No, to i teraz sprobujemy razem: idź zawołać mi tu moich chłopców.«

Jakób odszedł, starzec rzeźwo wchodzi do apteczki, by wzmocnić siły na łowy, spojrzał na próżne kąty, przypomniał rozbój i zgubę synów, nie wyciągnął ręki do flaszy złotéj wódki, stał długo ze zwieszoną głową, a napojem jego była łza gorzka.

V.

Przed murowanym dworem, w piękny dzień majowy, blizko południa, stanęło pięć ozdobnych kolas. W każdéj siedziała strojnie przybrana niewiasta i po parze małéj dziatwy. Pięciu panów wąsatych na dzielnych biegunach, jechało obok w bogatych szatach, rzędy na koniach lśniły się od złota i srebra, a karabele zwieszone, błyszczały drogiemi kamieniami.

Na ganku, pod wystawą, stał gospodarz tego dworu, wysadzał uprzejmie z kolas niewiasty i dziatwę, a zsiadających z koni serdecznie pozdrawiał, bylito bowiem jego bracia rodzeni, z żonami i dziećmi.

Małżonka pana Jana z Grzędy, z szczerą uprzejmością witała braci męża i młode dorodne bratowe. Zaledwie drużyna przybyłych weszła do wielkiéj komnaty, każdy z braci zdjął trzos ze skóry łosiéj, i wysy-

pał złoto. Pan Jan z Grzędy, jako brat najstarszy, przerachował sztuki, i wsypał do szkatuły w mosiądz okutéj, po czém w te się odezwał słowa:

»Za dwa dni, panowie bracia, Zielone-Świątki; ażeby stanąć na miejscu, jak konie spoczną, potrzeba zaraz wyruszyć.« I we dwie godziny, sześć kolas z białogłowami i dziećmi i sześciu dorodnych mężów na koniach, jechało szerokim gościńcem.

* * *

Jak przed sześcią laty, w przeddzień Zielonych-Świątek, wieczorem, wysłano z dworu pana Adama czeladź po gałęzie do lasu, i tatarak na jezioro. Starzec osłabiony, siedział w wielkiém krześle w swojéj sypialni, przed nim stał siwy Jakób, trzymając na rękawicy sokoła, którego karmił wypłukaném mięsem. Pan Adam bawił się ptakiem, jak dziecię cackiem, ale ta rozrywka prędko go znudziła.

»Posadź go już na berle (rzekł po chwili), nie prędko będzie bujał na wolném powietrzu! Jużeśmy się zestarzeli obaj, i chyba nam karmić sokoły. Miałem żwawe pacholęta, lecz tych Bóg zabrał.«

I zwiesił smutnie głowę na piersi.

»Niech się Jegomość uspokoi (mówił łzy połykając, przywiązany pachołek). Bóg daje, Bóg bierze! stań się Jego wola! Jednakże mam nadzieję, że się wrócą paniczowie, a wtedy i sokół pobuja.«

Ledwie tych słów domówił, usłyszeli z daleka wrzawę. Zadrżał starzec, zbladł pachołek, obaj przypomnieli sobie noc ową. Jakób chciał biedz i drzwi od sieni zamknąć, starzec schwycił za czekan z siekierką, którym się opierał; lecz się prędko uspokoili, gdy usłyszano trzask z bicza i turkot kolasy.

»Choćby to byli i łotry (rzekł pan Adam), niech wnijdą, cóż zabiorą!«

Pachołek wyjrzał oknem, a zdziwiony wielością panów konno i bogato przybranych,

zawołał radośnie: »Na świętego Jakóba! to jacyś wielcy panowie!«

Starzec opierając się jedną ręką na ramieniu sługi, drugą na czekanie, wszedł do izby gościnnéj, gdzie już małżonka jego stała, zdziwiona tak licznémi gośćmi. W tym roztwarły się drzwi nagle, sześciu mężów weszło, i upadli wszyscy na kolana, a za niémi przyklękło sześć niewiast i dwanaście dziatek.

Starzec z początku zdziwiony, osłupiał; przy słabym wzroku nie poznał gości; lecz małżonka jego z płaczem zawołała: »To nasze Adasiu chłopcy!«

Na ten wykrzyk radosny matki, zadrżał starzec, łzy oblały twarz zmarszczoną i bladą: po chwili rumieniec nieznany, od dawna osiadł na licu. Upadł na kolana, a rzuciwszy się w objęcie najstarszego syna Jana, omdlał z wzruszenia.

»Panie ojcze mój! (rzekł, otrzeźwiwszy starca, Jan z Grzędy: tak go od wsi dziedzicznéj po żonie w posagu otrzymanéj, na-

zywano), oto Wasze syny z żonami i dziećmi, na kolanach czekamy Waszego wyroku. Nie zbójcy Cię zrabowali, my to sami byli. Lata zbiegały nam na niczém, a strój lichy wstydził nas wszystkich; żaden nie śmiał i sąsiada odwiédzić.—Trzeba było o sobie pomyśléć. Podzieliwszy się zdobyczą z Waszéj szkatuły i kufra, każdy się w inną stronę udał. Bóg poszczęścił! Dziś w dobréj doli przychodzimy błagać Cię o przebaczenie, i pożyczone oddać pieniądze.«

A po tych słowach, wnuczęta otoczyli wieńcem starca; nie mógł rozczulony wyrzec i słowa, całował dziatki w głowę i ciągle żegnał.

Na znak dany przez Jana z Grzędy, dwóch braci przyniosło szkatułę, okutą w mosiądz; otworzył ją i na stół dębowy wysypał złoto. »Panie Ojcze! to wszystko jest Wasze, oddajemy co do grosza.« Ale starzec choć mu złoto zajaśniało, rzucił raz tylko na nie oczyma, nie sięgnął po nie, tylko wzrok utkwił w oblicze drobnych wnuków, i pobłogosławił synowe.

Stary Jakób, napłakawszy się z radości, pobiegł najprzód do sypialni Pana, stanął pod berłem, a podskakując, zawołał do ptaka: »Paniczowie, nasi chłopcy przyjechali!« i zaczął pieścić sokoła; potém biegł ile zdążył, do szafarki i kredencerza, co wywabiali dawniéj plamy z kaftanów łosich i kapot.

»Co to za państwo wielkie?« zapytała ciekawa szafarka.

Tu Jakób nie mógł odpowiedzieć, w głos się rozbeczał, a łkając zaledwie wymówił: »To pa... pa... paniczowie nasi!« Kredencerz i szafarka za Jakóbem poczęli płakać, gdy wbiegł do nich na folwark, pan Malcher najmłodszy paniez. Wszyscy zaczęli mu się kłaniać, i całować w ręce, a ten zapytał radośnie:

»Jakóbie! a gdzie nasz sokoł? Chciałbym go zobaczyć.« Stary pachołek wybiegł na przód, by pokazać ładnego sokoła.

* * *

Na dębowym nakryto stole do wieczerzy. Starzec pieścił jeszcze wnuków i synowe,

gdy w długiéj rękawicy, trzymając sokoła z dzwonkiem na niéj, wszedł Malcher, i rzekł do ojca: »panie ojcze! może pojedziem na kuropatwy, albo na czaple, widziałem ich nie mało po wyżarach.«

Starzec odwrócił głowę, a ujrzawszy syna w łosim kaftanie bez plamy, z ptakiem na ręku, uśmiéchnął się radośnie. Byłto, po jego łzach wielu, piérwszy uśmiéch serdeczny.

Wesołość napełniła ten dwór i duże komnaty, gdzie sześć lat panował smutek, łzy i boleść. Wieczorem przywołał Jakóba Jegomość, a pokazując szkatułę pełną złota: »znalazła się zguba (rzekł radośnie), wnieśmy to do apteczki. Poczciwe moje chłopcy, oddali co do grosza, przerachowałem wszystko.« Stary pachołek wypełnił rozkaz. W tym samym kącie, jak dawniéj, postawiono szkatułę, a Jegomość sięgnąwszy ręką najwyżéj, na półkę dużéj szafki, napił się złotéj wódki, w ręce starego Jakóba.

XI.

WOLF

OBRAZ Z 1793 R.

I.

Czarne chmury olbrzymie, silny wiatr popędzał, zajmowały ony coraz więcéj widnokrąg dotąd czysty i jasny. Słońce blizkie zachodu, odbijało ponuro promienie, w napływające mgły ciemne, co podobne do wyniosłych Karpat, coraz się wyżéj piętrzyły. Dalekie grzmoty, zwiastuny burzy, trwogą przejmowały podróżnych, którzy po złéj drodze, a jeszcze gorszych mostach, musieli wstrzymywać rzeźwe bieguny.

Na gościńcu, (tak zwano w końcu XVIII wieku, u nas drożyny, gdzie ledwie dwoma końmi przejechał), toczyła się wspaniała ka-

réta pani Starościny. Dwóch wysokich hajduków, gdzie zła droga lub most przykry, postępowało obok, aby w każdym przypadku; silnemi barkami: wesprzéć ten korab Nego. W nim to siedziała pani Starościna wyróżowana, z dziesięcią muszkami na zmarszczonéj twarzy, nie licząc much większych, bo te się ukrywały w nosie. Mnogości ich, nie mógł żadnym rachunkiem objąć poczciwy Starosta, czuł ich tylko żądła nie raz i brzęczenia, zarówno w dzień biały, jak i noc ciemną. Jechała wyróżowana, bo miała nadzieję przed wieczorem stanąć we Lwowie: dla tego i wysznurować się kazała, kibić objąć rogówką, i z trzech stron poduszkami wypchać. Na kolanach w klatce mosiężnéj, siedziała piękna papuga zielona. Kiedy ją pani Starościna kupiła, zaledwie własnym umiała odezwać się głosem, dziś, towarzyszka ciągła swéj pani, tyle od niéj przejęła, że umiała doskonale a długo papłać. Najwięcéj jednak, skubiąc się dziobkiem po papużych piórkach, wrzeszczała: »*Mężu sro-*

gi! okrutniku! zemgleję! ach! migrena! spazmy!« Snać, że takie wykrzyki najczęściéj słyszéć musiała, z ust swojéj pani. Nie raz to ptaszę, nabawiło strachu dobrego Starostę. Poczciwy ziemianin, co wtedy czuł całą rozkosz życia, kiedy ukochana małżonka raczyła gdzie wyjechać, nie raz miał sobie poleconą troskliwość w pielęgnowaniu papugi, aż do jéj powrotu. Wsadziwszy do poszóstnéj karéty żonę, z ukłoném nizkim żegnał, i wzdychał; pani Starościna przypisywała to czułości jego, ale to westchnienie, jak sam na ucho przyjacielowi zeznał, było odetchnieniem swobodném, pozbycia się choć na krótko, tak wielkiego ciężaru. Owoż papugę zabierał z sobą i stawiał w swojéj sypialni. Raz, za nadto rachując butelki węgrzyna w piwnicy ustawione, zaledwie trafił do łoża, i usnął przed samym obiadem. Wyszumiawszy nieco, roztwiéra zaspane oczy, aż słyszy głos swéj żony: »*Mężu srogi! okrutniku! zemgleję! migrena! spazmy.*« Zrywa się jak oparzony, krew mu w żyłach marznie, wy-

trzészcza z przestrachem oczy, i po chwili dostrzega, że to były słowa papugi! Trzeba było widzieć radość biédaka, podskoczył ze trzy razy, nakręcił wąsów, głaskał czuprynę i śpiéwał ulubione: »*Ongi z Jagusią swoją w gaiku.*« Była to piéśń Węgierskiego, któréj nauczył się od samego poety przy hulackiéj uczcie. Raz ją tylko przez całe pożycie małżeńskie *zanućił* przy swéj żonie, dodawszy od kogo ją pojął, — ale pani Starościna tak mu zmyła głowę, przeklinając i rozpustnego (jako nazywała Węgierskiego) poganina poetę, że mąż biédny, choć piosnka ta była wykrzykiem jego radości serdecznéj, zanucił wtedy tylko, gdy był pewien; że małżonka już przejechała graniczny kopiec.

Teraz, na szczęście Starosty, i papuga wraz z żoną odjechały. Obok pani Starościny, siedziała panna Starościanka *Ewelina*, podług metryki matki 18 zaczęła, a podług proboszcza w parafii, 25 lat skończyła. Na przodzie, drzémała panna *respektowa*, ze szpicem kudłatym, a daléj wyglądała oknem pojazdu,

druga córka w kwiecie wieku, ładne dziewczątko w 18 roku. Resztę wolnego miejsca, zajmowały pudła, pudełka, szkatułki, zawiniątka i t. p. Wąsaty foryś z uczernionym wąsem, i skręconym aż za ucho, siedział na koźle, i probował bicza, ażeby zręcznie wedle rozkazu pani trzaskać po ulicach miasta. Wystrojony wedle gustu saméj pani, w niedźwiedzią czapkę i galon u kołniérza, mniéj o resztę stroju dbając.

—»Dobrze się zasłoń gawronie fartuchem, to będziesz jak książęcy woźnica wyglądał.« Taką radą skończyła dane mu nauki. Kredencerz stary, już czekał z przygotowaną pomadą, posadzono forysia i w obecności pani, wyszwarcowano mu wąsy maścią z wosku, oliwy i sadzy, do któréj trochę mięty dla zapachu przymięszano. Kredencerz znał swoję sztukę. Próżno biédak ściskał zęby; jak wyczernił wąsy, skręcił, i podniósł w górę, aż gębę foryś otworzył, i łzy mu stanęły w oczach. Stały wąsiska by kij dębowy, a fryzer upewnił go, że śmiało na nich wro-

na usiąść może, a nie zegnie. Rozkaz miał najsurowszy, by *postury* wąsów nie zepsuł; tak więc, całą drogę wyszczérzał zęby choć nie chciał, bo mu wąsy skróciły wierzchnią wargę. Za karetą szła bryka brodzka we trzy konie, siedziały tam dwie służące, a kiedy droga gładka, dosiadali tam i hajducy.

Pani w złych sosach, nie wyrzekła słowa, choć jéj się język z nazwyczajenia przewracał wśród przyprawnych ząbków: papuga przeczuwając burzę, spuściła smutnie głowę. Co za szkoda, że Starosta tego nie widzi, policzyłby to za cudo, dziw nie słychany! Żona i papuga milczą! Obie córki, drżące na skinienie matki, nie śmiały wyrzec i słowa, panna spała: cała przeto karéta, była w téj chwili milcząca, jak żałobny karawan.

Nagle *trzasło!* (wedle wyrażenia panny służącéj), czyli piorun uderzył. Wszystko zawrzało w karecie, jeden krzyk rozległ się po obszernych ścianach, suknem perłowym obitych. Córki przytuliły się do siebie, panna schowała głowę pod szpica, papuga spa-

dła z prętu klatczanego, a pani? pani robi silnie piersiami. »*Migrena, spazmy, zemgleję*« woła słabym głosem. »*Zemgleję okrutniku! srogi mężu!*« dodaje papuga. Panna służąca woła: stój! stój! Foryś zatrzymał konie, woła: noża! noża! Hajduk wysoki przez okienko podał swój cyganek. Rozcięto sznurówkę, wypadło kilka poduszek, Starościna ocalona, Starościna oddycha.

Ale nie tu koniec, że raz trzasło; jak zaczęło trzaskać z przodu i z tyłu, na prawo i lewo, konie ruszyć nie chciały: foryś co prędzéj na dół skręcił wąsy, bo słyszał pana, że ostre końce ściągają pioruny. Wszystko w karecie bez życia, na brodzkiéj bryczce wrzawa, bo hajducy przed burzą chowają się w budę. Pani Starościna każe jedwabnemi chustkami okna zasłonić, płacze, trzęsie się, róż starty, muszki obleciały. A tu grzmi i trzaska piorun po piorunie. Nagle krzyknęła, — przypomina sobie że cztéry potężne z mosiądzu gałki, zdobiące wiérzch karéty, mogą ściągnąć piorun. Wołają hajduków,

ci po wielkich usiłowaniach, obszarpawszy karétę, wyłamali ozdobę, nad którą się nie raz organista z parafii podziwiał.

Przecież, dészcz ustaje i burza; pani każe jechać, a uważać gdzie karczma, żeby do najbliższéj zajechać. Las ciągnie się długo, mrok ciemny zapada, — na uboczy stała karczemka licha, tam więc zawraca foryś.

Zajeżdża karéta i bryka, żyd gospodarz kłania się nizko, ofiaruje jeden alkiérz, więc pani wysiada.

Wchodzi do piérwszéj izby, jakiż ją widok uderza! Do 16 zbójeckiéj miny zgromadzonych ludzi, między niémi w kanonicznym stroju, poufale bawi jeden. Zaledwie doszła do alkiérza, zemglała na prawdę: córki, służące, poczęły ją cucić. Kiedy wróciła do zmysłów, przyciąga córki do siebie i cichym, przestraszonym głosem wymawia: »to są zbójcy.« Krzyknęły dziéwczęta, służące drżały, hajducy schowali się w siano na wyżki.

W godzinę wchodzi ten, co strój kanonika miał na sobie, zrzuca go przed zdziwionémi i rzecze:

—»Jestem Wolf! lecz nie obawiaj się pani, kazałem strzedz ludziom swoim jéj rzeczy, nic nie stracisz, śpij spokojnie. Dobra noc.« Skłonił się grzecznie i wyszedł.

Zmęczona przestrachem, uspokojona nieco, zasnęła wkrótce Starościna, córki tylko i stara panna służąca spać nie mogły, zobaczywszy piérwszy raz w życiu rozbójników. Nazajutrz rano, pusta była karczma, nic nie zginęło. Wolf z bandą swoją opuścił gospodę, równo ze świtem; a pani Starościna, zajechała szczęśliwie przed wieczorem do Lwowa.

II.

Między 1798 a 1799 w Sanockiém (*), zaczął głośno słynąć wspomniany rozbójnik. Był to żyd polski, na czele swojéj bandy napadał na dwory szlachty i łupił. Nie raz

(*) W Galicyi.

wszakże postępował szlachetnie, jak widzieliśmy obejście jego z panią Starościną.

Był w tamtych stronach szlachcic jeden, którego rodzina dotąd żyje: słynął z bogatéj szkatuły, szczególniéj w gotowiznę obfitéj. Wolf, kilka wypraw zamierzał; ale szlachcic niebity w ciemię, czujnością swoją wszystkie niweczył. Rozjątrzenie Wolfa, doszło do najwyższego stopnia, równie jak ostrożność szlachcica: który przecież, po długim niepokoju, znalazł starego wojaka, co za przyrzeczoną nagrodą stu czerwonych złotych, przyrzeka schwytać żywcem, lub zabić rozbójnika.

Ale te łowy, nie były łatwe, bo zwierz ten miał odwagę i niedźwiédzią siłę. *Rojnik*, tak się zwał wojak, przybiéra do pomocy dwóch śmiałków, a przebrany jak zagrodowy szlachetka, czekał sposobnéj pory.

Szlachcic dla bezpieczeństwa własnego, miał między żydami takich, co dobrze umieli Wolfa tropić, zawsze więc wiedział na przód gdzie się obraca, i kędy zamierza swoje na-

pady. Wkrótce przeto Rojnik odbiéra wiadomość, iż o dwie mile w samotnéj karczmie, a pobliskiéj lasa, będzie Wolf obiadował: przyjedzie na siwym koniu, a lisia kurtka i czapka z baranem, odróżni go łatwo od innych. A więc łowy poczęto, bo zwiérz wytropiony.

W samotnéj karczmie, siedział za stołem silnéj budowy ciała człowiek, w lisiéj kurcie, w czapce baraniéj,— i siwy koń shasany i okryty pianą, stał w stajni przy żłobie, pełnym gołego owsa. Rysy twarzy pociągłe, płéć śniada, oczy czarne i włosy krucze, co wypływały z pod czapki, zdradzały w nim pochodzenie wschodnie. Choć broni nie miał przy sobie widocznéj, kto się dobrze wpatrzył, ujrzał z pod kurty rękojeść bogato ozdobną pistoletu lub noża. W olstrach przy siodle, spoczywało dwie pary pistoletów.

Zaledwie zaczął wina popijać, gdy usłyszał zdala piosnkę. Nastawił ucha, pieśń coraz brzmi wyraźniéj, rozróżnia w niéj dwa głosy, to go niepokoi. Na reszcie roztwiérają się

drzwi karczmy, i więcéj się wtacza niż wchodzi dwóch pijaków, już dobrze podciętych. Widok ich rozchmurzył posępne czoło, zmierzył okiem, i pomiarkował że im podoła. Usiadł więc spokojnie, i spożywał obiad. Przy końcu swéj uczty skromnéj, słyszy znowu piosnkę. »Trzeci!« pomruknął, i wstaje nagle, rzuca talara na stół. Pijacy, zdawali się trzeźwi zupełnie, powstali także. Wtedy Wolf posuwa się do drzwi, kiedy w nich nagle okazuje się Rojnik podpiły.

Przybył za późno, a przeto nie udaje więcéj pijanego, ale rzuca się na Wolfa, dwaj jego towarzysze chwytają go w poły. Oskoczony nagle, zręczny i silny trząsnął trzema, powalił na ziemię, doskoczył konia, i już za karczmą.

Rojnik nie tracił czasu, porywa za sztuciec, co go wchodząc zostawił przy drzwiach, chcąc żywcem pochwycić zbójcę, mierzy za uciekającym, a za strzałem Wolf uczuł, że krwią własną broczy konia. Dopadłszy lasu zeskakuje z siodła, i piechotą uchodzi. Zła-

pali konia, a smutni z zawiedzionego celu wyprawy, wrócili do dworu szlachcica, ukazując lichą zdobycz.

IIII.

Pan Starosta wychodził z lasu z ulubionym wyżłem, kiedy ujrzał pędzącego na siwym koniu człowieka. *Farbował* mocno, jak wyrażał się później językiem myśliwskim, co znaczyło że był krwią zbroczony, i utamować jéj nie mógł. Widział jak zsunął się z konia i słabą ręką, bił go, ażeby odpędzić go od siebie. Jakoż koń rozhukany, poleciał w drugą stronę lasu. Ranny biegł prędko, ale wkrótce siły go opuściły, upadł prawie przy nogach zdziwionego Starosty, błagając o ratunek. Poczciwy ziemianin, podarł dwie własne chustki, okręcił rany, dał z torby borsuczéj wódki anyżówki, a wspiérając kroki osłabione, prowadził w głąb coraz lasu, gdzie nieznajomy wskazywał. Lubo krwi

dużo utracił, gdy się jednakże wśród gęstwiny znajomej ujrzał, stanął, nieco spoczął, i nagle tak silnie świsnął nad uchem Starosty, że ten przestraszony wypuścił strzelbę z ręku, a wyżeł podskoczył i zawył. Na to hasło, po krótkiej chwili, świśnięcie równie silne odpowiedziało, i raptem stanęło trzech dobrze uzbrojonych ludzi, którym złe z oczu patrzało, co drżeniem dobrego nabawiło Starostę. Ranny coś im powiédział na ucho, dwóch go wzięło pod ręce, trzeci przed Starostą stanął. »Dziękuję ci dobry panie! wyrzekł wtedy, niech ci Bóg nagrodzi. Mój towarzysz wyprowadzi cię na drogę.« I ścisnął za rękę ziemianina, który z rozczulenia miał łez pełne oczy. Przewodnik dany, długo z nim krążył, zaczém trafili na gościniec, wtedy zdjął kapelusz, na znak pożegnania.

—Powiédz mi mój przyjacielu, co to za człowiek, któremu małą oddałem usługę.

—Jest to Wolf!

Starosta odskoczył z przestrachem, przeżegnał się z podziwienia. Obejrzy się w oko-

ło, nié ma nikogo, wziąwszy więc nogi za pas, przybiegł do domu zmęczony: na samym progu pośliznął się mocno, uderzył głową o ścianę, co wróżyło jakieś złe. Nad wieczorem, nieszczęsny prognostyk zjiścił się co do słowa, ujrzał bowiem niespodzianie owo złe, bo razem wchodzące do swojéj sypialni papugę i żonę, z szczęśliwym powrotem z miasta do domu. Zamarła mu w ustach już wyglądająca piosnka: *Ongi z Jagusią swoją w gaiku*, którą tylko co miał zanucić wracając do wesołości, po przestrachu rannym.

—A cóż Wasze panie mężu, nie słyszałeś że zajeżdżamy, ani wybiegłeś na ganek.

—Kochańciu, odrzekł z stulonemi uszyma dobry ziemianin, nie słyszałem, nie słyszałem, bo to strach ma duże oczy.

—Jaki strach? zapytała przestraszona małżonka, oglądając w około alkowę z bojaźnią.

—Tak strach, i wielki! widziałem, widziałem ¡Wolfa rozbójnika.« Małżonka upadła w duże z poręczami krzesło pradziadowskie, adamaszkiem i złoconemi gwoździkami

wybite, potém krzyknęła! Były to przepowiednie blizkiego zemglenia. Na ten raz szczęściem, nie omglała wcale, i gdy Starosta chciał, dla ocucenia, nos kręcić żylastemi palcami, odepchnęła go i zawołała z westchnieniem: »*I jam widziała Wolfa.*« Starosta odskoczył, Starościna opuściła nogi, i poczęli nawzajem opowiadać sobie nadzwyczajne przygody. Wkrótce cała okolica, o niczém nie mówiła, jak o szczególnych przypadkach z rozbójnikiem tego stadła małżeńskiego. Starościna postanowiła wydać bal, ażeby wszystkim tak *romansową* opowiedzieć przygodę. Jakoż, we trzy dni przy zjeździe gości licznych, wygadała wszelkie szczegóły z dziesięć razy obecnym; małżonek również przy butelce, każdemu nie zaniedbał i swojego przypadku opowiedzieć, z tą różnicą, że po obiedzie, nie mogąc już komornikowi zaczętéj o Wolfie dykteryjki skończyć, przewrócił się przy stole, i musiano go wynieść do alkowy.

Nazajutrz po świetnym balu, zbudzono wcześniéj pana Starostę z doniesieniem, że przybył jakiś podróżny, i ma pilne polecenie. Wkrótce stanął przywołany w alkowie, był to Rojnik. Zwięźle, nie długo, opowiedział swoję wyprawę na Wolfa, jak go postrzelił, zdobył konia, ale sam łotr uszedł przy pomocy Starosty. Zbladł leżący ziemianin, i począł wyklinać ciało i duszę, że nie wiedział kogo wspomagał, zakończył własną obronę, przyzwaniem swojéj małżonki. Rojnik musiał co do słowa powtórzyć znowu opowiadanie swoje, a pani domu, kazawszy przynieść śniadanie, nie zaniedbała opisać i własnego zdarzenia z Wolfem.

— Wielmożna pani! rzekł Rojnik, pokręcając wąsa, już mi się teraz nie wymknie; ślad którym go tropię, po tém co tu słyszę, jest pewny: da Bóg, w przyszłą niedzielę, będę go miał w garści.

— Ostrożnie Waseńdzi z tym łotrem, przebąknął Starosta, kiedy taki silny.

—Jużci z nim w załebki nie pójdę, ale kula jedna oczyści ziemię z tego gadu, i wskazał na sztuciec który trzymał w ręku.

Nadeszła niedziela, zadzwoniono na mszą, Starostwo, już się wybiérało do kościoła, gdy od przyjaciela swego, onego szlachcica, z którego poręki Rojnik ścigał Wolfa, odebrał list z podpisem: *pilno.* Wrócono więc do alkowy, a Starosta przeczytał swojéj małżonce następne słowa:

Wielmożny mnie wielce miłościwy Starosto!

Mam honor Mu donieść, iż w piątek o samo południe, skończyliśmy sprawę z owym głośnym Wolfem. Powziąwszy ślady, że się z ran odebranych nie wylizał, i ukryty w żydowskim domku poblizkiego miasta się leczy, wraz z Rojnikiem i czeladzią moją, napadliśmy cichacza.

Leżał poganin nad łóżkiem, w umyślnie przyrządzonéj pod pułapem skrzyni ukryty

dobrze. Kiedyśmy do owéj weszli izby, nie dał śladu, aż kiedy Rojnik rozrzucać począł pościel, łotr celnym strzałem, o mało nie zabił mego starego wojaka. Ale téż odebrał za swoje, jak tylko łeb pokazał ze swojéj kryjówki, kula jednego z pachołków ugodziła dobrze, ani ziewnął więcéj i wyleciał jak długi z onéj skrzyni.

Wiedząc, że równie Wielmożnego Starostę, jak i godną Jego małżonkę, to obchodzić może, donosząc o tém

mam honor pisać się Ich

dobrym sąsiadem i najniższym służeczką

N.

Starosta odczytawszy spojrzał na żonę.

—No,— i cóż kochańciu?

—Idźmy do kościoła, trzeba proboszcza prosić, aby, choć to rozbójnik, odprawił mszą za jego duszę, gdy tak szlachetnie z płcią się piękną obchodził.

I podając rękę mężowi, spojrzała w duże zwierciadło, które ją zawsze zapewniało, że do płci pięknéj należy, lubo sąsiedzi inaczéj utrzymywali, a mąż potwierdzał ich zdanie, trzymając się zapewnie przez upór starego przysłowia: *Vox populi, est vox Dei*« »*głos ludzki, jest głosem boskim.*«

PRZYPIS.

—

Osoba Wolfa nie jest zmyślona. — Szczegóły o tym rozbójniku, mam od osoby żyjącéj w on czas w tamtych okolicach.

———

XII.

Łowy na wilki.

OBRAZ.

«Ale patrzcie! co to zdala?
Sadzi susy tam, tam, nisko,
W prawo, w lewo, się przewala,
Wszak do kata! to wilczysko!»

Poranek starego myśliwca.

Sandomiérskie, sławne pszenicą, co nie raz zamorców żywiła, ma góry i lasy; a dawniéj, były one większe i gęściéjsze, nim chciwa ręka zysku, uzbrojona toporem, zaczęła wycinać stare olbrzymy. W tych puszczach rozległych i ciemnych, chłodnych i wilgotnych, bo promień słońca nie przedzierał się w wielu tajnikach, gnieździły się stada: jeleni, sarn, łosiów, dzików, niedźwiedzi i wilków. Co nasi ojcowie nam opowiadali o nieprzejrzanych puszczach, niezliczonym zwierzu, dzieje nasze wezmą to za bajkę, gdy nie długo ujrzą same gaiki, miasto lasów ogromnych, i rozległe nagie pola.

Jakież to puszcze i lasy dziewicze, musiały być w XVI wieku, kiedy Jan Kochanowski narzéka, że szlachta chciwa zysku, wycina bory i niszczy. My przecież po 300stu latach, podziwialiśmy ich ogrom, ciszę posępną, i zwalali jeszcze sami angielskim okrętom, na maszty wysokie! Nie dziwmy się przeto, gdy stare pieśni ludu Polskiego i Rusi, wspominają lasy kalinowe, modrzewiowe, cisowe i lipowe (*), rosły one w naszéj ziemi, choć teraz nawet śladu nie pozostawiły po sobie.

Owoż, o małą milę od takiego boru, wznosił się dwór stary z modrzewia, z wysokim gankiem, starego Janusza. W ogrodzie cieniły gęstym liściem odwieczne lipy, a parkan wysoki ogradzał w około. Był to *sławny myśliwy*, jak sam utrzymywał przed swoim synem Czesławem, lubo sąsiedzi inaczéj mówili: był *sławnym lekarzem do ko-*

(*) Las lipowy, istnieje jeszcze o 3 mile za Zamościem, rąbią z niego sążnie i palą!

ni, ale sława jego wiele ucierpiała od czasu nieszczęsnych zdarzeń, o których powiémy.

Że w okolicy wilcy szkodę robili, Janusz przeznaczył nagrodę za złapanego żywcem wilka, chcąc go własną ręką zabić, i okazać synowi celność strzału. Gajowy w dół sporządzony, schwytał starego wilka, a włożywszy na niego kaganiec, przyprowadził do dworu. Janusz uradowany, w pobliżu spichrza kazał go przywiązać na mocnym postronku, sam dobył z alkowy sztuciec sławny, z którego kulą strzelał zające, głuszce, a nawet w lot kuropatwy i słomki, raz nawet o zakład wróblowi głowę urwał o 180 kroków. Wyszedłszy na ganek w towarzystwie syna, pokazywał mu i uczył wiele do niego trzeba prochu, jak przybijać i kulę wpuszczać; po czém wymierzył do szarpiącego się wilka, przy dębowym kołku.

Pani Januszowa przez okno wołała z bojaźnią: »Ostrożnie, tylko ostrożnie, a w sam łeb.«

Janusz trzymając na célu, odrzekł spokojnie: »już to nie inaczéj dziéweczko! mierzę w oczy, kula na wylot przejdzie.«

Młody Czesław stał niecierpliwy, że ojciec tak długo céluje. W reszcie rozległ się huk strzału, a wilk poskoczył nietknięty, i mocniéj począł się szarpać.

—»Pfu, do biésa!« zawołał Janusz z gniewem, czy nie dostał?«

Czesław z starym strzelcem obejrzawszy wilka, donieśli że zdrowiuteńki. Drugi raz więc nabił, strzelił, wilk jeszcze wyżéj podskoczył. Spluwając ze złością, kazał swojéj dziéweczce zamknąć okno, bo niewiasty wielce łowom szkodzą, nabił po raz trzeci, przeżegnał strzelbę, oparł o słup ganku, i wytrzymawszy z cały paciérz, spuścił kurek, huknął wystrzał mocny. Tą razą wziął Janusz dobrze na cél, kulą przeciął postronek przy samym kołku, choć był więcéj na sążeń od zwiérza, a wilk z kagańcem, przesadziwszy wysoki parkan, uciekł do lasu. Wypuszczono psy ogromne, brytany i kun-

dle, ale na próżno: wtedy Janusz z synem i strzelcem poszli na miejsce, gdzie wilka uwiązano, oglądać jak kule poszły.

Spichrz stał o kilkanaście kroków, od kołka owego. Szukając długo z wielkim podziwem, ujrzeli w ścianie, że kule przeszły na wylot. Janusz kazał klucze podać, otwiéra spichlerz, nowe podziwienie!

—A co tu tak mokro?« zapytał ciekawie. Idą daléj, niestety! Stał duży okseft o 300 garcach okowity. Pierwszego strzału kula trafiła w dna środek, drugiego najniżéj, a okowita zalała cały spichlerz.

Janusz zmartwiony, długo nic mówił nic o swojéj sławie myśliwskiéj. Stary strzelec śmiał się, gdy wilk uciekł, i tyle szkody sam Pan sobie zrobił, a Czesław powątpiewać zaczął o wielkiém znaczeniu dawniéj ojca między myśliwcami. Stary szlachcic w kalendarzu zapisał dzień ten jako feralny, przecież w tydzień znowu ten dzień przyszedł.

Miał piękną stajnią, z któréj się mógł pochlubić: miał bowiem 12 koni, zabytki pięknéj rasy polskich koni, mieszanéj z arabską i turecką. Kiedy przed kogo kazał wyprowadzać, o każdym z dumą mówił: »Ten koń, to może powiedzieć: *Turek me fecit*, a ta klaczka Arabka.« Właśnie Arabka zasłabła. Janusz ją na mierzwie kazał postawić, a przygotowawszy lekarstwo w kształcie wielkiéj gałki; położonéj i przytrzymanéj, sam to wepchnął w gardło, wołając na koniuszego: »trzymaj łeb dobrze! niech się nie rusza.« Stajenni dotrzymali klaczy z koniuszym; a gdy czas wyrachowany przeminął, kazał puścić, ale już więcéj nie wstała: gałką ogromną, co miała uleczyć, zadusił własną ręką piękną Arabkę. Do żywego Janusz tknięty, trzy dni całe nie wstąpił do stajni, ani strzelb nie czyścił.

Nadeszła zima śnieżna i mroźna, chwytano wiele wilków w doły, ale stadami ukazywały się pod ogrodem dworskim i opłotkami wiejskiémi. Zuchwałe, wpadły raz nawet

na dziedziniec, i porwały Januszowi dwa duńskie brytany, które prawie w jednéj chwili w jego oczach rozszarpały. Polecił więc zbudować ogromne sanie, a Czesławowi sprosić sąsiadów na łowy z prosiakiem. Na drugi dzień po *Matce Boskiéj Gromnicznéj*, zjechało się 18 myśliwych z sąsiedztwa. Sanie były urządzone z ławami, na których siedzieć wygodnie mogli; z tyłu siedzenie bezpieczne dla strzelca, który gniótł prosię, ażeby kwikiem swoim przywabiało wilki; tymczasem na długim sznurze, przywiązana wiązka grochowin i wleczona po ziemi, zwodziła łakome zwierzę, jakoby sama była smacznym kąskiem, za którym bieżał. Do zaprzężonych czterema chyżemi końmi ze stajni Janusza, zasiedli. Każdy oprócz dubeltówki, opatrzony był w parę pistoletów: kilka sztuk broni nabitéj na zapas, za poradą starego strzelca, wzięto na sanie. Z wesołym okrzykiem i z szczęśliwą wróżbą, ruszyła ochocza drużyna myśliwych, wypiwszy nie mało wina z trzewika pani Januszowéj na pożegnanie i za

zdrowie gospodarstwa. Janusz przylepił do sani obrazek Śgo Sebastyana, patrona myśliwych, przeżegnał ich kordelasem, a synowi dał swój *celny sztuciec.*

Żwawo ruszyły konie, a chrzęst śniegu gniecionego kutemi i ciężkiemi saniami i kwik przerywany prosięcia, ogłaszały przejazd téj zbrojnéj radosnéj czeredy. Janusz z żoną wyszedłszy za bramę, ścigali ich oczyma, i kazali sutą przygotować wieczerzą.

Im bliżéj dojeżdżali lasu, ustawała gwarna z początku rozmowa, a jéj miejsce, zajmowała ciekawość ujrzenia dzikiego zwiérza: mięszało się nieco i obawy, bo stary strzelec i doświadczony, opowiadał smutne powieści, które wszystkich czoła zachmurzyły. Treścią ich właśnie, była śmierć odważnych myśliwych, którzy z podobnym jak oni, wybrali się wabikiem na wilki.

—»Będzie temu, mówił, lat z dziesięć, podobnie jak teraz wybraliśmy się na wilki. Pięć dzielnych zaprzężono koni, wsiadło nas dwudziestu na sanie. Ale jak się pokazały

ćmy wilków nienaliczone, bez wystrzału nawet ledwie uciekliśmy.«

»Tchórzu!« zawołał Czesław, stojący blisko starego strzelca, »we dwudziestu i obawiać się jeszcze!«

Strzelec nagniótł silnie prosiaka, który przeciągle zakwiczał; wtedy odrzekł:

»Zła wróżba, mój panie! prosię *długim głosem* zakwiczało.«

»I cóż z tego?« zapytało kilku z uśmiéchem siedzących na ławie myśliwych.

»Bo tak było«, mówił daléj stary strzelec, »kiedy 16 łowców wilcy zjedli, a ja jeden zaledwie uciekłem.«

Na te słowa, czy wiatr zimniéjszy powiał, czy może i trwoga tajemna, ale wszystkich mróz przeszył.

»Plecisz brédnie stary!« wyrzekł Czesław odważny, »trzebaby na to z tysiąc wilków.«

»Było ich więcéj« odpowiedział spokojnie, »a dzięki gniadéj klaczy, że mnie żywo uniosła, chociaż jéj mało ogona wilcy niewyrwali. Tak, tak! Smiéjcie się panowie

zdrowi, ale to szczera prawda; Bogu żywię, jak to, że żyw stoję. Będzie temu z 15 lub 20 roków, bo już nie pomnę, z takim jechaliśmy prosiakiem. Wesoły bo młody, pierwszy raz wybrawszy się na takie łowy, myślałem, że i samego djabła lękać się nie trzeba, kiedy nas tylu razem. Przecież, wszystkich kości wilcy roznieśli po świecie! zamarli bez pogrzebu, a wiele wdów zostało i drobnych sierot. Zaśnieżyło się niebo, wesołość znikła w tym gronie, sam Czesław popił z torby: wszyscy zwrócili oczy na starego strzelca i mimowolnie poczuli jego wyższość.

»Jakże to było?« zapytało wielu razem. Strzelec nic odrzekł słowa, podniósł się z ławy, spojrzał w około; śnieg drobny a gęsty, nie dozwalał daleko dojrzéć, nagle odwrócił się, jakby odpowiadając na pytanie: »jak było, tak będzie« rzekł ponuro i wskazał palcem. Wśród śnieżnéj zawieі, z początku nic myśliwi dojrzéć nie mogli.

»Co ci się przywidziało stary! Ot, śnieg na polu roztajał, to czerni się ziemia!« zawołał Czesław wpatrując się pilnie.

—»Widzicie to pole!« mówił z cicha strzelec: » to nie pole, jeno taka ćma wilków, stado, jak pole długie i szerokie. Już nas zwietrzyli. W konie! w konie! bo inaczéj zginiemy wszyscy.«

»Strzelać!« odezwali się niektórzy, »przecież tyle ludzi i broni.«

»Cicho!« zawołał z gniewem strzelec; »usiąść na ławach, broń mieć w pogotowiu, ale nie strzelać!«

»Strzelać! strzelać! wołacie, a cóż będzie z tego? Zabijesz pięciu, albo dwudziestu, a sto się rzuci i pożrze!

A wszyscy na groźne starego strzelca słowa, posiadali na ławach; konie jakby poczuły niebezpieczeństwo, w chyżym biegu, zaledwie dotykały ziemi.

»Jeżeli dostaniemy się prędzéj na otwarty gościniec, ocalemy zdrowo! Rachujcie teraz panowie wilków, co to się wam strzelać zachciało.«

Czesław spojrzał. Co zdawało się z dalcka, wśród zamieci śnieżnéj, kawałem pola,

była to gromada burych wilków: szły w gęstéj massie, kilku tylko wybiegło na przód. Przy zmroku coraz większym, błyskały ogniem oczy zajadłych i zgłodniałych wilków.

Czesław usiadł na jednéj z strzelcem ławie, a ten z cicha rzekł do niego.

—»Tego wilka co najbliżéj widzicie, zabić nie trudno, ale ten chyba strzeli, kto chce, by koście jego święta ziemia nie przykryła, ale żeby je zeszczerbiły zęby wilcze, a dzioby kruków szpik wyssały.«

—»Czemu?« zapytał Czesław.

—»To wilczyca!« Tu przestał, jakby dokładnie wszystko objaśnił. Nagle odwrócił głowę ku sfornicy, widać było na jego twarzy bladość, usta zsiniały. »W konie! na rany Chrystusowe, w konie zawołał.« Dobył kordelasa, ścisnął mocno ryj prosięcia, i przebił do razu; nie było słychać najmniejszego kwiku. Uniósł się z ławy, a widząc że już blisko szeroka droga do wsi prowadząca, wysadzana lipami, których jeno suche, nagie konary stérczały; przeżegnał się,

porwał za nogi skrwawione prosię i z zamachem daleko wyrzucił z sanek.

Wilczyca najbliżéj pędząca, zatrzymała się w biegu, porwała zdobycz i poczęła szarpać: przyskoczyło więcéj wilków, ale śnieżyca nie dozwalała rozpoznać jak się dzielili tak drobnym dla nich łupem.

Wszyscy przeziębli od mrozu i wiatru, które powiększał postrach i śmierć nieochybna; wlepili oczy w twarz starego strzelca, chcąc z niéj wyczytać ocalenie, lub zgubę. Woźnica z cicha rzekł: »Już widać we wsi dzwonicę!«

Strzelec wtedy wstał na nogi, obejrzał dubeltówkę: »No! panowie!« jeszcze dla nas nie wybiła ostatnia godzina, lecz trzymajcie się mocno, bo kto wypadnie z sanek, tego zostawim na strawę wilków, choćby to był mój brat rodzony! »A teraz Macieju!« zawołał na woźnicę. »Co koń wyskoczy.«

I woźnica trzasnął silnie biczem, a dzielne bieguny wyciągnęły się, prawie brzuchem dotykały ziemi; leciały jak na sokolich skrzy-

dłach. Wiatr donosił szczekanie psów ze wsi, świeciły ognie przez małe okienka z chatek. Wystraszeni łowcy, wzięli je za iskrzące oczy wściekłych wilków.

Strzelec stał, trzymając się krzepko w saniach, odwiódł zamki u dubeltówki i zawołał: »Panowie! który może, do mnie się niechaj obróci, i ognia razem!«

Zadrżała ziemia od huku strzałów: po nich usłyszano głuche wycie wilków. »Ognia znowu! krzyknął strzelec: i tak raz po raz, rozlegały się strzały, których echem było okropne wycie zajadłych wilków.

Już blisko byli opłotków, a stado goniące wilków, ani się na chwilę nie zatrzymało. Psy ze wsi całéj, jedne na dachach chlewów i obór, drugie skryte po izbach, żałośnie wyły: zuchwalsze, które się przed domem pokazały, w oczach myśliwych rozszarpane zostały bez znaku. Leciały sanie przez wieś, grzmiące wystrzałami.

Janusz ze swą małżonką, siedząc przed ciepłym kominem, co przed chwilą brali za

poświst burzy, teraz rozpoznali że to strzały. Sędziwa niewiasta poczęła płakać, Janusz porwał za strzelbę, i z domownikami wybiegł na ganek: sanie na dziedzińcu już są z myśliwémi, skąd tak radośnie i wesoło wyjeżdżali. I wszyscy wyskakują z nich co żywo, wpadają na ganek, biegną do domu, cofa się z niémi przerażony Janusz. Zatarasowano podwoje, stado wściekłych wilków napełniło dziedziniec. Maciéj woźnica tyle przytomny, obciął koniom postronki, a te w stajni znalazły uchronę, sam po drabinie wdrapał się na dach dworski. Ogromne brytany i kundle, wyżły, gończe, charty, przeszło dwadzieścia psów w jednéj chwili rozszarpały: strzelcy i domownicy rozstawiwszy się w oknach, ciągłym ogniem razili. Janusz nabijał, zachęcał i narzekał, że nie ma którędy strzelać: blisko dwie godziny grzmiały strzały. Księżyc zmrok rozjaśnił, zaiskrzyło się niebo gwiazdami, i znowu wrócił spokój do tego domostwa. Naniecono duży ogień na kominach, pozalepiano papierem okna.

Janusz kazał zastawić wieczerzą i przywołał strzelca, któremu wszyscy winni byli ocalenie. Czesław wypiwszy za jego zdrowie, zażądał wtedy wyjaśnienia: dla czego tak go zastraszył, by do wilczycy nie strzelał.

»O! bo wtedy, mój paniczu! wilcy wpadają w większą wściekłość. Wtedy, kiedym się sam jeden z siedemnastu myśliwych tylko wyratował, młody pan nie słuchając rady doświadczonego strzelca, zabił najprzód wilczycę, i to było powodem, że już uciec nie można było. Bronili się wprawdzie mężnie, ale krótko. Lecąc na koniu ścigany, dwa razy koło wywróconych bieżałem sani. Już z koni bieliły się kości, a myśliwcy bronili się jeszcze; kiedy musiała się klacz moja zawrócić, leżała broń tylko, nie ujrzałem już z ludzi ani kości nawet. Zamknąłem oczy, uchwyciłem oburącz grzywę mojéj gniadoszki, słyszałem przy uszach wycie okropne rozjadłych wilków, i parskanie mojego biéguna. Kiedym otworzył oczy, byłem już we wsi, a wilcy nie gonili dalej.

»Jakże dostałeś wtedy téj klaczy, która cię jednego tylko uniosła?« zapytał Janusz.

»Klacz to była mego pana, u któregom służył: szła osiodłana przy koniach. Kiedy wiele się wilków poczęło ukazywać, strzelec siwy doradził, by kto wsiadł na nię, i dał znać do wsi i do dworu o ratunek, wiedział bowiem co się święci. Ale nikt nie chciał: każdy był pewniejszy w saniach. Wtedy ja dosiadłem: każdy miał mnie za zgubionego. Ale zaledwo ujechałem kilka staj drogi, gdy klacz ujrzawszy gromadę wilków, wróciła się do koni. Alić, mocny Boże! konie zaplątały się w głębokim rowie, przewróciły sanie. Zginęło wszystko! Dwa razy patrzałem na śmierć okropną tylu ludzi, nie raz ich we śnie widzę. Szukaliśmy choć kości, by je uczcić pogrzebem ziemi świętéj. Gdzie tam! Ani śladu nie zostało nawet. Smutno było patrzéć, jak dwanaście wdów młodych, opłakiwało w jednym kościele śmierć mężów i ojców swoich dzieci.

Sam Janusz posadził strzelca przy sobie, a gdy powoli rozochocili się goście, zaczął opowiadać o skuteczności krzesiwka na wilki.

»Bo kiedym raz jechał z swoim Sandomierzakiem, siedmiu wilków zastąpiło drogę. Jużem chciał strzelać, ale on nie pozwolił, wysiadł z sanek, oddał mi lejce; sam zatknąwszy za pas siekierę, przeżegnał się i szedł wolno przed końmi, a krzesał ognia, a krzesał.«

»Wilki co na drodze zastąpiły, rozeszły się na bok. Wtedy dosiadł i ruszyliśmy galopem. No! już nie było obawy, odwróciłem się, i dwoma strzałami 4ch położyłem wilków.«

—»Musiał Jegomość (rzekł strzelec), dawniéj lepiéj celować, niż na tego z kagańcem?«

Janusz nadepnął mu nogę, ażeby milczał, i podał kielich wina.

Uderzyła godzina spoczynku. Na sianie strudzeni myśliwcy spali jak po łaźni. Równo ze świtem już zerwał się Janusz. Mało

nie płakał po stracie tylu psów ulubionych, ale wkrótce pocieszył się widokiem zabitych wilków.

Długą miał naradę z kucharzem, po czém dał staremu strzelcowi trąbkę myśliwską, bogato oprawną, a cztérem domownikom rogowe i ustawił w sieni.

Myśliwcy już wstali; obniesiono wódkę, i Janusz zaprosił wszystkich do zastawionego śniadania.

Na piérwsze danie, przyniesiono ogromną pieczeń z cébulą, i gdy zaczęli ją kosztować, zagrzmiały w sieni trąbki myśliwskie, a Janusz rzucił na stół ogon wilczy, na znak że to była wilcza pieczeń.

Na pamiątkę zaś, że Czesław jedynak, szczęśliwie uszedł z tak groźnych łowów; zębami z dwudziestu wilków kazał rzęd ozdobić na konia, i podarował synowi w dzień jego imienin.

KONIEC TOMU PIÉRWSZEGO.

BIBLJOTEKA ... POLITECHNIKA WARSZAWSKA BIBLIOTEKA GŁÓWNA
DD 725

Spis przedmiotów

W TOMIE PIÉRWSZYM.

1. Gawęda za przedmowę 5
2. Dzień zimowy w starym dworku szlachcica. — Stara gawęda 19
3. Mazur. — Gawęda z XVI wieku . . . 89
4. Stado gołębi. — Stara gawęda z r. 1760 . 107
5. Bekwark. — Lutnista 127
6. Kulig. — Stara gawęda 133
7. Rycerze-poeci. — Obraz z dziejów Literatury polskiéj. (z ryciną) 173
8. Gawęda konna. — Z czasów Augusta 3go 203
9. Głonka. — Ostatni wódz Opryszków w Karpatach z r. 1817. (z ryciną) . . 227
10. Chłopcy. — Stara gawęda z XVII wieku z rodzinnego podania 243
11. Wolf. — Obraz z r. 1798 277
12. Łowy na wilki. — Obraz 301

POLITECHNIKA WARSZAWSKA
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
MD.725

I.474
t.I.

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Politechniki Warszawskiej

ND.0725

400000000150